

Odzyskana historia
pełna rodzinnych sekretów

Svenja O'Donnell

A woman is seen from behind, wearing a vibrant blue beret and a matching blue coat with a thick fur collar. She has a brown leather bag slung over her shoulder. She stands in a desolate, war-torn urban landscape with rubble and damaged buildings. In the background, two biplanes are visible in a cloudy sky. The overall tone is somber and historical.

WOJNA INGE

Świat Książki

Svenja O'Donnell

WOJNA INGE

Z angielskiego przełożyli
Katarzyna Bażyńska-Chojnacka
i Piotr Chojnacki


Świat Książki
wydawnictwo

Spis treści

Mapy

Prolog

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział pierwszy. Mały, czarny album

Rozdział drugi. Czas mroku

Rozdział trzeci. Pogrzeb

Rozdział czwarty. *Bei mir bist du schön*

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział piąty. Vogelsang

Rozdział szósty. Epoka swingu

Rozdział siódmy. Zdrada

Rozdział ósmy. Niepewna przyszłość

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział dziewiąty. W pułapce

Rozdział dziesiąty. Ucieczka

Rozdział jedenasty. Ostatnia wieczerza

Rozdział dwunasty. Grzechy ojców

CZĘŚĆ CZWARTA

Rozdział trzynasty. Rok zero

Rozdział czternasty. Falszywi przyjaciele

Rozdział piętnasty. Ostatni list Dorothei

Rozdział szesnasty. Tajemnica Inge

Rozdział siedemnasty. Prawda i jej konsekwencje

CZĘŚĆ PIĄTA

Rozdział osiemnasty. Gospodarstwo w Polsce

Rozdział dziewiętnasty. Spotkanie

Rozdział dwudziesty. Przeszłość to inny kraj

Epilog

Bibliografia

Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginału: *Inge's War*

Wydawca: *Urszula Ruzik-Kulińska*
Redaktor prowadzący: *Tomasz Jendryczko*
Redakcja: *Ewdokia Cydejko*
Korekta: *Ewa Grabowska*

Copyright © 2020 by Svenja O'Donnell
Maps © 2020 by Emily Faccini Copyright © for the Polish translation by Piotr Chojnacki, 2021

ISBN 978-83-659-2855-9
Warszawa 2021

Wydawnictwo Świat Książki

02-103 Warszawa
ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Dystrybucja:

Dressler Dublin Sp. z o.o.

05-850 Ożarów Mazowiecki

ul. Poznańska 91

e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl

tel. +48 22 733 50 31/32

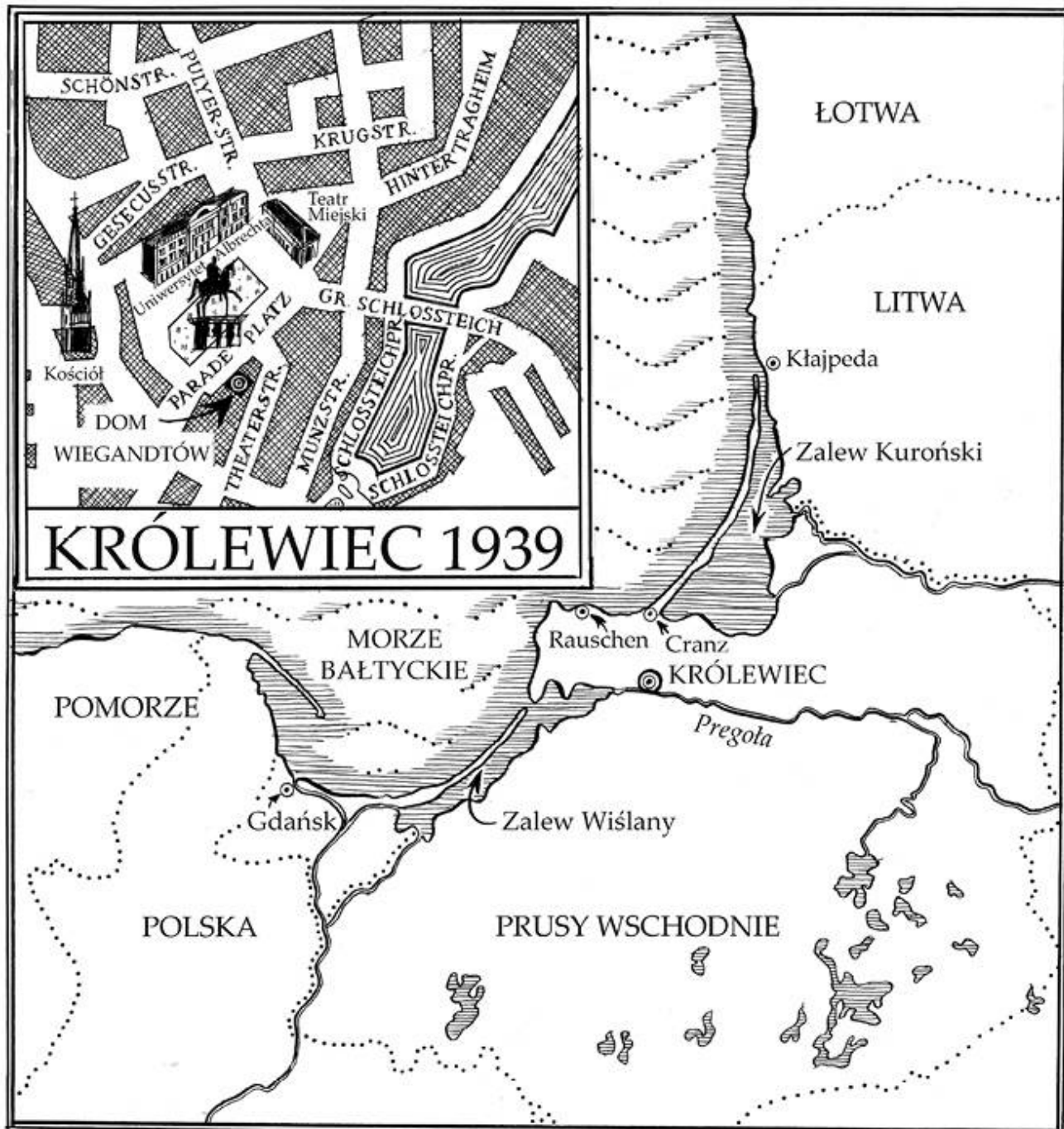
www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie **Zecer**

Mojej mamie, Beatrice. To jest również jej historia

Czemu by zresztą nie mógł ptak nosić imienia
takiego jak Rzym, Kaukaz lub Królewiec? Skoro
jak okiem sięgnąć, tylko kruszywo ceglane,
widać znikł wszelki przedmiot a zostało słowo
Tyle, że ust też nie ma. I stąd – szczebiotanie

Josif Brodski, *Stary architekt w Rzymie* przeł. Stanisław Barańczak



Plan Królewca i mapa Prus Wschodnich



Szlak ucieczki Wiegandtów

Prolog

Królewiec, czerwiec 1932 roku

Albert Wiegandt złożył gazetę, zakrywając nagłówek z pierwszej strony: *Siedmiu rannych w walkach ulicznych w Królewcu*. Umieścił ją na równo ułożonym stosie innych dokumentów, a resztę rzeczy z biurka zamknął na klucz. W każdy piątek nieodmiennie wychodził z biura wcześniej, o piętnastej trzydzieści, żeby zabrać córeczkę, Inge, na gorącą czekoladę w Cafe Berlin. Mały lokal z niebieską fasadą przy Paradeplatz w Królewcu, pełen turystów latem i studentów z pobliskiego Uniwersytetu Albrechta przez resztę roku, był na pierwszy rzut oka nieatrakcyjny. Proste drewniane krzesła i stoliki odróżniały go od wybitych pluszem najmodniejszych restauracji Starego Miasta. Sukces kawiarni tkwił w reputacji – najlepszej gorącej czekoladzie w dzielnicy. Była tak gęsta, że łyżka w niej prawie stawała, kiedy się próbowoło ją zamieszać, a podawano ją w ogromnych, białych porcelanowych filiżankach, pachnącą cynamonem i kakao, z bitą śmietaną na wierzchu i kubkiem mleka do rozrzedzenia z boku.

Te piątkowe popołudnia były ich ulubionym rytuałem. Albert wziął Inge do kawiarni pierwszy raz, gdy miała pięć lat, w ramach specjalnej niespodzianki, by jego żona, Frieda, mogła przez godzinę w spokoju poćwiczyć grę na pianinie. Wdzięczna Frieda, której granie ucierpiało trochę w związku z wymaganiami macierzyństwa, zachęcała ich do podtrzymywania tego zwyczaju. Siadał z Inge i opowiadał jej o ostatnich wydarzeniach w handlu winem i spirytualiami, która restauracja złożyła największe zamówienie i kto robił najlepszy sznaps.

Inge omawiała z nim miniony tydzień w szkole, które lekcje podobały jej się najbardziej, które dziewczynki podpadły nauczycielce i jakie robiły sobie nawzajem psikusy. Śmiał się z całego serca ze wszystkich wpadek i wyrażał współczucie z powodu drobnych udręk życia w szkole dla dziewcząt.

Inge urodziła się w lipcu 1924 roku, dwa lata po ślubie rodziców, i objawiła im się niemal jak cud, gdyż Albert i Frieda poznali się i zakochali w późnym wieku. Kiedy przyszła na świat, Albert miał czterdzieści pięć, a Frieda trzydzieści dziewięć lat. Teraz miała osiem lat, była śliczną niebieskooką dziewczynką o grubych ciemnych lokach, żywym uśmiechu i temperamentem. Jako jedynaczka

była dość wymagająca, chociaż urocza. Rodzice, a czasem też inni mieszkańcy ich kamienicy, dogadzali jej bardziej, niż powinni.

Albert zdjął marynarkę, idąc po córkę do Altstadt, gdzie mieszkali, w ścisłym centrum Królewca. Było ciepłe popołudnie, zapowiadające dotkliwy upał, który często nawiedzał miasto u szczytu lata. Albert, syn rolnika z Grünwalde, sto pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Królewca, w młodości porzucił pracę na roli, surowe zimy i odcięcie od świata i zrobił karierę w handlu. Pokochał miasto z gorliwością konwertyty. Zaoferowało mu wytworność, codzienną bieżączkę i sukces, których zabrakło w jego dzieciństwie, a którymi się delectował. U boku atrakcyjnej, wyrobionej towarzysko, utalentowanej muzycznie żony i małej córeczki zdobył wszystko, czego kiedykolwiek pragnął, ostatnimi czasy jednak coś go zaczęło niepokoić.

Wrócił myślą do artykułu, który przeczytał rano w liberalnej królewskiej gazecie „Königsberger Allgemeine Zeitung”, o starciach między miejscowymi komunistami i Sturmabteilung, paramilitarnym ugrupowaniem kierowanym przez coraz popularniejszą NSDAP, nową partię nazistowską. Podobno doszło do potężnej bijatyki: młody, dwudziestotrzyletni człowiek leżał bliski śmierci. Był to najnowszy z całego szeregu podobnych incydentów, do których dochodziło w Królewcu przez ostatnie miesiące.

Wcześniej Albert nie poświęcał większej uwagi konfrontacjom nazistów z komunistami, ponieważ dochodziło do nich w odległej stolicy, Berlinie. Ale rosnąca liczba takich przypadków w Królewcu świadczyła o tym, że przemoc i agitacja nowej epoki politycznej Niemiec przeniosły się niewygodnie blisko domu. W kwestii poglądów politycznych Albert był centrystą, lekko konserwatywnym, z liberalnymi ciągotami, nienawidzącym przemocy. Interesował się polityką tylko wtedy, kiedy mieszała się do jego interesów – importu dobrych win i spirytualiów albo najświeższego przedsięwzięcia, fabryki sznapsa. Handlem zajął się po powrocie z frontu pierwszej wojny światowej, gdzie został ranny, a potem spadek po ojcu pozwolił mu rozkręcić własny interes. Niełatwo było uruchomić przedsiębiorstwo. Wojna mocno zubożyła społeczeństwo i potrzeba było trochę czasu, nim zapotrzebowanie na luksusowe towary, takie jak dobre wina i wódki, wzrosło do poziomu sprzed konfliktu. Niemcy, którzy w czasie wojny doświadczyli głodu, odkryli, że w czasie pokoju radzą sobie niewiele lepiej, ponieważ reparacje wojenne nadszarpnęły niemiecką gospodarkę i doprowadziły do nieustannych niedoborów żywności i hiperinflacji.

Mimo tych wszystkich trudności Albert działał, a ciężka praca mu się opłacała. Przedsiębiorstwo przynosiło przyzwoity dochód, a do tego bardzo kochał swoją rodzinę. Jednak sytuacja się zmieniała: w swoim kręgu towarzyskim miał wielu przyjaciół pochodzenia żydowskiego i jego uwadze nie umykał zajadły

antysemityzm partii nazistowskiej, ataki band „brązowych koszul” oraz niepokojąca, populistyczna retoryka. Wuj żony, profesor botaniki na Uniwersytecie Albrechta, którego opinię wysoko cenił, od początku go przekonywał, że naziści to przestępcy i zbiry. Antysemityzm narastał od lat dwudziestych, a podsycaly go trudności ekonomiczne, jednak fale ataków na społeczności żydowskie zawsze w końcu spadały.

Albert nie wiedział, że zaledwie kilka tygodni później bandy nazistów urządzą na ulicach Królewca krwawą łaźnię, serię morderstw i ataków przedstawianych jako bunt przeciwko „komunistycznemu terrorowi”. Wybory federalne 31 lipca 1932 roku miały uruchomić nową falę terroru, podczas której nazistowscy aktywiści zabiją dwadzieścia pięć osób, w tym redaktora naczelnego socjalistycznej gazety „Königsberger Volkszeitung”.

Nawet po tym pełnym przemocy lecie Albert tłumaczył sobie, że brutalne działania nazistowskich band przeciwko żydowskim przedsiębiorstwom i wzrost popularności partii są tylko chwilowe. Nie podzielał zdania części znajomych, którzy uważali, że trzeba pozwolić posmakować na krótko władzy nazistom i to pomoże przywrócić porządek, wyciszyć zagrożenie polskim nacjonalizmem na zachodzie i komunizmem na wschodzie. On sam miał po prostu nadzieję, że popularność nowej, brutalnej partii spadnie i będzie dalej spokojnie wiódł swoje życie.

Z domku letniego w Nidzie, sto kilometrów na północny wschód od Królewca, Thomas Mann napisał na początku sierpnia 1932 roku tekst dla „Berliner Tageblatt”, w którym wyraził nadzieję, że akty przemocy, jakie dotknęły miasto w pierwszym tygodniu miesiąca, może wreszcie otworzą oczy inteligencji na to, co się dzieje.

Czy krwawe zamieszki w Królewcu sprawią, że wielbiciele tego emocjonalnego ruchu, który nazywa siebie narodowym socjalizmem – nawet pastorzy, profesorowie, wykładowcy i ludzie pióra, którzy podążają za nim, nie przerywając pogawędki – wreszcie otworzą oczy na prawdziwą naturę tej narodowej zarazy, bezładną histerię i stęchły romantyzm oraz dętą niemieckość, która jest karykaturą i degradacją wszystkiego, co niemieckie? ^{k1}

Mann ostatecznie musiał się rozczarować. Królewiecka średnia klasa, w tym Albert, wolała bierność od protestu, a ta decyzja miała przynieść katastrofalne skutki.

Ale wszystko to miało się dopiero wydarzyć, a teraz Albert szedł do domu po córkę w gorące czerwcowe popołudnie i próbował wyrzucić z głowy wszystkie te myśli o polityce. Za pięć czwarta, punktualnie jak zawsze, stanął przed

frontowymi drzwiami kamienicy, wysokiej, pięciopiętrowej, wybudowanej z białego kamienia na początku XIX wieku dla przedstawicieli coraz liczniejszej w Królewcu klasy średniej. Zadzwoił do drzwi i czekał. Inge schodziła na dół wolniej niż zwykle. Kiedy wreszcie się pojawiła kilka minut później, powitało go nie roześmiane dziecko, ale przybita mała dziewczynka z oczami zaczerwienionymi od płaczu. W milczeniu wzięła go za rękę i ruszyli do Cafe Berlin. Usiadła przy stoliku ze spuszczonym wzrokiem, ledwo umoczyła usta w czekoladzie. Humoru nie poprawiła ani dodatkowa bita śmietana, ani propozycja, że kupią w cukierni marcepan na jutrzejszy piknik w lesie.

Albert nienawidził, gdy jego córka się smuciła, i coraz bardziej się niepokoił, ponieważ wiedział, jak bardzo Inge lubiła wycieczki za miasto. Wiegandtowie jeździli raz w miesiącu do gospodarstwa brata Alberta. Zimą wsiadali na sanie i jeździli po okolicznych polach wtuleni w siebie i owinięci futrami dla ochrony przed szczypiącym mrozem. Jesienią zbierali grzyby i jeżyny, wałęsali się godzinami po lesie. Ale najbardziej ze wszystkiego jego córka lubiła letnie pikniki, kiedy las i łąka pełne były polnych kwiatów. Albert myślał, że przypomnienie o jutrzejszym wyjeździe i obietnica marcepana, który Frieda pozwalała jej jeść tylko czasami, wyciągnie córkę ze stanu, który z początku uznał za dąsy.

– Czym się martwisz, Ingechen? – spytał.

Tragedia, która obrabowała Inge z całej radości piątkowego wyjścia, rozegrała się krótko po tym, jak Frieda odprowadziła ją rano do szkoły. Przy bramie czekała na nią najlepsza przyjaciółka. Lotte wyszeptała jej do ucha imię, które oznaczało problemy: Greta. Blondynka, w przeciwieństwie do czarnowłosej Inge, o wielkich brązowych oczach, przy lekko skośnych niebieskich Inge, Greta była najpopularniejszą obok samej Inge dziewczynką w szkole i jej nemezis. Rywalizacja między Inge Wiegandt i Gretą Schwartz polegała na drobnych starciach w codziennym życiu uczennic. Jednego tygodnia Greta wkraczała przez szkolną bramę z rozkołysanymi warkoczami, w nowej sukience z kołnierzykiem z francuskiej koronki. Następnego Inge, buntowniczo potrząsając lokami, wchodziła do klasy w nowiutkich, zapinanych na guziczki, skórzanych bucikach z Pragi.

Przez ostatnich kilka dni rozmowy w małej szkole dla dziewcząt krążyły wokół dorocznej zabawy, która miała się odbyć w poniedziałek. Dziewczynki miały przynieść bukiet ulubionych kwiatów, by uczcić ostatni tydzień roku szkolnego, a gest ten wkrótce przekształcił się w plebiscyt popularności. Inge wiedziała, że wszystkie oczy będą skupione na niej i Grecie i że mimo nowej sukienki, którą kupiła jej mama, sukces będzie zależał od bukietu. Planowała swój od tygodni.

Albert zabrał ją do kwiaciarni przy ogrodach Oberteich, najlepszej – i najdroższej – w mieście. Zamówili bukiet różowych róż w obramowaniu groszku pachnącego i paproci. Ekspedientka obiecała zrobić bukiet z najświeższych kwiatów i dostarczyć go do domu Wiegandtów w pierwszej kolejności w poniedziałek rano, przed rozpoczęciem lekcji.

Ale dziś rano Lotte wyszeptła jej do ucha:

– Greta powiedziała, że rodzice zamówili dla niej specjalny wianek z kwiatów i ona w nim przyjdzie.

Podczas porannej przerwy wieść obiegła całą szkołę. Greta przyćmi Inge, jej triumf był pewny.

Inge chlipała, opowiadając o tym Albertowi po południu. Wysłuchał, wyraził smutek, chociaż w oczach iskrzył mu śmiech. Poczekał, aż Inge skończy mówić, zerknął na zegarek i wstał, aby przywołać kelnera. Niepokój wywołany artykułem w porannej prasie poszedł w zapomnienie. Z domowym kryzysem potrafił sobie poradzić.

– Musimy coś szybko zrobić – powiedział, położył kilka monet przy filiżance z niedopitą czekoladą i wziął córkę za rękę. – Jeśli się pośpieszymy, zdążymy do kwiaciarni przed zamknięciem.

W poniedziałek rano to Inge wkroczyła triumfalnie do szkoły w towarzystwie Friedy i Alberta, w wianku z różowych róż i białych szklarniowych hortensji na głowie. Lotte stanęła u jej boku, a cała klasa patrzyła, wstrzymując oddech, na wejście Greta – jej wianek z białych róż i różowego łubinu był widocznie mniejszy. Greta stanęła przed Inge, wpatrywała się w nią przez chwilę, po czym wyrwała ogromną hortensję z wianka Inge i rzuciła ją na ziemię. Po kilku sekundach dziewczynki rzuciły się na siebie, podjudzane przez tłum zachwyconych koleżanek. Kiedy przerażeni rodzice i nauczycielki wreszcie je rozdzielili, po obu kwiecistych wiankach zostały tylko połamane łodygi i poodrywane płatki.

Lata później, kiedy Albert stał na pokładzie statku, który zabierał go z ojczyzny na zawsze, przypominał sobie widok podeptanych kwiatów, brzydkie, bezsensowne zniszczenie czegoś pięknego.

Londyn, sierpień 2019 roku

Przez dziesięciolecia w sercu mojej rodziny tkwił sekret, niewypowiedziany, nietknięty, niepodejrzewany. Nie zamierzałam celowo się do niego dokopywać. Byłam w połowie podróży, nim się dowiedziałam, że w ogóle się zaczęła. Poszukiwanie prawdy, które poprowadziło mnie przez całą Europę, przez

przeszłość i terażniejszość, kazało mi zakwestionować fakty, w których dorastałam i które uczyniły mnie tym, kim jestem. Zaczęło się dość niewinnie, pewnego popołudnia w kwietniu 2006 roku, od zwykłej rozmowy telefonicznej.

Pojechałam do Kaliningradu trochę spontanicznie, zaledwie kilka miesięcy po tym, jak objęłam stanowisko korespondentki w Rosji. Chciałam zwiedzić kraj, a ponieważ znałam tylko Moskwę i Petersburg, miasto urodzenia mojej matki wydawało się dobrym miejscem na początek. Do Kaliningradu wróciłam jako pierwsza z rodziny po tym, jak sześćdziesiąt lat wcześniej moja babcia wyjechała z miasta, które wtedy nazywało się jeszcze Królewiec. Dowiadywałam się trochę o życiu rodziny w tamtym czasie i o jej wyjeździe kawałkami przez całe dzieciństwo. Babcia uciekła z Królewca pod koniec wojny przed nadciągającymi Rosjanami, mając pod opieką swoich starszych już wiekiem rodziców i moją maleńką przyszłą matkę w ramionach. Matka tylko fragmentarycznie zdradzała szczegóły tej historii, które znała z drugiej ręki, bo sama była za mała, by cokolwiek pamiętać. Opowiadała nam, że jej rodzina pochodziła z Prus Wschodnich, a ja nie miałam pojęcia, co to rzeczywiście oznaczało. Było to miejsce, które przestało istnieć, jego nazwa brzmiała obco dla mojego pokolenia, nawet dla tych z moich przyjaciół, którzy wychowali się w Niemczech. Na tle blaknącej zbiorowej pamięci o przeszłości to jedno wspomnienie przepadło całkowicie: pośród większych tragedii drugiej wojny światowej i horroru Zagłady nie istniała przestrzeń na ciężkie doświadczenia tych Niemców, którzy nie spotkali się z prześladowaniami nazistów. O życiu w Królewcu wiedziałam niewiele, z wyjątkiem tego, że moja rodzina miała dwie godziny na przygotowanie się do wyjazdu, straciła wszystko, co posiadała, i nigdy nie wróciła. Słuchałam o statku, którym uciekli, bez szczegółów, jak się na niego dostali i kiedy. Opowieść stała się częścią rodzinnej mitologii, ucieczka owiana tajemnicą, o której babcia nigdy mi nie mówiła.

Gdy się patrzy na mapę, Kaliningrad jest anomalią, wąskim paskiem na brzegu Morza Bałtyckiego, wciśniętym między bezmiar Litwy i Polski. Formalnie jest enklawą, ponieważ nie ma granicy lądowej z Rosją i leży nad morzem. Z geograficznego punktu widzenia można porównać, że jest dla Rosji tym, czym Alaska dla Stanów Zjednoczonych. Przez kilka stuleci należał do Niemiec, do 1945 roku, kiedy zajęło go wojsko radzieckie i został włączony do ZSRR latem tamtego roku na mocy postanowienia konferencji poczdamskiej. Kilka artykułów, jakie znalazłam o mieście, skupiało się na okresie po zdemontowaniu żelaznej kurtyny. Kolejne dziesięciolecia przyniosły wielkie bezrobocie, a po upadku komunizmu Kaliningrad stał się centrum handlu narkotykami i ludźmi, z ogromnym problemem heroinowym i najwyższym poziomem zakażeń wirusem HIV w Europie. Tuż przed moim przyjazdem, w pierwszych latach XXI wieku, miasto

przeżyło ekonomiczny boom, ale nadal było to miejsce ciągłych zmian, podążające ku niepewnej przyszłości.

Wyjechałam z Moskwy z niejasnymi oczekiwaniami. Współpracownicy próbowali mnie ostrzegać. Mówili, że Kaliningrad to dawna radziecka baza wojskowa. Nikt, absolutnie nikt, twierdzili, nie jeździł tam nigdy na urlop. Zlekceważyłam ostrzeżenia, traktując je jako zwykły rosyjski cynizm. Wyobrażałam sobie stare budynki o wyblakłej urodzie, tu i ówdzie się rozpadające, ale być może z widokiem na las w tle. Dwa tygodnie wcześniej byłam w Petersburgu i przedstawiałam sobie Kaliningrad jako jego zmniejszoną wersję. Kolejne miasto wybudowane po obu stronach rzeki, z budynkami o klasycznych proporcjach, zwróconymi ku sobie fasadami. Wyobrażałam sobie szerokie ulice z rzędami platanów i starych dębów. Przeczytałam gdzieś, że wczesną wiosną w regionie, nazywanym niegdyś Prusami Wschodnimi, było pełno bocianich gniazd.

Dworzec kolejowy okazał się dziewiętnastowiecznym, ponemieckim budynkiem z czerwonej cegły z łukiem nad wejściem, który przetrwał burzliwą przeszłość miasta i kilka lat wcześniej doczekał się odnowienia. Błyszczące podłogi i ogromny mosiężny żyrandol przy głównym wejściu były typowe dla gotyckiej majestatozności rosyjskich budynków użyteczności publicznej, które coraz bardziej mi się podobały. Zachowano styl pasujący do podzielonego kolumnami okna nad wejściem, ciągnącego się od podłogi do sufitu, odbijającego w mosiądzu światło poranka i blask elektrycznych świec.

Zaciekawienie i wyczekiwanie sprawiły, że coś ścisnęło mnie w brzuchu i trzymało przez całą drogę do wyjścia. Widok na ulicę przesłaniał portyk, a kiedy otworzyłam szklane drzwi, wiatr uderzył mnie w twarz, zimno zaś cięło jak nożem. Zamrugałam, żeby wzrok się przyzwyczaił do ostrego światła, spodziewając się, że zobaczę ulicę z moich wyobrażeń, zamiast tego znalazłam się w morzu betonu. Nie było drzew, nie było nawet ulicy, tylko wyasfaltowana przestrzeń rozciągająca się do parkingu, a dalej zlewająca z czteropasmową drogą. Na horyzoncie dominowały betonowe bloki z fasadami upstrzonymi małymi okienkami. Uliczny hałas w godzinach porannych był ogłuszający, a wszystko – droga, mury, niebo, nawet światło – tchnęło szarością. Powietrze wypełniała woń spalin i dźwięk klaksonów, ogłuszających werbli, gdy szłam w stronę rzeki, gdzie, jak poinformował mnie cienki, dość nieatrakcyjny książkowy przewodnik, znajduje się stara część miasta.

Według przewodnika Kaliningrad nie oferował wielu atrakcji. Należały do nich niemal wyłącznie grób Immanuela Kanta, niezwykle mauzoleum z czerwonego kamienia, i przylegająca do niego katedra, która do czasu odbudowy w latach dziewięćdziesiątych była wypalonym szkieletem. Ruszyłam ulicą szeroką

i ruchliwą jak autostrada i czułam, jak drętwieją mi ręce zaciśnięte na paskach torby. Zapomniałam rękawiczek.

Zatrzymałam się na skraju historycznego centrum Kaliningradu, nad Pregołą, nazywaną w niemieckich czasach Pregel, przy nabrzeżu okolonym przez miejską zabudowę. Dzień był mglisty i z każdą chwilą robiło się zimniej i coraz bardziej wilgotno, co mi przypomniało, że w Europie Wschodniej wczesną wiosną pogoda jest jeszcze raczej zimowa. Brzeg rzeki przede mną prezentował cały urok, jakiego się można było spodziewać po dawnej radzieckiej bazie atomowej. Nie trzeba dodawać, że nie na takie krajobrazy podczas mojej pielgrzymki liczyłam.

Niewiele zostało z tętniącego życiem niemieckiego miasta uniwersyteckiego, znanego niegdyś jako Königsberg, miejsca urodzenia Kanta i stolicy Prus Wschodnich, państwa założonego w XIII wieku przez zakon krzyżacki, które później stało się częścią Niemiec. Prusy Wschodnie wzięły na siebie główny ciężar odwetu za nazistowskie zbrodnie i spotkał je najtragiczniejszy los ze wszystkich niemieckich terytoriów na wschodzie. Niemcy zamieszkujący te ziemie, zdecydowana większość w tym regionie, uciekli, zginęli lub zostali deportowani. Ludność Prus Wschodnich, licząca dwa miliony dwieście tysięcy osób w 1940 roku, spadła do stu dziewięćdziesięciu trzech tysięcy pod koniec maja 1945 roku^{k2}. Ci, którzy przetrwali, trafili w większości do pracy niewolniczej, po czym w 1947 roku zostali deportowani do znajdującej się w strefie radzieckiej kontroli NRD, w ramach szerszej akcji wydalania Niemców z Europy Wschodniej, która widziała przemieszczenia czternastu milionów ludzi. Pod władzą radziecką Królewiec został odarty z resztek niemieckiej tożsamości. W 1946 roku Prusy Wschodnie podzielono między Polskę a Związek Radziecki, miasto zaś zmieniło nazwę na Kaliningrad – na cześć radzieckiego przywódcy Michaiła Kalinina. W pozbawionym niemieckiej ludności i w dużej mierze zniszczonym mieście siedemsetletnia niemiecka kultura popadła w zapomnienie.

Przyłoczona i rozczarowana miastem, które miało mnie poruszyć, korzystając z okazji, zadzwoniłam do babci. Nigdy nie miałyśmy bliższych relacji, nie dane nam było dłużej porozmawiać, nie wspominając o zwierzeniach. Widywałyśmy się raz lub dwa na rok, głównie podczas jej wizyt w naszym rodzinnym domu w południowo-zachodniej Francji lub moich rzadkich podróży do Kilonii, gdzie mieszkała z mężem. Małomówna, trochę egoistyczna kobieta, szybka w rzucaniu krytycznych uwag, nigdy nie weszła w rolę tradycyjnej babci. Jej wizyty przebiegały w pełnej napięcia atmosferze, a moja zwykle zrównoważona matka zmieniała się wtedy w kłębek nerwów. Gdy przyjeżdżała, nieuchronnie pojawiały się jakieś żale: ciasta, zawsze świeże i domowe, nigdy nie były tak dobre jak te, które kupowała w Niemczech. Lubiała słabą herbatę, więc żądała oddzielnego dzbanka. Zawsze, nawet w środku lata, skarżyła się na zimno.

Nasze rozmowy telefoniczne zwykle ograniczały się do urodzin i przebiegały według utartego wzoru – trwały najwyżej dziesięć minut. Rozmawialiśmy o pogodzie w Kilonii, którą zawsze, czy w słońce, czy deszcz, określała jako niespotykaną o danej porze roku. Opowiadała, kto przyszedł na jej przyjęcie urodzinowe, i często nawet nie pytała, co u mnie słychać. Po chwili rozmowy, podszytej ukrytą krytyką, to ona zawsze rozłączała się pierwsza.

Ale tego dnia, gdy stałam nad rzeką w tym dziwnym miejscu, z którego wywodziła się moja rodzina, patrząc na dźwig unoszący ogromne betonowe bloki na budowie na przeciwległym brzegu i drżąc z zimna, poczułam potrzebę, by skorzystać z tej okazji. Palce miałam zgrabiące, kiedy wybierałam numer babci i czekałam, aż odbierze.

– Chciałam się tylko przywitać – powiedziałam, czując się odrobinę skrępowana. – Jestem w Kaliningradzie.

Czekałam, aż się odezwie. Nie należała do osób sentymentalnych, ale głucha cisza, jaka zapadła po moim przywitaniu, bardzo mnie zaskoczyła.

Nie przypominałam sobie sytuacji, żeby zabrakło jej słów. Milczenie na drugim końcu linii się przeciągało. Patrzyłam na swoją rękę, robiła się już sina. Czekałam, aż babcia powie cokolwiek, i patrzyłam na powierzchnię rzeki, martwiąc się, że mi się wyczerpie karta w telefonie.

Kiedy się wreszcie odezwała, jej głos drżał.

– Koło się zamyka – powiedziała.

Uświadomiłam sobie, że po raz pierwszy, odkąd ją znam, płakała.

To obce, onieśmielające miasto, tysiące kilometrów od domu, zbliżyło nas do siebie bardziej niż cokolwiek wcześniej. Nie wiedziałam, jak ją pocieszyć. Nigdy nie słyszałam w jej głosie takiej bezbronności. Nie pamiętam, która z nas wznowiła rozmowę, tylko to, że kiedy babcia znów przemówiła, wymieniła nazwy miejsc, stare nazwy dawno już zapomniane: Königsberg, Rauschen, Insterburg, Cranz. Podałam jej nowe nazwy: Kaliningrad, Swiętłogorsk, Czerniachowsk, Zielonogradsk. Zastanawiałam się, co w tym krajobrazie przeszłości, który tak niewiele mówił mojej teraźniejszości, wywołało w niej tak duże emocje. Krótka wycieczka, do której podeszłam tak lekko, zostawiła mi wyłącznie pytania.

Były też inne fakty dotyczące babci, które rysowały się mgliście i o których się nie mówiło. Jej mąż nie był biologicznym ojcem mamy, chociaż wychowywał ją przez większość dzieciństwa. Matka opowiadała mi o tym, kiedy miałam trzynaście lat, dopiero wtedy się o tym dowiedziałam. Powiedziała, że babcia poznała prawdziwego ojca mamy, kiedy oboje byli bardzo młodzi, podczas wojny. On pochodził z dumnej, arystokratycznej rodziny; mama poznała jego siostrę, kiedy kończyła szkołę, a ich romans wywołał ogromną rodzinną kłótnię. To była

nastoletnia miłość, przerwana przez wojnę. Ale jak i dlaczego się skończyła, tego nawet mama nie była do końca pewna.

Nasza rodzina była otwarta i żadnego tematu rozmowy się nie unikało; tylko wtedy, kiedy chodziło o rodzinę mamy, pojawiała się pewna powściągliwość. Powściągliwość nie z jej strony, ale podświadomie wykształcona przeze mnie. Byłam pół Niemką, pół Irlandką, wychowałam się w Paryżu i chodziłam do francuskiej szkoły. Ponieważ należałam do drugiego pokolenia dorastającego w Europie w czasie pokoju, moje zrozumienie historii kształtowało się na opowieściach z lekcji o łotrach i bohaterach. Nigdy tak naprawdę nie myślałam o ludziach znajdujących się pomiędzy. Lekcje o drugiej wojnie światowej w szkole opowiadały o grozie nazizmu i prześlizgiwały ledwie po mroczniejszych aspektach dziejów Francji pod reżimem Vichy – czyli kolaboracji – skupiając na francuskim ruchu oporu i bohaterstwie generała de Gaulle'a. Przez długi czas myślałam o Niemcach z drugiej wojny światowej jako o siedlisku zła. Matka wywodziła się z pokolenia, które ciężko pracowało, żeby zrozumieć zbrodnie popełnione w czasach jej rodziców; ze wszystkich sił się starała, żebyśmy zrozumieli, że antysemityzm jest zły, i nauczyli, że wszyscy mężczyźni i kobiety, wszystkie religie i rasy, są równe. Zawsze kiedy pytaliśmy z bratem, opowiadała nam, że jej rodzina nie lubiła nazistów. Ale moje poczucie niemieckości w dzieciństwie nigdy nie uwolniło się od tej skazy.

Podczas wycieczki szkolnej do muzeum drugiej wojny światowej w Normandii miałam dziewięć lat. Czułam na sobie spojrzenia innych dzieci, kiedy weszliśmy do sali poświęconej ofiarom Zagłady. Byłam jedynym dzieckiem w klasie o pochodzeniu niemieckim: wtedy pierwszy raz się tego wstydziłam. W tamtym momencie kurczowo trzymałam się w myślach tego, co mówiła nam mama, a dziadków wyobrażałam sobie jako bohaterskich opozycjonistów. Może z obawy, że to, co mówiła mi matka, o niechęci jej rodziców wobec nazizmu, mogło nie być prawdą, zaczęłam ją wypytywać o szczegóły.

A tu, w Kaliningradzie, te pytania wypłynęły ponownie. Zastanawiałam się, kim była ta część mojej rodziny, co wiązało mnie z tym dziwnym, niegościnnym krajem. Chciałam wiedzieć wszystko: jak żyli, jakie mieli zwyczaje, w co wierzyli, o ich wojnie, o ich ucieczce. I, jakby czytała w moich myślach, po raz pierwszy w życiu babcia zaprosiła mnie do swojej przeszłości.

– Mam ci tyle do opowiedzenia – powiedziała.

Ta uwaga, choć krótka, oznaczała początek dziesięciolecia odkryć. Przyszły podczas wielu godzin rozmów, kiedy powoli odkrywała się przede mną. Po śmierci babci w 2017 roku jej słowa zawiadły mnie na wschód i zachód Europy, kazały tropić dawne ślady, sięgać do rodzinnych archiwów i listów, odnajdywać krewnych, którzy pomagali mi złożyć w całość tę historię, tak długo trzymaną

przez nią w tajemnicy. W pewnym częściach moja wiedza nie była doskonała, ponieważ wspomnienia są subiektywne, ulotne. Czasem musiałam wypełnić luki, opierając się na starych listach i fotografiach, faktach historycznych i relacjach osób, które pamiętały, ale muszę przyznać z satysfakcją, że dotarłam do prawdy i przekazać ją w tej książce najlepiej, jak umiem. Jej sercem jest miłość i rodzina, dziewczyna z nieistniejącego kraju, która żyła w czasie, gdy Europa i jej człowieczeństwo runęły.

**CZĘŚĆ
PIERWSZA**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mały, czarny album

Jest taka fotografia mojej babci, zrobiona, gdy miała dwadzieścia pięć lat, którą mama pokazała mi po raz pierwszy we wczesnym dzieciństwie. Ciemne loki związane z tyłu jedwabną apaszką, oczy w okrągłej twarzy, wysokie, słowiańskie kości policzkowe. Była piękna i wiedziała o tym. Tę delikatną urodę zachowała przez całe życie, ale zdjęcie pokazuje coś, czego nie potrafiłam dokładnie określić. Chociaż na ustach kwitł uśmiech, w oczach czaił się bunt i nieufność kobiety starszej, niż wskazywałaby metryka. W owym czasie miała już dziecko, przeżyła miłość, stratę, ucieczkę z domu i odbudowywanie świata od podstaw. Poszukiwała nowego początku, zwyczajnego życia, wolnego od wstrząsów i traumy, które zostawiła za sobą. Patrząc na zdjęcie teraz, kiedy wiedziałam już o wszystkim, myślę o tym, jak musiała się jej jawić przyszłość, wciąż jeszcze młodej, a już tak doświadczonej przez los.

Babcia mieszkała z mężem w Kilonii, na niemieckim wybrzeżu Morza Bałtyckiego, i tam wychowała się moja mama i jej siostra, Conny. Ponieważ my mieszkaliśmy w Paryżu, z bratem widywaliśmy dziadków tylko kilka razy do roku. Rozmawialiśmy z nimi po niemiecku, bo nie znali innych języków. Wszyscy zwracali się do nich Mutti i Vati, mamó i tato. Mimo matczynego charakteru tego przydomka, babcia traktowała wnuki z dystansem. Krytyka przychodziła jej o wiele łatwiej niż pochwała. Mama i babcia nie były szczególnie mocno związane. W wieku osiemnastu lat mama zapakowała się w samochód i wyjechała do Paryża, gdzie została na stałe. Kilonia, powiedziała mi, to miasto, do którego nigdy nie przynależała, a tamtejsi ludzie sprawiali, że czuła się jak odmieniec. Dopiero dużo później, kiedy wszczęłam poszukiwania, jej słowa zaczęły nabierać dla mnie sensu.

Spotkałam się z babcią dopiero kilka miesięcy po wycieczce do Kaliningradu. Powróciłam do Moskwy pełna zdumienia wobec jej emocjonalnej reakcji, zaciekawiona, co też chce mi opowiedzieć, ale wymagania intensywnego dziennikarskiego życia szybko odsunęły tę myśl na bok. Dopiero kiedy wróciłam

do domu na urlop i postanowiłam odwiedzić dziadków w Kilonii, przypominałam sobie ten nasz najdziwniejszy moment i pytania, jakie mi się wtedy zrodziły w głowie. Chciałam znaleźć odpowiedzi.

Przyjechałam do ich małego, ale wygodnego mieszkania w nowoczesnym bloku, w sam raz na rytualną popołudniową kawę. Vati, ogromny mężczyzna, powitał mnie serdecznym uściskiem, a babcia, bardziej powściągliwa, całusem w policzek. Zabrali mnie do ogrodu i ich najnowszej dumy i radości, *Gartenhaus*, niedużego domku z małym stolikiem i czterema wyściełanymi krzesłami, namiastki jadalni na świeżym powietrzu w mieście, gdzie wiatr znad Bałtyku zwykle sprawia, że jest za zimno, by siedzieć dłużej na dworze. Stał na skraju wypielegnowanego trawnika, który dzielili z sąsiadami, prawie bez innych roślin, z wyjątkiem starannie przystrzyżonego krzewu. Drewno, z którego wybudowano domek, było świeże i pachniało żywicą sosnową i lakierem, okiennice pomalowano na leśną zieleń. Usiedliśmy – trącając się łokciami z powodu ciasnoty – i zauważyłam, że wzór na obiciu krzesel, zielone pasy, pasuje do koloru filiżanek.

Wszystko tu było schludne i uporządkowane, nic nie tłumaczyło emocji, z jakimi zdradziła się babcia zaledwie kilka miesięcy temu, kiedy zadzwoniłam z Kaliningradu. Ale coś się między nami zmieniło. Czułam to w uścisku jej ręki, kiedy weszłam, w jej zachwycie rosyjskim szalem, który jej kupiłam; naszym nowym, nieokreślonym, wspólnym poczuciu miejsca. Otworzyły się drzwi, chociaż tylko odrobinę, do przeszłości otoczonej do tej pory milczeniem. Instykt mi mówił, by postępować ostrożnie, więc nie śpieszyłam się; czekałam na właściwy moment.

Położyli się spać wcześniej, zostawili mnie samą w salonie. Rozłożyłam sofę i poszukałam wzrokiem albumów ze zdjęciami i fotografii w ramkach, zwykłych oznak długiego wspólnego życia rodzinnego: ślubne zdjęcia mamy i jej siostry; mój brat i ja podczas wręczenia dyplomów uniwersyteckich; Vati na żeglarskich wakacjach przy sterze łodzi. Niewiele bibelotów: mniej więcej co trzy lata babcia czuła potrzebę wyrzucania przedmiotów, po czym zaczynała gromadzić nowe.

Popatrzyłam na półki z książkami, żeby znaleźć sobie coś do czytania, i w końcu sięgnęłam po błyszczące, wielkie tomiszcze o niemieckich zamkach. Szybko zrobiło mi się trochę zimno i sięgnęłam po rosyjski szal, który kupiłam, ułożony na oparciu fotela. Z jego fałdów wypadł oprawiony w czarną skórę album. Miał góra dwadzieścia stron, a z przodu wetknięto w niego kopertę. W środku znajdowała się karta z czarną obwódką, porządek nabożeństwa z pogrzebu mojej prababci Friedy, która zmarła w 1968 roku, i wycinek z gazety

z datą 1995. Wyglądziłam go i przeczytałam nagłówek: *Noc śmierci na Morzu Bałtyckim*.

Był to okolicznościowy tekst na pięćdziesiątą rocznicę zatonięcia „Wilhelma Gustloffa”, statku transportowego, który w styczniu 1945 roku storpedowali Sowieci. Dziennikarz przedstawił fakty z drobiazgową posępną: statek przewoził grupę żołnierzy, ale wśród dziesięciu tysięcy pasażerów główną część stanowili cywile, kobiety i dzieci uciekające przed zbliżającą się do Prus Wschodnich armią radziecką. Zatonął na Morzu Bałtyckim w środku zimy. Uratowało się tylko kilkaset osób. Słyszałam wcześniej o tej tragedii i wiedziałam, że mama, babcia i jej rodzice również uciekali z Królewca przez morze, na pokładzie innego statku. Czy osoba, która układała album, umieściła artykuł przy informacji o śmierci Friedy jako przypomnienie, ile miała szczęścia, że przeżyła? Odłożyłam kopertę i jej zawartość na bok i wróciłam do albumu.

Na pierwszej stronie widniał tylko odręczny napis zielonym atramentem, *Unsere Omi* – Nasza babcia; rozpoznałam pismo mojej matki. Pierwsze zdjęcie zajmowało całą stronę: przedstawiało grupę w eleganckich strojach z nastoletnią dziewczyną w białej sukience pośrodku, w której rozpoznałam babcię. Ale to podpis spowodował, że serce podskoczyło mi w piersi: „Królewiec, kwiecień 1939 roku”. Pięć miesięcy przed wybuchem wojny. Szybko przejrzałam resztę zdjęć. Nie było ich wiele z tamtego okresu, chyba sześć, czarno-białe, wyblakłe migawki z życia codziennego i duża, staromodna wizytówka: „Alfred Wiegandt, Królewiec, Prusy. Spirytualia, wina, hurt. Producent napojów alkoholowych”. Grupa idąca po piasku w jakimś nieznanym miejscu, gdzieś nad morzem, z podpisem podającym starą, pruską nazwę miejsca: „Rauschen”, mężczyźni w letnich garniturach, kobiety w bawełnianych sukienkach. Pięcioro ludzi siedzących przy okrągłym jadalnianym stole przykrytym obrusem, z wazonem pełnym kwiatów – rozpoznałam wśród nich Friedę, uśmiechniętą, w skórzanym fotelu. Zdjęcie starszego dżentelmena z wąsem à la cesarz Wilhelm, podpisane *Onkelchen*, wujaszek. Odwróciłam stronę: data u dołu przeskoczyła od razu do 1962 roku.



Konfirmacja Inge

Wróciłam do pierwszego grupowego zdjęcia. Było zbyt oficjalne jak na fotografię urodzinową; cieplarniane kwiaty i ozdobna witryna na kółkach obramowywały grupę i stwarzały atmosferę podniosłości. Dwaj młodzi mężczyźni stojący z tyłu mają wyraźnie znudzone miny; inny, w mundurze Luftwaffe, patrząc prosto w obiektyw, stoi obok dziewczyny w białej satynie, z kwiatami przy staniku. Starsi ludzie mają nieco ściągnięte twarze, moi pradiadkowie po obu bokach córki, Frieda w ciemnej sukni z koronkowym kołnierzem, Albert w białym krawacie. Zauważyłam, że przyciął wąż w stylu, który zniesławił Hitler. Fryzura Inge, ciężkie, staromodne warkocze splecione wokół głowy, sprawiała, że wyglądała o wiele poważniej niż na swoje czternaście lat, do tego miała suknię z białego muślinu, ozdobioną przy dekolcie. Ma w sobie nastoletnią niezgrabność, lekko się garbi, jakby uwięziona w ciele, które jeszcze nie jest kobiece, ale już nie dziewczęce. Rozpoznałam tę postawę z własnych wspomnień, gdy miałam naście lat, buntownicze znużenie.

ALBERT WIEGANDT

Königsberg Pr.

*Spirituosen - Weine - Großhandlung
Likörfabrik*

Wizytówka Alberta

Następnego dnia rano przy śniadaniu babcia zauważyła album na stoliku. Uśmiechnęła się, usiadła na sofie, wzięła go, otworzyła na pierwszej stronie i przywołała mnie, żebym usiadła przy niej. Zaczęła mi opowiadać historię swojego utraconego świata.

Był kwiecień 1939 roku. Planowali przyjęcie od wielu tygodni, ale Inge chciała, żeby już było po wszystkim, a tymczasem musiała jeszcze przetrwać kolację. Mama i krawcowa zrobiły straszne zamieszanie wokół każdego elementu jej stroju na konfirmację, od wyboru najlepszej białej jedwabnej organdy po zdobienie przy dekolcie, ale Inge uznała, że rezultat wypadł staroświecko i brzydko. Sukienkę swoich marzeń oglądała w żurnalu, razem z przyjaciółką, Lotte, rozplływały się nad nią godzinami, póki nie przerwała im starsza siostra Lotte. Kreacja była w ulubionym stylu gwiazd filmowych, o eleganckim kroju, z brzoskwiniowej satyny i dekoltem w serce, rękawami ledwo zakrywającymi ramiona, spódnicą luźno spływającą z bioder i zakończoną długim trenem. Starannie wycięła zdjęcie i pokazała je w nabożnym podziwie Friedzie, która parsknęła śmiechem.

– *Liebchen*, jesteś o wiele za młoda na taką suknię! Poza tym konfirmacja to poważna uroczystość, a nie przyjęcie dla gwiazd.

Zza drzwi salonu słyszała salwy śmiechu, kiedy Frieda opowiadała później o wszystkim przyjaciółkom.

Policzki paliły ją na samo wspomnienie tego śmiechu, kiedy stała tamtego ranka w kościele i czekała, aż msza się skończy. Tylko pastor wywołał uśmiech na jej twarzy, kiedy jej powiedział, że ślicznie wygląda.

– Już niedługo wystąpisz w swojej pierwszej sukni balowej! – powiedział i puścił do niej oko. Był dużym mężczyzną, a jego imponujące rozmiary łagodziło przyjazne, dobrodusze obejście. Jej rodzice zawsze rozmawiali z pastorem z sympatią i szacunkiem. Jednak ostatnio usłyszała, jak ojciec powiedział w domu do Friedy przyciszonym tonem, że pastor musi zacząć bardziej uważać. Zastanawiała się, co miał na myśli, ale odgadła, że chodziło o to, w jaki sposób zaczął odmawiać modlitwy podczas cotygodniowych nabożeństw.



Albert i Frieda w domu

Wiegandtowie należeli do Kościoła luterańskiego, jak przeważająca większość mieszkańców Królewca, mało absorbującego, wyważonego wyznania, które wymagało do nich tylko udziału w niedzielnej mszy. W przeciwieństwie do wielu innych duchownych w owym czasie, ich pastor nie wstydził się otwarcie trzymać żelaznych chrześcijańskich zasad. Przejrzał na wylot nazistowską ksenofobiczną retorykę i setki dekretów, które od sześciu lat, odkąd naziści

znaleźli się u władzy, ograniczały publiczne i prywatne życie obywateli żydowskiego pochodzenia. Nie potrafił zignorować płonących synagog, upadających żydowskich przedsiębiorstw, prześladowań żadnej grupy, która padła ofiarą nazistów, ponieważ nie chciała dostosować się do ich ideologii. Od dnia, gdy Hitler zdobył władzę, kazania pastora się zmieniły. Wychwalał moc pokoju i tolerancji jak nigdy przedtem, a jego wystąpienia stawały się z miesiąca na miesiąc coraz żarliwsze. Każde nabożeństwo kończyło się zaintonowaniem *Ojciec nasz*, z dostosowanym do sytuacji ostatnim wersem. Wiegandowie wyczekiwali na to z przymkniętymi oczami i nie śmieli spojrzeć na siebie nawzajem, kiedy głos pastora z pełną siłą spadał na obecnych reprezentantów nazizmu. I zrobił to również tamtego ranka, na mszy confirmacyjnej Inge, kiedy wyłowił wzrokiem kuzyna matki w mundurze Luftwaffe, pod ramię z elegancką żoną.

– Ale zbaw nas od TEGO złego.

Albert zmarszczył brwi, kiedy zobaczył młodego człowieka. Frieda próbowała go uspokoić, kiedy usłyszała, jak mówi podniesionym głosem:

– Ci młodzi ludzie myślą, że wojna to zabawa.

Inge wiedziała, że ojciec walczył podczas ostatniej wojny. Nadal lekko utykał od kawałka szrapnela, który utknął mu w kolanie i wywoływał ataki reumatyzmu. Wiedziała, że jej matka służyła na froncie wschodnim jako pielęgniarka, ale nie potrafiła sobie wyobrazić żadnego z nich na wojnie. Romantyczność okoliczności w ogóle jej nie pasowała do statecznych, szanowanych rodziców w średnim wieku. Opowiadali o tym niewiele, z przerażeniem, lecz Inge myśl o wojnie wydawała się dość ekscytująca w porównaniu z szarzyzną ich świata. Myślała, że kuzyn wygląda bardzo korzystnie w mundurze pilota, a jego jasnowłosa żona w białej satynowej sukni jest jak kobiety, które podziwiała w czasopiśmie.

Pomyślała, że wujek Max opowiedziałby żart i poprawił nastrój ojcu. Serce jej się ścisnęło, gdy sobie przypomniała, że wujka Maksa nie ma już z nimi. Nie był krewnym, lecz najlepszym przyjacielem taty; nazywała go „wujkiem” od najwcześniejszych lat. Prowadził modny klub w centrum miasta, gdzie zbierała się śmietanka towarzyska Królewca na drinki, kolacje, tańce. Co wtorek Max, Albert i jeszcze ich dwaj przyjaciele spotykali się w prywatnym gabinecie, gdzie do późnej nocy grali w szachy i rozmawiali o polityce, z dala od obcych uszu. Spytała mamę, o czym tak długo rozmawiają i dlaczego Albert często wraca taki zmartwiony. „O polityce – odparła Frieda. – Najlepiej dać im wtedy spokój”. Inge wiedziała, że rodzice nie bardzo lubią Hitlera, chociaż z innymi rozmawiali o nim bardzo ostrożnie. Mama wyjaśniła jej, że nie jest bezpieczne mówić ludziom, nawet przyjaciołom, o swoich przekonaniach. Ale Max nie potrafił zachowywać się dyskretnie.

– Nie zamierzam robić na ich wezwanie tego małego salutu – powiedział.

Rok temu pewnego wieczoru tata wrócił z klubu wcześniej, z bardzo zmartwioną twarzą, i powiedział Friedzie, że zabrali Maksa. Usiadł na sofie ze łzami w oczach, a żona otoczyła go ramieniem i słuchała, czego się dowiedział od starego barmana.

W zeszłą sobotę wieczorem w restauracji kolację jadł wysoko postawiony nazistowski urzędnik. On i dwóch innych podeszli do Maksa i powitali go salutem „Heil Hitler!”. Barman uważał, że zrobili to specjalnie – opinia Maksa o nazistach była powszechnie znana.

– Herr Max tylko uchylił kapelusza, jak zawsze, Herr Wiegandt – opowiadał barman – i odpowiedział: „Dobry wieczór, panowie”. Nic by go nie zmusiło do *Sieg Heil*, Herr Wiegandt, ale wie pan, to tylko gest, a mógł go uratować!

Wczesnym wieczorem we wtorek, zanim Albert przyszedł do klubu, zjawili się policjanci i zabrali Maksa.

– Musisz iść do jego żony – powiedziała Frieda.

– Tak – odparł Albert. – I musimy być teraz bardzo ostrożni.

ROZDZIAŁ DRUGI

Czas mroku

Te pierwsze migawki z przeszłości babci rozbudziły moją ciekawość. Chciałam się więcej dowiedzieć o Wiegandtach, o życiu między wojnami, rzuciłam się więc na książki o tamtym okresie. Przebiłam się przez tomiszczę o republice weimarskiej i kolejne, o gospodarce w okresie międzywojennym. W antykwariacie w Hamburgu znalazłam stos kobiecych czasopism z końca lat dwudziestych. Obejrzałam przepisy, rubryki z poradami, reklamy domów mody.

Często myślałam o zdjęciu babci z confirmacji. Życie, jakie przedstawiało, przypomniło mi serię ukochanych książek z dzieciństwa, *Nesthäkchen* Else Ury. Dziesięć tomów opowiadało historię typowej niemieckiej dziewczynki z klasy średniej, Annemarie Braun, córki lekarza z Berlina, od dzieciństwa tuż przed pierwszą wojną światową do wymyślonej przyszłości. Pierwsza książka ukazała się w 1918 roku, kolejne wydania wychodziły aż do 1952 roku. Wygrzebałam moje stare egzemplarze przechowywane na strychu domu rodzinnego we Francji i przekartkowałam. Uświadomiłam sobie, że nigdy nie przeczytałam czwartego tomu, którego akcja rozgrywa się w czasie pierwszej wojny światowej. Po krótkich poszukiwaniach znalazłam lakoniczną biografię Ury, która ujawniła przyczynę: Ury była gorliwą patriotką i jej opis wojny z tego tomu współcześni niemieccy wydawcy uznali za zbyt nacjonalistyczny. Ale to ostatnie zdanie, zdanie o miejscu i czasie śmierci, pozbawiło mnie tchu: Auschwitz, 1943.

To było jak brutalne przypomnienie, że wszystkie osoby, które patrzyły na mnie z małego czarnego albumu, żyły w tamtych latach. O czym myśleli, czego się bali, jakie skrywali sekrety? I czy naprawdę chciałam się tego dowiedzieć?

Inge czy też Ingeborg Gertrud Wiegandt, jak została ochrzczona, miała osiem lat i chodziła do szkoły podstawowej, kiedy Adolf Hitler zagarnął absolutną władzę w marcu 1933 roku. Minęło zaledwie dziewięć miesięcy od walki na wianki, ale w Prusach Wschodnich, jak zresztą w całych Niemczech, wiele się zmieniło. W lipcu poprzedniego roku partia nazistowska zdobyła w wyborach większość

w Reichstagu, co uruchomiło falę terroru i doprowadziło do śmierci wielu ludzi. W styczniu prezydent Paul von Hindenburg mianował Hitlera kanclerzem Rzeszy. Pod koniec marca, po kolejnych wyborach, które jeszcze zwiększyły przewagę partii nazistowskiej, uchwalona poprawka do konstytucji uczyniła go dyktatorem.

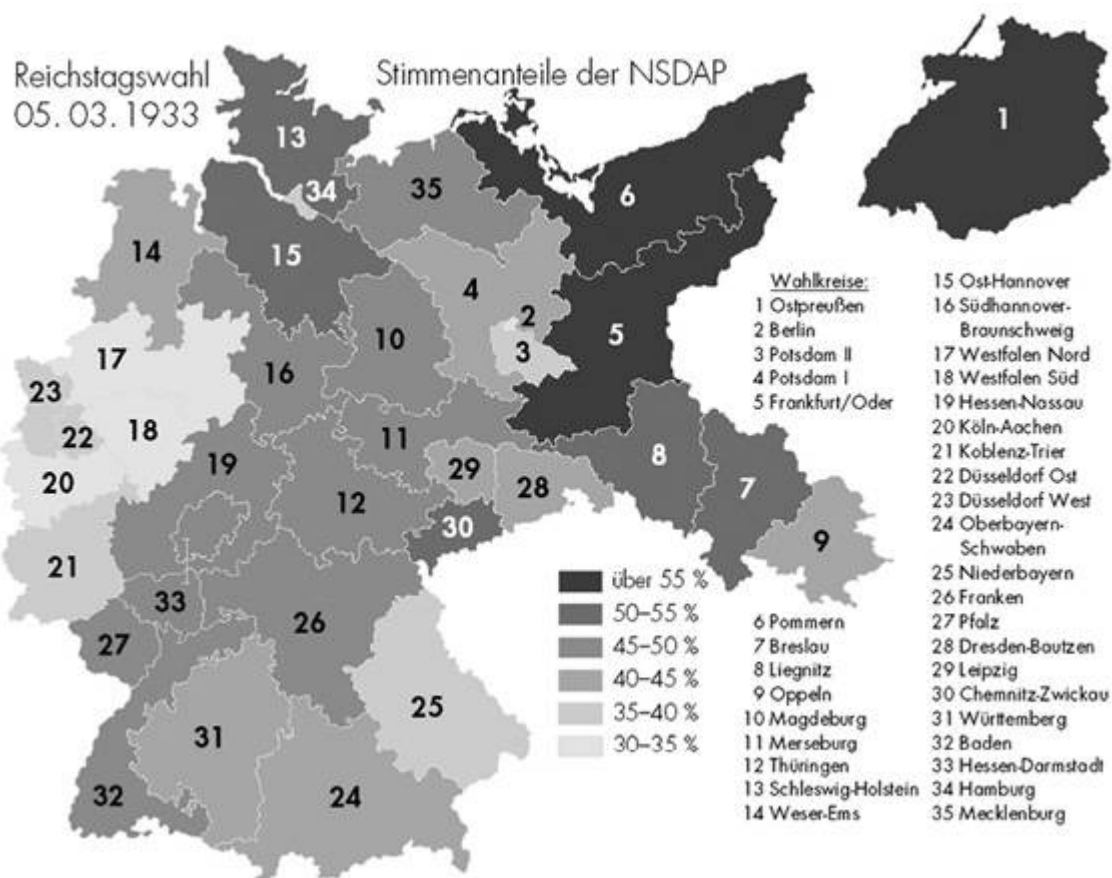
Szybkość awansu Hitlera zdumiewała, a już najbardziej w Prusach Wschodnich, gdzie w ciągu zaledwie pięciu lat poparcie dla partii nazistowskiej wzrosło od jednego procenta do poziomu najwyższego w całej Rzeszy. Nic z wcześniejszej wyborczej historii Prus Wschodnich nie wskazywało na taką przemianę. Od dziesięcioleci Królewiec wykazywał raczej tendencje lewicowe. Nawet kiedy po 1920 roku większość głosujących przerzuciła się na prawicową Niemiecką Narodową Partię Ludową (Deutschnationale Volkspartei, DNVP), lewe skrzydło socjaldemokratów nadal zdobywało tu znaczne poparcie, co nie pozwalało się przebić populistycznej retoryce nazistowskiej. Nie lepiej naziści radzili sobie na wiejskich obszarach Prus Wschodnich, zdominowanych przez stare posiadłości junkrów, gdzie głoszący opowiadali się za partiami konserwatywnymi lub tradycyjnymi nacjonalistycznymi. Wszystko zmieniło się w 1928 roku po mianowaniu gauleiterem Prus Wschodnich, czyli regionalnym przywódcą partii, Ericha Kocha^{k3}.

Gwałtowność, z jaką nazizm zyskał dominację w politycznym krajobrazie Prus Wschodnich, może posłużyć za lekcję, jak szybko umacniają się ideologie autorytarne, gdy się im pozwoli rozpedzić. To podręcznikowy przykład, jak jeden ruch uwiódł całe Niemcy. Podobnie jak większość skrajnych ideologii, nazizm karmił się słabością i strachem, a Koch, zręczny działacz polityczny, szybko wyczuł te nastroje i nauczył się je wykorzystywać z niszczycielskim skutkiem. Region był najbardziej wysuniętą na wschód częścią niemieckiego terytorium, co od dawna dawało mu specjalny status wśród nacjonalistów, którzy uważali go za obłączone pogranicze. Królewiec był tygłem wielu kultur, głównie wywodzących się ze wschodu; na ulicach miasta często słyszało się łotewski, litewski, polski i jidysz. W chwili wybuchu drugiej wojny światowej na południu Prus Wschodnich mieszkało trzysta tysięcy Polaków, a na wschodzie regionu – pięćdziesiąt tysięcy Litwinów. Wschodniopruskie rodziny, takie jak Wiegandtów, miały skłonność do określania swej tożsamości na podstawie typowo wschodnich wyznaczników, w przypadku Friedy i Alberta – Królewca i wybrzeża Bałtyku. Od Berlina dzielił ich cały dzień podróży – dwa razy dłuższej niż do Warszawy. Albert zamawiał garnitury w Pradze i importował wina z Czech, a nie z zachodnich Niemiec. Rodziny Alberta i Friedy mieszkały w Prusach Wschodnich od pokoleń. Nie wyobrażali sobie, by Inge i jej dzieci mogły żyć gdzie indziej. Siostra Friedy, Gertrud, wyprowadziła się po ślubie do Berlina, ale zmarła młodo, zrywając jedyne powiązanie Wiegandtów z resztą kraju. Na

wakacje wyjeżdżali na piękne, dogodnie położone wybrzeże Bałtyku, zwykle do Rauschen, chociaż raz Albert zabrał Friedę i Inge do Nidy po stronie litewskiej, kilka godzin jazdy na wschód.

Traktat wersalski, którego mocą zwycięzcy pierwszej wojny światowej nakreślili nowe granice i zobowiązania Europy w 1919 roku, jeszcze pogłębił wschodniopruską izolację, przekazując pas ziemi między Prusami Wschodnimi a zachodnimi Niemcami wskrzeszonemu niepodległemu państwu polskiemu. Decyzję podjęto głównie na podstawie przesłanek etnicznych, ponieważ większość tamtejszej ludności stanowili Polacy, a była ona tylko niewielkim elementem traktatu obarczającego Niemców winą za konflikt, który rzucił Europę na kolana¹. Ale to jeszcze bardziej odcięło region i sprowadziło na niego trudności ekonomiczne. W praktyce utrudniło też podróżowanie na zachód: obywatele niemieccy przemieszczający się do Prus Wschodnich lub z powrotem musieli posiadać wizę tranzytową, a podczas przejazdu przez polskie terytorium pociągami wymagano zaciągnięcia zasłon, by pasażerowie nie mogli wyglądać przez okna. W handlu oznaczało to, że towary wcześniej przewożone lądem teraz musiały być transportowane morzem, przez co poszybowały koszty zarówno importu, jak i eksportu. Prusy Wschodnie zostały kompletnie odcięte, a obszar, nazywany korytarzem polskim lub gdańskim, stał się symbolem i zarazem symptomem izolacji Prus Wschodnich.

Podczas gdy wiejskie tereny Prus Wschodnich tradycyjnie popierały partie konserwatywne i nacjonalistyczne, tuż po pierwszej wojnie światowej Królewiec pozostawał enklawą liberalnej lewicy. Sytuacja zaczęła się zmieniać w latach dwudziestych, kiedy lata kryzysu gospodarczego pogłębiły geograficzną izolację Prus Wschodnich, region stał się bardzo podatny na protesty polityczne. Partia nazistowska na początku z trudem wywalczyła sobie przyczółek na tym terytorium. Najpierw znalazła odzew na prowincji, obiecując wprowadzenie zakazu zajmowania obciążonych nieruchomości i zwiększenie nakładów na rolnictwo. Potem, stopniowo, jej popularność rozciągnęła się na Królewiec. Przedstawiając region jako bastion niemieckości otoczony przez wrogów, naziści zapewniali wyborcze rozwiązanie robotnikom o sympatiach nacjonalistycznych, dla których tradycyjne partie prawicowe były zbyt burżuazyjne. Nawet przedstawiciele klas średnich zaczęli postrzegać nazizm jako sposób na wyrażenie protestu wobec trudności gospodarczych, które nękały ich od dekady. Dla urodzonego propagandysty, takiego jak Koch, był to polityczny dar z nieba.



Rozkład głosów na Narodowosocjalistyczną Niemiecką Partię Robotników, marzec 1933 roku

Koch, syn robotnika fabrycznego, urodził się w 1896 roku w Elberfeldzie w Zagłębiu Ruhry. Ku antykomunistycznemu skrajnemu nacjonalizmowi zwrócił się we wczesnej młodości, po przelotnym flircie z rewolucyjnym socjalizmem, kiedy służył w wojsku podczas pierwszej wojny światowej. Gorliwy nazista był jednym z najwcześniej nawróconych na narodowy socjalizm. Lubił się przechwalać, że był pięćdziesiątym członkiem partii, kiedy do niej wstąpił w 1922 roku. Po mianowaniu na regionalnego szefa partii przekonał nazistowskie władze, żeby pozwoliły mu dostosować przemówienia tak, by grały konkretnie na wschodniopruskich obawach. Koch słusznie przypuszczał, że antypolska i antybolszewicka retoryka mocniej przemówią do miejscowej ludności niż ogólne nazistowskie banały, takie jak rola „międzynarodowego żydostwa” w hamowaniu rozwoju Niemiec, kryzys światowego bankierstwa czy rasowe zagrożenie dla państwa, i zgodnie z tymi założeniami przygotowywał swoje przemówienia.

Grał również na ekonomicznej wrażliwości regionu. Chociaż Niemcy jako całość zostały bardzo osłabione finansowymi żądaniami postawionymi im przez

traktat wersalski, Prusy Wschodnie dodatkowo obciążały koszty importu. Trudności tranzytowe wywołane przez gdański korytarz wyśrubowały ceny surowców, towarów przemysłowych i dóbr konsumpcyjnych, a w Królewcu szczególnie, ponieważ miasto należało do najdroższych miejsc do życia w Rzeszy. Sytuację pogarszał fakt, że zarobki w regionie były o siedemdziesiąt procent niższe od średniej krajowej. Osłabione kosztami modernizacji i skrzepowane feudalną strukturą wielkich gospodarstw opartych na dzierżawie, warunki i praktyki w rolnictwie były zacofane o dziesięciolecia.

Koch skupił się najpierw na wiejskich obszarach Prus Wschodnich. Podsycając nacjonalistyczne nastroje, opowiadał się jednocześnie za ulgami podatkowymi dla rolników i odstąpieniem od przejmowania zadłużonych gospodarstw. Jego strategia zadziałała i wyborcy, którzy tradycyjnie udzielali poparcia ksenofobicznej, nacjonalistycznej, ale należącej do głównego nurtu DNVP, zagłosowali na nazistów. W miarę jak rosła popularność narodowych socjalistów, nawet wielu junkrów, którzy początkowo uważali Hitlera za zagrożenie, uznało, że może się przydać jako strażnik przeciwko ekscesom lewicy, czego wielu potem gorzko żałowało².

Nawet w samym Królewcu urok nazizmu okazał się nieodparty. W mieście głównym winowajcą była apatia: chociaż tamtejsza inteligencja i klasa średnia obawiała się przemocy i populistycznej retoryki Hitlera, to przekonywały siebie, że lepiej nic nie robić, byle nie dopuścić komunistów do władzy. Moi prapradziadkowie myśleli tak samo. Byli bezstronnymi, oświeconymi ludźmi, którzy prywatnie wyrażali niepokój przed ideami i metodami Hitlera. Sądząc po kręgu ich przyjaciół i wspomnieniach mojej babci, żadne z nich nie było antysemitą. Frieda była gorliwą chrześcijanką, która, kiedy mała Inge powtórzyła antysemitki brednie zasłyszane od koleżanek, powiedziała jej, że wszyscy są równi przed Bogiem. Opowiadała wnuczkom o swoich żydowskich przyjaciółkach z Królewca, którym udało się uciec. Przypominając sobie te opowieści lata później, kiedy zaczęłam poszukiwania, moja matka i jej siostra stwierdziły, że nigdy nie ośmieliły się zapytać o tych, którzy uciec nie zdołali.

Ale chociaż nie głosowali na nazistów, to również nie protestowali przeciwko nim. Protest polityczny nie mieścił się w światopoglądzie ani Alberta, ani Friedy. Interes Alberta kwitł, ich życie było wygodne i bezpieczne, wybrali więc łatwiejszą drogę, odrzucając Hitlera jako krótkotrwałą czkawkę, która wkrótce ustąpi. Gdyby wiedzieli, jak szybko naziści umocnią się u władzy, mogliby, w tym wczesnym okresie, kiedy kary za protest nie obejmowały jeszcze uwięzienia ani śmierci, zająć bardziej zdecydowane stanowisko. Ale spojrzenie z perspektywy czasu jest luksusem, więc nie mogę być tego pewna.

Gdy apatia umiarkowanych pozwoliła im się rozwijać bez przeszkód, naziści rozkwitli. Instykt nie mylił Kocha. W 1928 roku w Królewcu do partii należało zaledwie osiemdziesiąt osób, a dwieście czterdzieści dziewięć w całych Prusach Wschodnich. W marcu 1933 roku, w wyborach, które przyniosły Hitlerowi miażdżące zwycięstwo, naziści zdobyli 56,5 procent głosów w Prusach Wschodnich, 12,6 procent więcej niż średnia w całym kraju, najwięcej w całych Niemczech. Nie było zbiegiem okoliczności, że naziści uzyskali najlepsze rezultaty w trzech regionach, które graniczyły z Polską.

Nie o takim Królewcu babcia opowiadała w pierwszych latach po odkryciu przeze mnie czarnego albumu. Pamięć jest zwodnicza, kiedy przychodzi do wspomniania wydarzeń i miejsc z naszego dzieciństwa; opowiada nam historię naszej przeszłości wyidealizowaną i zniekształconą przez upływ czasu. Strata jest najmocniejszą z tych emocjonalnych soczewek, obdarzającą miejsca, do których nie możemy wrócić, magią powiększającą dobro i zmniejszającą zło.

W rozmowach prowadzonych przez kolejne sześć lat, podczas rodzinnych wakacji we Francji, gdy siadywałyśmy na tarasie, moja babka odmalowywała niemal doskonały świat. Być może podważałabym jej wizję w większym stopniu, gdybyśmy widywały się częściej, ale spędzałyśmy razem mało czasu i bałam się, że zbyt natarczywe wypytywanie mogłoby zakłócić strumień jej wspomnień i intymność, która tak niedawno nas połączyła. Nie chciałam, żeby ta wylewna kobieta, zatopiona we wspomnieniach, zmieniła się z powrotem w tę pełną rezerwy, zamkniętą osobę, jaką była wcześniej. Pozwalałam więc jej prowadzić się w świat najwyraźniej nieskażony najmocniejszym okresem w dziejach Europy. Słuchałam, jak mówi o starych miejscach, zwyczajach i rytmie swojego życia w dzieciństwie. Każdy drobiazg skłaniał ją do mówienia: wzmianka o jej drugim imieniu, którego zawsze nienawidziła, pytanie o ulicę, przy której mieszkali Wiegandtowie, widok filiżanki podobnej do tej, jaką niegdyś mieli jej rodzice. Z obawy, by czar nie przysł, mogłam tylko słuchać.



Albert nad Pregolą

Opowiadała o kraju dobroci i obfitości, bezpieczeństwa i śmiechu. O małpce, którą Albert kupił Friedzie, a która była tak zazdrosna o Inge, że musiał ją oddać przyjacielowi. Opisywała miejskie place zastawione latem koszami kwiatów i grupy łyżwiarzy na zamarznętej Pregole, gdy tylko zimą lód stawał się wystarczająco gruby. Jej opowieści miały niemalże cechy baśni, wolnej od wszelkich odcieni szarości. Dawały wgląd w życie wśród przywilejów i miłości w kraju, który kochała. A ja faktycznie odnajdywałam wiele beztroski na starych zdjęciach w czarnym albumiku, w grupie spacerowiczów na wydmach, w uśmiechniętych twarzach wokół stołu w jadalni Wiegandtów. Matka często nazywała Friedę kobietą promieniującą dobrocią, w jej wspomnieniach Albert był łagodnym i czułym mężczyzną. Odczytywałam te cechy w twarzach, na które spoglądałam; Alberta, okrągłej i odprężonej, i Friedy o dobrych oczach, z macierzyńskim uśmiechem na wargach. Ale za każdym razem, gdy przeglądałam album, patrzyłam też na kuzyna w mundurze Luftwaffe. Przypominał mi o tym, co

opowieści babci ukrywały: że wspomniany przez nią Królewiec przez większą część jej dzieciństwa był miejscem przemocy i strachu.

Po dojściu nazistów do władzy w 1933 roku życie królewieckich Żydów nigdy już nie było takie samo. Według czerwcowego spisu w mieście wciąż mieszkało trzy tysiące stu siedemdziesięciu Żydów. Koch, wkrótce po wyborczym zwycięstwie NSDAP obdarzony tytułem Oberpräsidenta, zaczął odciskać na regionie swe piętno z niemal natychmiastowym skutkiem. Był jednym z nielicznych otwarcie praktykujących chrześcijan w partii i jednocześnie stał się jednym z najokrutniejszych administratorów Hitlera; chociaż dla doraźnych celów politycznych bez trudu rezygnował z antyżydowskiej retoryki, był zajadłym antysemitą. Gdy doszedł do władzy, skupił się na prześladowaniu Żydów w Prusach Wschodnich, poczynając od licznej społeczności królewieckiej. Dla nich życie zmieniło się w mgnieniu oka. Wkrótce antyżydowska propaganda zdominowała kroniki filmowe, seanse w kinach i radiowe komunikaty. Szybko antysemityzm został wpisany w prawa regulujące codzienne życie w Rzeszy. Zaczęło się w 1933 roku od palenia książek autorów żydowskich lub antynazistowskich. W 1935 roku ustawy norymberskie odarły Niemców spełniających nazistowskie kryteria „żydowskości” – posiadających troje lub czworo żydowskich dziadków – z prawa do głosowania i zakazały mieszanych małżeństw; ci z mniejszą liczbą żydowskich przodków nazywani byli *Mischling*, a prawo rozszerzono też na ludzi pochodzenia romskiego i obywateli ciemnoskórych. W 1936 roku Żydom zakazano wstępu do parków, na baseny i do restauracji, a dwa lata później odcięto od teatrów, sal koncertowych i muzeów. Wielu żydowskich studentów usunięto ze szkół i z uniwersytetów, zanim formalnie zostali wykluczeni z powszechnych „niemieckich” szkół w 1938 roku. Do chwili wybuchu wojny w 1939 roku wprowadzono ponad dwieście pięćdziesiąt antyżydowskich aktów prawnych.

Nikt nie opisuje tej nagłej zmiany bardziej obrazowo niż Michael Wieck w swoich wspomnieniach o życiu Żyda w Prusach Wschodnich^{k4}. W 1935 roku Wieck wciąż chodził do zwykłej niemieckiej szkoły. Pod koniec tamtego roku systematyczne wykluczanie go ze szkolnych wydarzeń doprowadziło większość kolegów do podchwycenia, początkowo bezmyślnie, antyżydowskich kpin i dowcipów, jakie codziennie słyszeli w radiu; wkrótce potem uwierzyli już w najbardziej wypaczone rasistowskie brednie nazistów. To zalegalizowane prześladowanie posiało ziarna nienawiści, która osiągnęła punkt kulminacyjny nocą 9 listopada 1938 roku, kiedy Inge miała czternaście lat. Członkowie paramilitarnych oddziałów nazistowskich i cywile niszczyli i plądrowali żydowskie firmy i domy, demolowali szkoły i szpitale oraz bili i zabijali tych, których tam zastali, podczas gdy policjanci biernie się przyglądali. Odłamki

rozbitego szkła, które pokrywały ulice niemieckich miast i miasteczek następnego dnia, dały nazwę temu pogromowi: *Kristallnacht*, noc kryształowa.

Tamtej nocy zostały zniszczone obie królewieckie synagogi, stara i nowa. Wydarzenia, które zaszokowały świat, skłoniły wielu Żydów z miasta do emigracji, zanim będzie za późno. W 1939 roku żydowska społeczność miasta zmniejszyła się o sześćdziesiąt procent. Tych, którzy zostali, siłą wyrzucano z domów i wysyłano do obozów. W czerwcu 1942 roku czterysta sześćdziesiąt pięć osób przewieziono do obozu zagłady w Małym Trościeńcu koło Mińska. Nielicznych pozostałych w następnych miesiącach przetransportowano do getta w Theresienstadt i do Auschwitz. Taki był koniec społeczności, której początki w Królewcu sięgały XVI wieku.

Tak wyglądały zimne, twarde fakty, które uniemożliwiały mi czerpanie pełnej przyjemności, jaką w innej sytuacji miałabym ze wspomnień babki o jej dawnym dzieciństwie. Jak Wiegandtowie, których uważałam za miłych, oświeconych i sprawiedliwych, mogli to znosić w milczeniu? Kiedy nie dało się już ignorować zbrodniczej, nieludzkiej twarzy nazizmu? W chwili confirmacji w wieku czternastu lat moja babka była na progu kobiecości, z pewnością dość duża, by dostrzec brzydotę przebijającą zza idealnego życia, które opisywała. Chodziło o strach czy po prostu o bierność? Nie znalazłam natychmiastowych, łatwych odpowiedzi. Nie wiedziałam, jak Albert i Frieda reagowali na coraz surowsze kary za opozycyjne wypowiedzi, obowiązkową obecność córki na nazistowskich wydarzeniach młodzieżowych, zniszczenie żydowskich przedsiębiorstw czy brutalność, która stała się częścią codziennego życia.

Znałam tylko anegdotki, które Frieda opowiadała mojej matce, a które świadczyły o tym, że Wiegandtowie przystosowywali się do coraz bardziej spolaryzowanego świata. Albert zakazywał Inge powtarzania propagandy wbijanej do głów w szkole lub w organizacjach młodzieżowych, do których musiała należeć. Zanim wybuch wojny wzbudził w nim głód informacji, wyłączał radio po pierwszych dźwiękach jakiegokolwiek oficjalnej audycji partyjnej. Niektórych opowieści słuchałam z cięższym sercem, jak tej o domu zakupionym przez Alberta od żydowskiego sąsiada, który wybrał emigrację na początku lat trzydziestych. Sąsiad chciał sprzedać nieruchomość, zanim zostanie skonfiskowana, a Albert skorzystał z okazji; mogłam jedynie mieć nadzieję, że zapłacił uczciwą cenę, ale tego się nigdy nie dowiem. Uderzyło mnie też, jakie historie Frieda, łagodna kobieta żyjąca według chrześcijańskich zasad, tak sobie drogich, powtarzała mojej matce. Wspomnieniami, do których wracała w latach po wojnie, były te małe akty oporu, takie jak modły pastora czy odmowa nazistowskiego salutu przez Maksa, rzadkie przebłyki człowieczeństwa w Niemczech, które straciły wszelkie prawa do tego tytułu.

Nawet ja, dwa pokolenia później, znałam złożony stosunek Niemców do własnej przeszłości. Dorastając we Francji, czułam ten sam wstyd za każdym razem, gdy nauczyciel opowiadał klasie o nazistach. Czułam, że podczas wojny Niemcy podzielili się na tych dobrych, którzy stawiali opór, albo złych, zbrodniarzy. Nigdy nie myślałam o ludziach, których niezgoda była cicha lub niewypowiedziana, o tych, którzy z braku heroizmu lub nawet zwykłej odwagi woleli patrzeć w drugą stronę, postępować tak, jak nakazywała chęć przetrwania. I mimo przyjemności, jaką czerpałam z naszych rozmów, czułam, że babka coś skrywa. Nigdy nie mówiła o wojnie. Czy bała się, że powrót do czasu pełnego ciemności przełamie czar, jakim osnuła wspomnienia z dzieciństwa? A może istniały jakieś niewypowiadalne prawdy, których nie chciała po prostu ujawniać? Nie wiedziałam wówczas, że chodziło nie tylko o wojnę, ale o część jej samej, która ją określała i ukształtowała, a którą uparcie skrywała. Mogłabym nigdy jej nie odkryć, gdyby nie cios, który zniszczył tok jej życia sześć lat po tym, jak zadzwoniłam do niej z Kaliningradu.

1. Ponieważ nacjonałiści opowiadali się za odbudową silnych Niemiec, gdański korytarz, jak nazywano ten pas ziemi, zyskał niemal mityczny status, a jego odzyskanie stało się *raison d'être*. Rozdmuchiwali opowieści o złym traktowaniu etnicznych Niemców na terenie Polski, która właśnie odzyskała niepodległość, i podsycali nienawiść do etnicznych Polaków. Do 1923 roku ponad pół miliona Niemców opuściło „korytarz”. (Wszystkie przypisy z asterykiem, jeśli nie zaznaczono inaczej, pochodzą od autorki). [\[wróć\]](#)
2. Wielu zaangażowanych w spisek na życie Hitlera w lipcu 1944 roku wywodziło się z rodów junkierskich. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ TRZECI

Pogrzeb

To śmierć wywołała pierwsze pęknięcie w na pozór starannie ułożonym życiu babci. A konkretniej pogrzeb jej męża, z którym spędziła prawie sześćdziesiąt lat.

Vati był podporą babci, jej opoką; ponieważ był młodszy od niej, zawsze zakładaliśmy, że ją przeżyje. Kiedy odszedł z nienacką, w wieku osiemdziesięciu dwóch lat, czuliśmy, że żal ją przytłoczy.

W lipcu 2012 roku matka, brat, ciotka i ja spotkaliśmy się w Kilonii na kilka dni przed ceremonią, żeby pomóc babci w załatwieniu spraw po śmierci Vatiego. Horst Irmen, czyli Vati, jak go nazywaliśmy, urodził się i całe życie przemieszkał na północnym wybrzeżu Niemiec, a jego wysmagana wiatrem twarz świadczyła o wielu godzinach spędzonych na spacerach po wietrznych plażach. W testamencie zawarł proste życzenie: jako ateista przez całe dorosłe życie nie lubił koncepcji trumny i chciał, żeby jego prochy rozsypano nad morzem.

Wynajęliśmy mały drewniany kuter, by nas zabrał ze Strande, wioski na Półwyspie Jutlandzkim, w słoneczny wtorkowy poranek w lipcu. Skierowaliśmy się jakiś kilometr od wybrzeża, do miejsca, gdzie według niemieckiej biurokracji mogła legalnie spocząć urna z prochami Vatiego. Na pokładzie było nas tylko dwanaścioro, nasza najbliższa rodzina i kuzyni Vatiego oraz paru przyjaciół; wadą starości jest to, że przeżywa się ludzi, których się znało najdłużej.

Pod pokładem przygotowany był posiłek złożony z krewetek, wędzonego węgorza, żytniego chleba i plasterków cebuli oraz kwaśnej śmietany. Na stole znalazła się też fotografia Vatiego w ramkach, która zwykle stała na regale u dziadków. Sznaps i piwo lały się strumieniami, była to typowa północnoniemiecka stypa. Babcia siedziała bardzo cicho pod pokładem, kryjąc się za ciemnymi okularami, owinięta, mimo lipcowego ciepła, w sztuczne futro w lamparcie cętki, które przytłaczało jej drobną postać. Zapadła się w sobie i niewiele mówiła, patrzyła jedynie w przestrzeń, zapomniawszy o stojącym przed nią zdjęciu Vatiego. Otoczyłam ją ramieniem; wydawała się tak drobna, że objęłam ją niemal całą, ale prawie nie zareagowała na mój dotyk. Od śmierci

Vatiego wszyscy zadawaliśmy sobie to samo pytanie: jak ona, tak zależna od męża, da sobie radę sama?

Kuter zatrzymał się przy pojedynczej czerwonej boi, która oznaczała morski cmentarz; brzeg i zabudowania ledwo majaczyły w oddali. Pomogłam babci wspiąć się po schodach i wszyscy zebraliśmy się przy burcie, by patrzeć, jak urna zanurza się w wodzie. Jarmarczny motyw z muszelek nadawał jej absurdalnie śródziemnomorski wygląd, ostatni żart człowieka, który całe życie spędził nad lodowatymi prądami Bałtyku. Urna unosiła się przez chwilę, niewiarygodna plama ochry w błękicie, po czym zatonała. Słońce przygrzewało mocniej, ale babcia, teraz cicho szlochająca, wciąż otulała się zimowym płaszczem. Młodszy kuzyn Vatiego, Christian, odchrząknął. Przygotował kilka słów i opowiedział o ich wspólnych wakacjach, o tym, jak Vati był szczęśliwy z Inge, o jego radości z narodzin dwóch córek. Pełen czułości śmiech podsumował historyjkę o wyprawie rybackiej, jaką urządzili wspólnie któregoś lata.

Mój brat i ja spojrzeliśmy na siebie i poczuliśmy podobny niepokój. Przemowa Christiana była szczerym pożegnaniem kochanego człowieka przez kogoś, kto dobrze znał babcię i Vatiego od wielu lat. Jednak mimo tej intymności ani Christian, ani większość ludzi dokoła nie mieli pojęcia, że Vati nie był biologicznym ojcem mojej matki ani że urodziła się na długo przed pierwszym spotkaniem Vatiego i babci, chociaż kochał ją jak własne dziecko. Zerknęłam na mamę, żeby okazać jej milczące wsparcie; stała zbyt daleko, bym mogła ją wziąć za rękę. Uśmiechała się tym samym smutnym uśmiechem od chwili wypłynięcia w morze. Spojrzałam na babcię, która stała z twarzą nieprzeniknioną jak u Sfinksa, owinięta fałdami sztucznego lamparta, jak gdyby w ogóle nie słyszała tamtych słów.

Następne dni przypominały wir. Brat i ja, po wymianie spojrzeń, w ogóle nie wspominaliśmy o przemówieniu. Pomagaliśmy babci w porządkowaniu mieszkania i załatwianiu jej pomocy, ponieważ była słaba i nie mogła mieszkać sama. Poza tym w Kilonii miałam niewiele do roboty i spacerowałam godzinami, rozmyślając o słowach Christiana. Myślałam o historiach, które opowiadała mi babcia przez ostatnie sześć lat, odkąd zadzwoniłam z Kaliningradu, o dzieciństwie z taką miłością opisywanym. W narracji była luka, historia, która dotąd nie została opowiedziana. Były to lata jej pierwszej miłości, stawania się kobietą, wojny. Lata z tym mężczyzną, moim dziadkiem, którego przypuszczalnie kochała przed Vatem, a o którym tak niewiele wiedziałam. Matka wspominała, że poznali się z Inge w Berlinie, gdzie podczas wojny krótko się uczyła, a chociaż on przeżył wojnę, nigdy się nie zeszli.

Ale ja, o jedno pokolenie późniejsza, z moją świeżo odkrytą wiedzą o młodości babci, nie chciałam, żeby opowieść tu się kończyła. Dzięki naszym rozmowom o Królewcu poznałam Inge dziecko. Teraz chciałam poznać Inge kobietę. Chciałam usłyszeć o jej miłości, o tym, jak poznali się moi dziadkowie, co się między nimi działo i dlaczego się rozstali. Chciałam wiedzieć, dlaczego babcia nigdy mi o nim nie powiedziała. Co się stało w tych latach między idyllicznym dzieciństwem a zamieszkaniem w Kilonii?

Babcia i ja nie spędzałyśmy ze sobą wiele czasu w dniach po śmierci Vatiego. Rodzinny rozgardiasz, chociaż na różne sposoby pełen troski, i zmęczenie, jakie pojawiło się po szoku, skróciły nasze rozmowy. Dopiero ostatniego dnia, gdy przyszedłam się pożegnać i pocałowałam ją w policzek, wcisnęła mi coś w rękę. Było ciężkie i ściśle owinięte w pognieciony, jedwabisty papier.

– Chcę, żebyś to wzięła – powiedziała.

Zanim zdążyłam podziękować, odwróciła się i poszła do swojej sypialni.

To była bransoleta ze złotego pasa szerokości około dwóch centymetrów, z tych, które zatrzaskują się ciasno, piękna w swej prostocie. Gdy ścisnęłam ją palcami, zauważyłam, że mechanizm jest zepsuty i zamek się zatrzasnął. Mimo prób nie zdołałam jej otworzyć.

Sądziliśmy, że po śmierci Vatiego babcia poczuje się samotna, ale jej siła zaskoczyła nas wszystkich. W ciągu paru dni przyzwyczała się do jego nieobecności, wróciła do życia i swoich spacerów pozornie nieporuszona. Oczywiście opłakiwała go; jej ból po jego śmierci był szczery. Po prostu po zakończeniu ceremonii postanowiła pozostawić go w przeszłości i zrobiła to nieomal bezwzględnie. Niewiele mówiła o Vatiem, chociaż był jej stałym towarzyszem, a w ciągu miesiąca wyraziła zamiar, w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat, znalezienia nowego męża. Zaczęła nawet uczestniczyć w popołudniowych *Kaffe und Kuchen* w krematorium, które zajmowało się jego ciałem; powiedziała nam, że to równie dobry sposób na znalezienie nowych przyjaciół jak każdy inny. Ta odporność zrobiła na mnie wrażenie, ale zraniła jej córki. Widziały w tej sile bezdusznej praktyczności, zdradę człowieka, który kochał ją tak mocno i tak długo.

Jednak każdy umysł się odkształca, jeśli jest poddany zbyt dużej presji. Psycholodzy mają na to prozaiczną metaforę: tłumienie traumy, powiadają, jest jak wpychanie kołdry do szafy i zamykanie drzwi. Drzwi będą trzymały dopóty, dopóki pod wpływem najlżejszego nacisku nie otworzą się na oścież i wszystko wypadnie. W przypadku babci umysł zbuntował się jakieś dwa tygodnie po pogrzebie pod postacią snów na jawie.

Rozjechaliśmy się wszyscy na kilka dni do domów, zostawiając babcię pod okiem czujnej opiekunki i sąsiadki, kiedy moja matka o siódmej rano odebrała telefon z wiadomością, że zniknęła. Zaczęły się wizyty zmarłych.

Przychodzili do niej, kiedy spała, po przebudzeniu, kiedy parzyła kawę, wkładała płaszcz, a głosy mieli wyraźne, jakby nigdy nie odeszli. Pierwszy był jej ojciec, tamtego poranka, z propozycją, by poszli na śniadanie; oboje tak bardzo lubili wspólne wyjścia. Włożyła nową sukienkę i starannie umalowała usta, po czym wezwała taksówkę. Spytała kierowcę, czy zna jakieś miłe miejsce. Młody człowiek w hotelu był bardzo miły, wskazał jej stolik, chociaż było bardzo wcześnie, jeszcze przed siódmą. Po raz pierwszy od wielu dni zjadła porządny posiłek: zimną szynkę, wędzoną rybę i jajko na twardo. Kelner wracał kilka razy i stawał przy jej stoliku, by porozmawiać. Powiedział jej, że pochodzi z Kosowa i mieszka w Niemczech od pięciu lat.

– Ojciec zaproponował, żebyśmy zjedli śniadanie w tym miłym hotelu, który tak lubiła matka.

Młodzieniec się uśmiechnął.

– Wiem, że oni nie żyją – dodała babcia.

– Ludzie mogą nie żyć – odparł kelner – my jednak czujemy się tak, jakby wciąż byli z nami.

Zanim wróciła do domu, jej córki okropnie się przeraziły i potem na zmianę jeździły do Kilonii, żeby się mamą zajmować. Powiedziała im, że nie oszalała, nie bierze zmarłych za żywych, ale wie, że naprężone nici, które łączyły jej umysł z życiem, które pieczołowicie budowała, pękły. Lekarz stwierdził, że jest odwodniona, i zapisał pigułki nasenne. Mimo to ludzie wciąż przychodzili.

Jako druga pojawiła się jej matka. Usiadła w nogach łóżka, z rękami na podołku, spoglądając wielkimi, łagodnymi oczami, które obiecywały ukojenie. Wkrótce potem do Alberta i Friedy dołączyli inni. Część imion poznawałam, jak Giseli, ciotki mojej matki i siostry jej tajemniczego ojca; zmarła pod koniec lat sześćdziesiątych. Innych nie znałam: Lotte, Mütterchen i imię, które babcia wymawiała tylko szeptem, „Buschi”.

Wiedziała, że jest tylko kwestią czasu, że zobaczy jego twarz, a kiedy to się stało, jej serce zgubiło rytm. Oto był, z uśmiechem, który uwielbiała, z jednym kąciakiem ust podniesionym wyżej niż drugi, początkowo nieśmiały, a potem zabawny. Głos wciąż miał chłopięcy, chociaż zmarł jako stary człowiek. Mruczał swoją ulubioną piosenkę, tę, do której potajemnie tańczyli w korytarzu na górze, dźwięk z gramofonu dochodzący przez otwarte drzwi jego pokoju. *Doo wah, doo wah, doo wah, doo wah, doo wha, doo wah.*

Dopiero kiedy matka się obróciła, żeby ją poprosić o powtórzenie tego, co powiedziała, babcia zdała sobie sprawę, że ona też nuci.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Bei mir bist du schön

Miesiąc po śmierci Vatiego babcia siedziała w naszym rodzinnym domu w południowo-zachodniej Francji sama w zacienionej jadalni, z zamkniętymi oczami, pstrykając palcami prawej ręki, a lewą wystukując rytm na stole. Z tarasu napływała muzyka, wędrowała przez długi pokój z wysokim sufitem, w końcu docierała do niej, akordy przytłumione, swingujący rytm złagodzony odległością, ale rozpoznała melodię. Były to delikatne ręce, z napiętą skórą, przezroczystą nad zeszywniałymi stawami, z siateczką niebieskich żył szpecących ich powierzchnię. Paznokcie, krwistoczerwone, połyskiwały, gdy palce uderzały o ciemny dębowy stół, dudniąc na pęknięciach wypełnionych, wygładzonych przez lata polerowania. Wiek ograniczył jej ruchy, ale kiedy siedziała przy stole, ze stygnącą herbatą, w wyobraźni znów tańczyła, zatopiona w muzyce.

Było popołudnie pod koniec sierpnia, te martwe godziny, kiedy upał wiszący w powietrzu uniemożliwia wszelką aktywność. Wróciłam z dorocznego zjazdu rodzinnego i wylegiwałam się na tarasie w starym wiklinowym fotelu, słuchając Elli Fitzgerald, ciesząc się spokojem i ciepłem terakotowych płytek pod bosymi stopami. Wszyscy pochowali się w środku i hałaśliwy dom nagle stał się cichy.

Pobył babci w tamtym roku był nadzwyczajnie długi, ponieważ nie chcieliśmy jej zostawiać samej w domu. Wędrówki jej umysłu, które tak nas niepokoiły w tygodniach po śmierci męża, ustały. Prawie wróciła do normalnego stanu, a jej drobne, choć uporczywe żądania wciąż potrafiły moją zwykle spokojną matkę przywieść na skraj nerwowego załamania. Ale szukała teraz częściej mojego towarzystwa, a każda rozmowa otwierała kolejne okno w przeszłość. Wciąż opowiadała historie z Prus Wschodnich, ale Inge z jej wspomnień powoli stawała się starsza. Ze swojej strony próbowałam dowiedzieć się więcej od matki, ciotki i innych krewnych. Tu i tam zbierałam jakieś okruchy – o latach nauki w Berlinie, o przyjaźni z siostrą mojego dziadka, która doprowadziła do ich pierwszego spotkania – ale ich wiedza była w najlepszym razie szczątkowa; tylko opowieści babci mogły posklejać te kawałki w całość.

Początkowo jej nie zauważyłam, samotnej postaci we wnętrzu, za najdalszym końcem stołu. Miękkie dźwięki *If Dreams Come True* ustąpiły swingowi, z małego głośnika rozległ się rytm, gdy rozpoczął się popularny przebój orkiestr tanecznych w latach trzydziestych i czterdziestych, *Bei Mir Bist Du Schön*. Wstałam, żeby dołączyć do babci, zmartwiona, że może się poczuć osamotniona, ale wyraz jej twarzy kazał mi się zatrzymać.

Mama opowiadała, że babcia uwielbiała tańczyć i podczas wojny w Berlinie chodziła na zakazane przyjęcia, podczas których muzycy potrafili płynnie przejść od swinga do aprobowanego przez władze fokstrota na pierwszy znak, że pojawiła się kontrola. Historię otaczała nierealność dawnych czasów i blask fikcji, wizerunek babci jako beztroskiej dziewczyny kłócił się z konwencjonalną, krytyczną staruszką, którą znałam. Przypomniałam sobie to, gdy ją obserwowałam, niepomierną światła dokoła, oczarowaną muzyką, która na mgnienie oka przywracała do życia tamtą dziewczynę. Kiedy piosenka umilkła, podeszłam i usiadłam przy babci.

– *Magst du die Musik?* – spytałam. Lubisz muzykę?

– *Ich kenne dieses Lied* – odpowiedziała, znów otwierając oczy. – Dobrze ją znam. Ona śpiewała ją tego dnia, gdy przyjechałam do Berlina.

Lato w roku, w którym Inge skończyła piętnaście lat, zaczęło się jak zwykle od pobytu Wiegandtów nad morzem. Ich plany rzadko się zmieniały: w czerwcu Frieda i Inge zaczynały przygotowania do wyjazdu do Rauschen, gdzie spędzały większość lata. Albert dołączał do nich głównie w weekendy, chociaż w sierpniu zawsze brał dwa tygodnie urlopu. Był rok 1939, od dwóch tygodni mieszkali w ulubionym pensjonacie, białej kamiennej willi, od której wąska, piaszczysta ścieżka wiła się wśród sosen ku morzu. Inge widziała Bałtyk z okna pokoju i zasypiała, słuchając fal uderzających o brzeg. Rankami zasiadały do śniadania z gospodynią, uprzejmą, dorodną kobietą pod pięćdziesiątkę, która zawsze nazywała ją *Ingechen* – Ingusią – z tym wschodniopruskim zwyczajem dodawania końcówki „chen” do nazw wszystkiego, co ulubione. W poprzednich latach Inge odliczała dni do wyjazdu do Rauschen, ale tamtego lata nie dostrzegła piękna tego miejsca.

Rauschen było wietrznym kurortem nad Bałtykiem, którego centrum oddzielały od morza sosnowe lasy i sześćdziesięciometrowej wysokości wydmy. Tamtejsze plaże ciągnęły się kilometrami gdzieś w niezmierną dal, obrzeżone tylko wodą i niebem, z piaskiem tak drobnym, że najlżejszy powiew wiatru unosił go w powietrze. Ten jeden z mniejszych nadmorskich kurortów Prus Wschodnich przyciągał we wcześniejszym okresie gości z całych Niemiec. Położony w odległości niedługiej jazdy pociągiem od Królewca, służył jako letnia baza,

z której Albert mógł wracać do miasta tak często, jak wymagały tego interesy, co pozwalało rodzinie całe wakacje spędzać razem. Ale Inge u progu piętnastych urodzin marzyła o przygodach i towarzystwie. Dzikość wydm i spokój miasta nie podobały się nastolatce spragnionej tańców i chłopców.

Nie zauważyła bruzd pogłębiających się na twarzy Alberta ani napięcia, które coraz częściej towarzyszyło rozmowom dorosłych dokoła. Dużo mówiono o groźbie kolejnej wojny; wypisane to było w każdej zmarszczce na czole ojca i próbach matki, by zmienić temat, za każdym razem, gdy wypływała ta kwestia. Ale Inge myślała tylko o tym, jak się nudzi, nudą tak intensywną, że aż bolała.

Albert mógł jedynie obserwować apatię córki. Zauważył jej długie okresy milczenia i często pytał, czemu jest taka smutna. Odpowiadała, nieco opryskliwie, że nienawidzi wakacji i że nikt jej nie rozumie, na co ojciec się jedynie uśmiechał. Lato źle się zaczęło, kiedy Christa, przyjaciółka ze wszystkich poprzednich pobytów, napisała do Inge w czerwcu, że rodzice postanowili spędzić lato w Cranz, modniejszym kurorcie trzydzieści kilometrów dalej na wschód, zamiast zająć jak zwykle pokoje koło Wiegandtów w Rauschen. Rodzice Christy byli stałymi bywalcami z zachodnich Niemiec, którzy rok w rok przyjeżdżali na wybrzeże Prus Wschodnich, najpierw w dzieciństwie, a potem z własnymi rodzinami, mimo komplikacji z podróżą przez polskie terytorium. Rudowłosa, z upodobaniem do psot, Christa poznała Inge podczas zabawy na wydmach Rauschen, gdy dziewczynki miały kilka lat, i od tamtej pory zostały przyjaciółkami; Inge nie pamiętała żadnego lata bez niej, żadnych wakacji.

Sugestia Friedy, że zaprosi Christę do Rauschen na urodziny Inge, pomogła nieco złagodzić rozczarowanie. Wakacje przybrały jeszcze lepszy obrót, kiedy Christa napisała z propozycją, by Inge wróciła z nią do Cranz na resztę wakacji. Frieda i Albert na widok zmiany, jaką list wywołał w córce, od razu się zgodzili.

Teraz więc Inge siedziała na peronie, niecierpliwie oczekując przyjazdu Christy; miała już nawet spakowaną walizkę na Cranz, poza sukienką, którą odłożyła na przyjęcie urodzinowe nazajutrz. Nie był to syreni strój, którego tak pragnęła kilka tygodni przed confirmacją, ale modna sukienka z niebieskiego jedwabiu, którą Frieda niechętnie zgodziła się kupić. Pozwoliła córce samej przywitać Christę; willa znajdowała się zaledwie kwadrans drogi od stacji. Peron był cichy, jeśli nie liczyć grupy młodych mężczyzn w żołnierskich mundurach, którzy stali skupieni razem. Inge siedziała na ławce i udawała, że ich nie zauważa, wiedziała, że na nią patrzą. Gdy wyglądała nieposłuszny lok, przypomniała sobie linijkę z listu Christy: „Gnijesz w tym Rauschen! Zobacysz, jak świetnie się bawimy tu, w Cranz”. Christa doskonale rozumiała samopoczucie przyjaciółki.

Podskoczyła, gdy wtoczył się pociąg. Jeden z żołnierzy obrócił się do niej i coś powiedział, ale gwizd parowozu zagłuszył jego słowa. Niemal od razu

dostrzegła Christę i podbiegła, by ją uściskać. Wzięły się pod rękę, a Inge zerknęła na chłopaka i uśmiechnęła się, zanim odeszły w kierunku willi.

*

Dwa dni później była już w Cranz. Dziewczęta wyruszyły nazajutrz po urodzinach Inge i przez całą drogę snuły plany. Pastelowe domy, brukowane ulice w centrum, sklepy i kawiarnie w tym dużo modniejszym kurorcie były takie, jak sobie wyobrażała. Na stację wyszedł po nie starszy brat Christy i zabrał je na taras kawiarni na lody truskawkowo-waniliowe. Obserwowali wczasowiczów i grupy młodych mężczyzn, którzy spacerowali po promenadzie, próbując złapać spojrzenie Inge i Christy. Brzeg był tu bardziej stromy i bez drzew, prowadził prosto do miasta, więc na promenadzie wciąż panował tłok. Ledwie Inge spróbowała lodów, gdy zagrała orkiestra.

Dziewczęta spędzały poranki na plaży, pływały łódką wzdłuż wybrzeża, a popołudniami siedziały w kawiarniach przy nabrzeżu. Te późne popołudnia były głównym punktem dnia; brat Christy, Franz, służył im za przyzwoitkę, mogły się więc cieszyć niemal nieograniczoną swobodą. Śmiały się i flirtowały z kolegami Franza lub z chłopakami w kawiarniach, którzy podchodzili, żeby poprosić je do tańca.

Inge uwielbiała tańce; tamtego lata odkrywała muzykę na żywo. Tańczyła między kawiarnianymi stolikami, na tarasach, przy promenadzie, nie bacząc na spojrzenia starszych, którzy ją obserwowali. Grano swing, amerykańską odmianę jazzu, który szturmem podbijał Niemcy przez ostatnich parę lat. Chociaż zespoły były raczej drugorzędne, z tych, które przygrywały w kurortach i często kaleczyły melodie, ich rytm i energia stały się dla Inge objawieniem. Przemawiały do każdej frustracji w jej piętnastoletniej duszy, a taniec pozwalał je uwalniać. Przeżywała lato swojego życia i jego wspomnienie, kiedy opisywała mi je siedemdziesiąt lat później, wciąż wywoływało uśmiech radości.

Tamte tygodnie w Cranz wyznaczały koniec jej beztroskiego dzieciństwa, gdyż kiedy wróciła we wrześniu, zdarzyły się dwie rzeczy, które zmieniły bieg życia. Pierwszą była decyzja, że skoro zakosztowała po raz pierwszy swobody, opuści Królewiec, gdy tylko będzie mogła. Na drugą natomiast nie miała żadnego wpływu.

Pierwszego września Inge nie poszła do szkoły, ponieważ wieczorem poskarżyła się Friedzie, że boli ją gardło. Patrzyła na zegarek na nocnym stoliku: pokazywał za piętnaście dziesiątą. Spała długo i poczuła się lepiej; postanowiła wstać, pójść

do kuchni i zaparzyć kawę. Włożyła szlafrok i kapcie. W kuchni zastała matkę; ku jej zdziwieniu ojciec, który powinien być w pracy, siedział koło radia.

– Jak się czujesz, *Liebchen*?

Ojciec spojrział na nią i się uśmiechnął. Zauważyła kręgi pod jego oczami; nie spał do późna, słuchając doniesień o jakichś wydarzeniach w Polsce.

– Zwołano nadzwyczajne posiedzenie Reichstagu, Führer ma przemawiać – wyjaśnił córce.

Inge wzruszyła ramionami, odwróciła się i znalazła prawie pełny imbryk z kawą, świeżo zaparzoną i wciąż ciepłą. Przemówienie, na które czekali rodzice, rozpoczęło się tuż po dziesiątej. Okrzyki i wiwaty, które za pośrednictwem fal radiowych wypełniły kuchnię, obwieszczały przybycie Hitlera. Gdy dziewczyna nalewała kawę i dodawała dwie łyżeczki cukru, wysłuchiwała początku, czegoś o Gdańsku. Postanowiła wrócić do łóżka. Gdy szła korytarzem do sypialni, dotarło do niej coś o polskich żołnierzach, którzy strzelali, co wywołało westchnienie ojca. Przystanąła więc, żeby posłuchać. Ktoś podkreślił dźwięk tak, że wszystko do niej dobiegało. Oddziały niemieckie, powiedział Hitler, zostały zaatakowane przez polskich żołnierzy¹.

– Od piątej czterdzieści pięć odpowiadamy ogniem. A od teraz na bomby odpowiemy bombami.

Krzyki i wiwaty dochodzące z radia niemal zagłuszyły resztę mowy Hitlera. Inge wróciła do kuchni, której drzwi były otwarte, i dostrzegła, że jej rodzice ciasno się obejmują. Nie słyszeli, jak wróciła. Przymknęła cicho drzwi i poszła do siebie.

Kolejne dni nie miały dla Inge znaczenia, chociaż wyczuwała w powietrzu rodzaj jakiejś ekscytacji. Dla jej rodziców wypowiedzenie wojny było katastrofą, mimo że przewidywaną przez wielu. Hitler prowadził agresywną politykę zagraniczną od 1936 roku, kiedy zremilitaryzował Nadrenię, region graniczący z Francją. Było to jawne złamanie układu z Locarno – rozszerzającego traktat wersalski – i okazało się niezwykle popularne wśród wyborców jako pokaz niemieckiego odrodzenia. Dwa lata później nastąpiła aneksja Austrii, a potem Sudetów, części Czechosłowacji. Mimo to europejskie mocarstwa starały się unikać wojny. Wiegandowie mieli nadzieję, że wojny nie będzie, jednak inwazja na Polskę sprawiła, że konflikt stał się nieunikniony. Frieda miała pięćdziesiąt trzy lata, a Albert pięćdziesiąt dziewięć; wspomnienia poprzedniej wojny wciąż były świeże. Ocaleli z katastrofy swojego pokolenia, a teraz ich córka miała się stać świadkiem zniszczenia następnej generacji.

Mimo że Albert i Frieda nie byli jedynymi, którzy powitali nowiny o wojnie z przerażeniem, w tych pierwszych kilku miesiącach wojny dla większości

mieszkańców Prus Wschodnich życie toczyło się niemal normalnie. Codzienne zmiany były z początku dość drobne. Pewnego rodzaju racjonowanie żywności trwało od końca sierpnia, gdy wojna wydawała się nieuchronna. Dla młodych, wolnych od traum, które stały się udziałem ich rodziców, wojna miała nawet pewien urok. Hitler przywrócił powszechną służbę wojskową w 1935 roku, ale wówczas jeszcze wielu studentów uzyskiwało odroczenie, odsuwając nadejście ponurej rzeczywistości. W życiu Inge wojna oznaczała niewielkie zmiany, jeśli nie liczyć widoku młodych mężczyzn w mundurach.

We wrześniu tamtego roku Christa, o rok starsza od Inge, wyjechała do szkoły dla dziewcząt niedaleko jej domu, w Ilsenburgu, miasteczku w Górach Harcu w Saksonii. Christa pisała często, sugerując, żeby w następnym roku Inge dołączyła do niej, kiedy wreszcie skończy szkołę. Cranz pozwoliło Inge posmakować zmiany i postanowiła skorzystać z okazji. Wiedziała, że rodzice prawdopodobnie się nie sprzeciwią, chociaż Ilsenburg leżał prawie tysiąc dwieście kilometrów od Królewca. Poprzedniej jesieni pojechała w Góry Harcu w odwiedziny do rodziny Christy i trzytygodniowy pobyt okazał się wielkim sukcesem. Albert i Frieda ufali jej rodzicom.

Wiegandtowie wiedzieli, że muszą podjąć decyzję w kwestii przyszłości córki. Żywili wobec niej ambicje i chcieli, by odebrała jak najlepsze wykształcenie. Wciąż była bardzo młoda i chociaż inteligentna, to brakowało jej wytrwałości lub chęci, by wyróżniać się w nauce. Albert słusznie uznał jej brak zainteresowania nauką za skutek nudy i stwierdził, że zmiana dobrze by córce zrobiła. Podczas toczącej się wojny byłoby naturalne, gdyby rodzice odmówili odesłania Inge. Ale Albert pamiętał, jak w młodości tęsknił za innym życiem, i wiedział, że jego córka potrzebuje trochę wrażeń; było to równie bezpieczne wyjście jak każde inne.

Szkoła dla dziewcząt w Ilsenburgu była typowa dla swoich czasów. Żadnych pionierskich rozwiązań, żadnego podsycania radykalnych idei. Pod względem edukacyjnym oferowała niewiele; młode dziewczęta z dobrych rodzin uczono gotowania, *Schliff* – etykiety – i tańca, może też trochę francuskiego. Albert był staroświecki, lubił kobiety kobiety i często córce powtarzał, że nie znosi dziewcząt, które nie umieją gotować. Powiedział, by spróbowała skończyć szkołę w ciągu roku, a potem zdecydowała, czy chce się dalej kształcić.

Jednak wojna, którą dotąd Inge ignorowała, pokrzyżowała jej plany. Kobieta prowadząca kursy Christy napisała, że bardzo jej przykro, ale ograniczenia w racjonowaniu żywności zmuszają ją do zamknięcia placówki. Jeśli Inge chce poczekać do końca wojny, szkoła z radością ją przyjmie. Równie dobrze mogła powiedzieć piętnastolatce, niecierpliwiej, by dorosnąć, że ma poczekać sto lat.

Jednak żadne wojenne ograniczenia nie mogły powstrzymać determinacji dziewczyny, żeby się wyrwać z Królewca. Gdy szkoła Christy nie wypaliła, Inge

zwróciła się do przyjaciółek matki o pomoc, a one okazały się skutecznymi sojuszniczkami. Były o wiele młodsze i nowocześniejsze od jej rodziców, uważały, że zmiana prowincjonalnych horyzontów Królewca może pomóc Inge. Wkrótce jedna z nich spytała dziewczynę, czy słyszała o Lette Haus w Berlinie, placówce zapewniającej kobietom wyższe wykształcenie. Jej siostrzenica studiowała tam projektowanie wnętrz, a szkoła słynęła jako najlepsze w Niemczech miejsce dla kobiet. Podała Inge adres i dziewczyna niemal natychmiast wysłała list z zapytaniem.

Lette Haus założył w XIX wieku Wilhelm Lette, prawnik i reformator społeczny; była to więcej niż szkoła zawodowa. Miała zapewniać młodym kobietom solidne wykształcenie i szkolenie zawodowe, posmak feminizmu zrównoważony kursami rozwijającymi umiejętności, które uważano za ważne dla wzorowej gospodyni domowej w nazistowskich Niemczech. Pomijając szycie i gotowanie, skupiała się na sztuce, a jej szkoły projektowania, mody i fotografii cieszyły się wielkim szacunkiem. Inge entuzjastycznie odniosła się do pomysłu, ale Albert kategorycznie go odrzucił.

To nie wojenne niebezpieczeństwa martwiły ojca. Niemcy miały silną armię; kroniki filmowe pokazywały obrazy wojska, które zdobywało wszystko, a wiara w Luftwaffe, największe wówczas siły powietrzne Europy, była absolutna. Większość Niemców wierzyła, że stolicy nie grożą ataki wrogów. W przeciwieństwie do Londynu, gdzie ewakuacja zaczęła się już w 1939 roku, na początku wojny nikt nie zamierzał organizować wyjazdów kobiet i dzieci z wielkich niemieckich miast. Dla tych Niemców, którzy jak Wiegandowie, nie stali się celem prześladowań, kraj był wystarczająco bezpieczny. Chociaż wojna zaczęła się na granicach Prus Wschodnich, to w miarę swych postępów przesuwała się na zachód, co wydawało się wystarczającą odległością, przynajmniej dla cywilów z Królewca. Inwazja Hitlera na Polskę usunęła strefę buforową między Prusami Wschodnimi a resztą Niemiec, po raz kolejny jednocząc kraj. Chociaż Niemcy prowadziły wojnę z Zachodem, jego wschodniej granicy w tamtej chwili nie groziła wojna. Ku zaskoczeniu rządów zachodnich, które miały nadzieję, że Związek Radziecki sprzymierzy się z nimi przeciwko Hitlerowi, Rzesza i ZSRR podpisały w sierpniu 1939 roku dziesięcioletni pakt o nieagresji, układ Ribbentrop–Mołotow. Jego założenie było proste: w zamian za porozumienie Hitler obiecał Józefowi Stalinowi część wschodniej Polski, dziesięć procent Finlandii, a także Litwę, Estonię i Łotwę. Oferta Wielkiej Brytanii i Francji dla ZSRR po prostu nie była aż tak korzystna ^{k5}.

Jednak Berlin w oczach ojca ładnej, rozflirtowanej dziewczyny oznaczał inne zagrożenia. W latach dwudziestych miasto zyskało reputację atrakcyjnego, dekadentckiego i rozwiązłego. Nazizm uczynił wiele, by to zniszczyć, ale opinia

Berlina niezbyt na tym ucierpiała. Inge zaplanowała starannie kampanię przekonywania Alberta. Nowy semestr zaczynał się we wrześniu, a był już kwiecień; była zdecydowana nie stracić ani chwili. Opowiadała o szkole kucharskiej Lette Haus i ogładzie, jakiej tam nabędzie. Ponieważ nazistowskie prawo wymagało, żeby młode niezamężne kobiety miały „pożyteczne” zajęcie, poprosiła profesora, wuja Friedy, by pomógł jej znaleźć pracę u kolegi w Berlinie. Pokazała Albertowi list profesora, pełen pochwał za decyzję o posłaniu córki do Lette Haus. „Lette Mädchen!”, napisał, używając przydomka nadawanego dziewczętom, które miały szczęście znaleźć miejsce w elitarnej berlińskiej szkole. „To spore osiągnięcie”. Bez wiedzy ojca Inge już wysłała podanie o przyjęcie na wrześniowy kurs. Odpowiedź brzmiała, że Inge może zająć ostatnie miejsce, pod warunkiem że w ciągu tygodnia odeśle komplet formularzy.

Albert nie miał szans w obliczu połączonej presji ze strony córki i przyjaciółek żony. Skapitulował przed upływem siedmiu dni i gdy tylko podpisał dokumenty, Inge zaniósła je na pocztę. Nie mogła nikomu innemu powierzyć ich wysłania.

Inge z matką przyjechały do Berlina na początku września 1940 roku, by zorganizować życie dziewczyny jako Lette Mädchen. Przygotowania nie poszły całkiem gładko i Inge spędziła kilka ostatnich tygodni w domu wśród obaw, że ojciec zmieni zdanie. Największym wyzwaniem było znalezienie stancji. Późne zgłoszenie oznaczało, że w bursie Lette Haus nie było miejsc; córka pastora, również z Prus Wschodnich, zajęła ostatnie łóżko. Inge musiała znaleźć kwatery poza szkołą, który to pomysł początkowo Albert z miejsca odrzucił. Wspominał o wysiłkach i kosztach związanych z nową garderobą córki, która była kupowana raczej z myślą o tańcach i życiu towarzyskim niż o pracy i nauce. Pomysł mieszkania na mieście i swoboda, jaką by to dało Inge, wprawiały go w nerwowość. Berlin był wielkim miastem, a córka bez trudu mogła wpaść w złe towarzystwo. Inge błagała go, powtarzała, że będzie się zbyt bała, by samotnie wychodzić. Na szczęście dyrektor Lette Haus podsunął rozwiązanie: wskazał pensjonat niedaleko szkoły. Prowadziła go jego znajoma i w przeszłości polecała miejsce swym najprzyzwoitszym studentkom. Wdowa właścicielka baczenie pilnowała podopiecznych. Albert dał się wreszcie przekonać i ku uldze córki pozwolił jej wyjechać z Królewca.

Inge z matką przyjechały do pensjonatu, wielkiej, ładnej willi odsuniętej nieco od ulicy, w słoneczny niedzielny poranek. Było ciepło, a wielkie drzwi tarasowe z salonu stały otworem, otoczone pnącymi, wciąż kwitnącymi żółtymi różami. Gdy Frieda i Inge szły przez ogród do frontowych drzwi, dostrzegły dziewczynę przy fortepianie, która grała i śpiewała jakąś nową piosenkę. Muzyka wpływała na zewnątrz, a jej chwytliwa melodia zachęcała Inge do klaskania z radości.

– Znasz tę piosenkę, *Liebchen*? – spytała matka.

Czy ją znała? Wszak ona i Christa tańczyły do niej przez całe lato w Cranz. Piosenka, *Bei Mir Bist Du Schön*, Dla mnie jesteś piękna, była jednym z największych swingowych przebojów końca lat trzydziestych. Frieda spytała Inge, dość oględnie, gdy właścicielka pensjonatu stanęła na progu, czy uważa tę kobietę za Żydówkę.

Frieda mogła nie znać piosenki, ale jako osoba muzykalna rozpoznała gatunek i, co ważniejsze, słowa: dziewczyna śpiewała oryginalną wersję w jidysz. Swing od dawna był krytykowany przez nazistowskie władze jako *Entartete Musik*, muzyka współczesna, którą wraz z nowoczesnym malarstwem uważały za szkodliwą i dekadencją i nazywały „sztuką zdegenerowaną”. Wspomniana, niezwykle popularna piosenka szczególnie przyciągała ich gniew. Napisana na Broadway przez amerykańskich kompozytorów żydowskiego pochodzenia, Jacoba Jacobsa i Sholoma Secundę, dla wystawianej w jidysz komedii *Men Ken Lebn Nor Men Lost Nisht* (Możesz żyć, ale ci nie pozwolą). Joseph Goebbels, minister propagandy Rzeszy, skrytykował utwór i zakazał go na dwa miesiące przez nocą kryształową jako „niearyjski”, wraz z piosenkami żydowskiego kompozytora Irvinga Berlina. Potem ten sam minister na wiosnę 1939 roku stworzył indeks „muzyki niepożądanego i szkodliwego”.

Od 1933 roku naziści próbowali zakazać jazzu, a szczególnie jego najnowszej odmiany, swingu, w której dostrzegali ucieleśnienie afrykańskiej dekadencji oraz afroamerykańskie i żydowskie wpływy. Hitler jej nienawidził i radiostacje dostały zalecenie, by nie nadawać takich melodii, a niektóre, jak Berliner Funk-Stunde, zdjęły je z anteny od razu po jego dojściu do władzy. Nie przerwało to jednak zainteresowania swingiem, gdyż Niemcy zaczęli słuchać radiostacji zagranicznych, takich jak Radio Luxemburg czy francuskie Poste Parisien, które wciąż grały najnowsze amerykańskie szlagiery taneczne. Pomimo starań nazistów jazz i swing wciąż się cieszyły olbrzymią popularnością; nic w większym stopniu nie ilustruje porażki Trzeciej Rzeszy w wytępieniu nowej muzyki niż popularność piosenki, którą Inge i jej matka usłyszały po przybyciu tamtego dnia do pensjonatu. W Niemczech wykonywała ją szwedzka piosenkarka i aktorka Zarah Leander, ale dziewczyna przy fortepianie śpiewała oryginalną wersję jidysz z broadwayowskiego przedstawienia ^{k6}.

Rudowłosa Leander była gwiazdą w Niemczech w końcu lat trzydziestych i w latach czterdziestych, a sławę zyskała głównie dzięki decyzji swej słynniejszej rodaczki, Greta Garbo, żeby odrzucić Hitlera i wyemigrować do Stanów Zjednoczonych. Pozostanie w Niemczech zabiło powojenną karierę Leander, jednak w 1938 roku cieszyła się jeszcze taką popularnością, że

zaryzykowała i nagrała *Bei Mir Bist Du Schön*, mimo iż wszyscy dobrze wiedzieli o żydowskim pochodzeniu utworu².

Wybór piosenki wiele też mówił o pensjonacie, w którym miała zamieszkać Inge. Było to liberalne otoczenie, dalekie od sztywnego towarzystwa, do którego dziewczyna przywykła w Królewcu, wnoszące w jej życie posmak politycznych kontrowersji, co dawało dreszczyk emocji. Właścicielka nie była, jak podejrzewała Frieda, Żydówką; miała jednak przyjaciół o takim pochodzeniu i pomagała im ze wszystkich sił. Zbliżająca się wojna nie przyniosła natychmiastowej przemocy, której bało się wielu niemieckich Żydów; niektórzy sądzili, że znajomości wciąż mogą ich ocalić, i zaryzykowali pozostanie w Niemczech w tych ostatnich miesiącach pokoju, ale większości po prostu nie było stać na wyjazd albo oznaczał on porzucenie najbliższych. W pierwszym okresie po dojściu nazistów do władzy prześladowanie Żydów prowadzono sposobami biurokratycznymi, a każdy nowy dekret czynił codzienne życie jeszcze trudniejszym. Po wybuchu wojny racje żywnościowe dla Żydów obcięto, ograniczono im możliwość poruszania się i stawiano przeszkody w każdej sferze życia. Taką sytuację mogła łagodzić tylko życzliwość przyjaciół. W 1939 roku zaczęły się eksmisje, Żydów objęto też godziną policyjną. W 1940 roku nie mogli już mieć telefonów, odebrano im także kartki na odzież.

Dziewczęta w pensjonacie mieszkały w trzyosobowych pokojach. Jako jedynaczka, która nigdy nie musiała się niczym dzielić, Inge początkowo uważała to za przerażające, ale wkrótce poddała się atmosferze koleżeństwa i życia towarzyskiego. Dziewczyna śpiewająca przy fortepianie, która tak oczarowała Inge pierwszego dnia, okazała się jej współlokatorką, ładną, poruszającą się z łagodnym wdziękiem, o orzechowych oczach i twarzy w kształcie serca. Inge dowiedziała się, że to uczennica pobliskiej szkoły muzyki i tańca Medau. Uroda i wyrefinowanie koleżanki zafascynowały Inge, która poczuła się niezgrabna i prowincjonalna. Chciała ją mieć za bliską przyjaciółkę, korzystała z każdej okazji, by przebywać w jej towarzystwie. Jednak wytęskniona przyjaźń nie miała szans się zawiązać – trzy tygodnie po swoim przyjeździe Inge zastała dziewczynę w ich sypialni, gdy wśród łez pakowała rzeczy. Szkoła Medau poinformowała ją, że jej trzyletni kurs dobiegł końca, chociaż zostało jeszcze dziewięć miesięcy roku akademickiego. Chociaż była jedną z najlepszych uczennic, nie mogła tu dłużej zostać.

– Powiedziała mi: „Jak myślisz, co teraz z nami zrobią?” – wspominała babcia, gdy siedziałyśmy razem przy stole w salonie. – Byłam taką głupią ignorantką. Spytałam, co ma na myśli. Powiedziałam, że to nie w porządku, że nie może być prawdą. Powiedziałam, że jeśli napisze do dyrektora, to zorientują się, że

popelnili błąd. Myślałam, że to ją pocieszy. Pocieszy! Pamiętam, jak spojrzała na mnie. „To ty nie wiesz? Nie rozumiesz, że jestem Żydówką?”.

Babcia i ja siedziałyśmy w ciszy, gdy ostatnia piosenka Elli Fitzgerald dobiegła końca, i ciepło dnia powoli wpełzało przez otwarte drzwi. Miałam tyle pytań, których nie ośmielałam się zadać. Czy faktycznie w Niemczech w 1940 roku ktokolwiek mógł nie mieć świadomości, co się dzieje dokoła niego? Na ile była to ignorancja, a na ile celowa ślepotą? Nigdy nie rozmawiałam o Zagładzie z babcią, chociaż matka mówiła o niej swobodnie. Wywodziła się z pokolenia wychowanego po wojnie, zdefiniowanego przez winy rodziców, i studiowała w Paryżu w latach sześćdziesiątych, w czasie gdy młodzi Niemcy dokonywali osądów. Matka znalazła rodzaj odkupienia za swą niemieckość w sposobie, w jaki wychowywała dzieci. Jej najbliższa przyjaciółka, z której dziećmi mój brat i ja dorostaliśmy, była Żydówką, więc uczestniczyliśmy w wielu ich rodzinnych uroczystościach religijnych. Stało się to takim elementem naszego życia, że w wieku dziesięciu lat, formalnie jako katoliczka, czułam się swobodniej, wyjaśniając znaczenie Paschy niż Wielkiego Piątku.

Zawsze rozumiałam, że matka była malutkim dzieckiem, kiedy świat odkrył całą grozę reżimu Hitlera. Nie ponosiła za nią odpowiedzialności i to była pocieszająca myśl. W przypadku babci jednak takie reakcje przychodziły mi z większym trudem. Była to niewypowiedziana hańba każdej niemieckiej rodziny i tkwiło to między nami, kiedy babcia towarzyszyła kilka miesięcy wcześniej mnie i mojej matce na ślubie koleżanki w synagodze w zachodnim Londynie. Z entuzjazmem obserwowała uroczystość i rytuały, ale ja wciąż uchylałam się od pytania, które czaiło się w mojej głowie.

Jaki był los dziewczyny z pensjonatu, przyjaciółki babci, która tak gorzko płakała? Próbowałam pocieszać się myślą, że może i należała do tych nielicznych, którzy jeszcze pozostawali w kraju w tamtym okresie wojny, ale jakoś udało się jej wydostać. Jednakże wiedza o ówczesnych restrykcjach czyniła to mało prawdopodobnym; po wybuchu wojny granice zostały zamknięte. Po 1939 roku ucieczka z Niemiec była dla Żydów prawie niemożliwa.

Wciąż nie miałam pewności, co bałam się odkryć, kiedy pytałam babcię o jej młodość, ale teraz było za późno, by się zatrzymać. Za każdym razem, gdy rozmawiałyśmy o przeszłości, pojawiała się nowa kwestia. Chciałam wiedzieć więcej o tamtych latach w Berlinie, kiedy zostawiła za sobą dzieciństwo. Matka powiedziała mi, gdzie pierwszy raz spotkali się jej rodzice. Jak mój dziadek, którego nigdy nie poznałam, poznał szesnastolatkę z pensjonatu dla kobiet? Dlaczego tak kompletnie zniknął z jej życia? Gdy patrzyłam na babcię, próbując

przywołać jej utraconą przyjaciółkę, zrozumiałam, że nie mam pojęcia, kim naprawdę jest ta kobieta, którą znałam całe swe życie.

– Byłam taka głupia – powiedziała babcia. – To były straszne czasy, straszne. Nikt nie powinien w takich żyć. Ale ja miałam szesnaście lat, byłam taka nieodpowiedzialna. I taka głupia.

Zamilkła znów na chwilę i widziałam, jak palce o krwistoczerwonych paznokciach drżą, gdy ocierała łzę. Kiedy ponownie się odezwała, był to niemal szept:

– Nie pamiętam nawet jej imienia.

1. Doniesienie o polskiej agresji było kłamstwem. Wieczorem 31 sierpnia grupa esesmanów przebranych za polskich żołnierzy przejęła niemiecką radiostację w Gliwicach; był to jeden wielu incydentów mających upozorować polską agresję przeciwko Niemcom, co dało Hitlerowi pretekst do wojny. [\[wróć\]](#)
2. Ogólna skłonność Leander do przymykania oczu na nazistowskie prześladowania podważa pogląd, że był to akt politycznego sprzeciwu. Najśłynniejsza zachowana wersja została nagrana przez pieśniarkę po szwedzku, chociaż ponoć wykonywała też piosenkę w jidysz. Początkowo nagrania w jidysz uznawano za jakiś niemiecki dialekt, ale wreszcie ich zakazano, chociaż krążyły nadal na czarnym rynku. [\[wróć\]](#)

**CZĘŚĆ
DRUGA**

ROZDZIAŁ PIĄTY

Vogelsang

Kiedy babcia przeszła do tamtych lat w Berlinie, w jej opowieściach zaszła zmiana. Naiwne dziecko z prowincjonalnego Królewca zniknęło. W to miejsce pojawiła się dziewczyna, prawie dorosła, stęskniona za życiem i podekscytowana, gotowa chwycić każdą okazję, jaka stanie na jej drodze. Jedno wspomnienie utkwilo w niej mocniej, wyraźniej od innych. Wspomnienie białej willi przy Vogelsang, miejsca radosnego, miejsca wspaniałych przyjęć, gdzie zamieszkała po tym, jak zaczęła naukę w Lette Haus. W jej ustach ta nazwa – oznaczająca po niemiecku ptasi śpiew – brzmiała jak muzyka.

Babcia spędziła tu dwa najszcześniejsze lata swojego życia. To tu budowała przyszłość z dala od rodziców, tu poznała rodzinę, która tak bardzo ukształtowała jej życie, tu się zakochała i przeżyła pierwsze miłosne rozczarowanie.

Wiele lat później, kiedy próbowałam dotrzeć do szczegółów tej historii, wybrałam się obejrzeć dom, który z taką czułością opisywała. Chciałam go zobaczyć na własne oczy, stanąć tam, gdzie ona kiedyś stała. Idąc przez zamożną dzielnicę Dahlem, szybko znalazłam Vogelsang, jedną z najelegantszych ulic, wybrukowaną, przedzieloną pasem smukłych brzoź. Z pewnością zachowała urok, który ujął moją babcię siedemdziesiąt lat temu.

Dom, w którym kiedyś mieszkała, był duży, miał trzy piętra i portyk z filarami, które podpierały balkon porośnięty różowymi różami, dach pokryty czerwoną dachówką i szczytowe okna.

Zadzwoiłam do drzwi, ale nikt mi nie otworzył, więc usiadłam na ławce pod brzoźami. Zakochani wryli w pniu swoje inicjały. Zastanawiałam się, czy kiedyś moja babcia też to zrobiła.

Mimo całego swojego uroku Dahlem to dzielnica o splamionej przeszłości. Mieszkało to wielu wysokich rangą nazistów, z czego spora część w willach odebranych żydowskim właścicielom. Od chwili przyjazdu do Berlina coś nie dawało mi spokoju w tamtej willi przy Vogelsang. Poszukiwania w archiwum Bundesbanku wykazały, że znajdowała się w kwartale zbudowanym w latach dwudziestych dla dyrektorów Reichsbanku, niemieckiego banku centralnego.

W czasie wojny mieszkał tu wiceprezes Reichsbanku, Kurt Lange. Babcia wspomniała jego nazwisko, ale niewiele o nim mówiła. Był ambitnym urzędnikiem i w 1930 roku wstąpił do NSDAP; kiedy Hitler doszedł władzy, awansował na ministra gospodarki, a potem trafił do banku centralnego. Zdjęcie w berlińskim Bundesarchiv pokazuje łysego mężczyznę o kwadratowej szczęce, który musiał być przystojny, zanim średni wiek nadał jego twarzy ciężkości. Zdjęcie dołączone było do biogramu Langego, części broszury o Reichsbanku w czasie wojny. Broszura zawierała fotografie urzędników banku centralnego, z Langem w tle, podczas ćwiczeń na strzelnicy w podziemiach. Kilka stron wcześniej całą kartkę zajmowało hasło: *Kämpfen – Arbeiten – Opfern*, Walczyć – Pracować – Poświęcać się.

Czułam się poruszona, stojąc w miejscu, gdzie Inge osiągnęła pełnoletność, ale to uczucie zaburzyły nieco nowe wątpliwości, wywołane świeżo nabytą wiedzą, że babcia, o której zawsze mi mówiono, iż nie miała żadnych związków z nazistami, przeżyła, jak to ujęła, najszcześniejsze lata w domu człowieka, który był trybem w maszynie rządowej Hitlera.

Inge spędziła pierwsze tygodnie w Berlinie w stanie, który opisała jako stałe bezgraniczne zdumienie. Żadne inne miasto w Niemczech nie mogło zaoferować większego kontrastu ze swojską prowincjonalnością i konserwatywnym Królewca. W latach dwudziestych Berlin był centrum europejskiej awangardy, kulturalnym, religijnym, seksualnym i politycznym tygłem, zwanym „najbardziej czerwonym miastem po Moskwie”¹. Wykuł swoją tożsamość, odrzucając tradycyjne Niemcy, do których aspirowali zwolennicy autorytaryzmu i nacjonaliści, w odróżnieniu od konserwatywnych miast, takich jak Monachium, gdzie swobodnie rozkwitały skrajnie prawicowe grupy. W 1928 roku w Berlinie na nazistów zagłosowało zaledwie 1,6 procent wyborców. W ciągu kolejnych pięciu lat, celując w dużą grupę bezrobotnych w mieście, zdołali zwiększyć sobie poparcie, ale 31,3 procent z marca 1933 roku było wciąż jednym z najniższych wyników w całym Niemczech.



Kurt Lange

W czasie, kiedy Inge przyjechała do Lette Haus, tłamszono radykalizm i niezależność Berlina. Ale jakaś część tej niezależności się uchowała, nawet w bezpiecznym obrębie Lette Haus, który kształtował studentki na kogoś więcej niż rodzące dzieci gospodynie domowe, zgodnie z promowanym przez Hitlera wzorem niemieckiej kobiecości. Wśród absolwentek znalazły się najodważniejsze postacie z kręgów sztuki i mody lat dwudziestych. Jedna historia studentki Lette Haus wyróżnia się bardziej spośród innych: doskonale ilustruje, jak wyraźnie nazizm zmienił berlińską strukturę społeczną. Else Neuländer-Simon, fotografka, która przybrała przydomek Yva, otworzyła własne studio w 1925 roku, kilka lat po ukończeniu studiów. Pracowała głównie w reklamie i skupiała się na modzie, gwiazdach teatru i filmu. Jej nowatorstwo brało się z dekadencji. Fotografowała modelki jako „nowe kobiety”, silne, niezależne, zmysłowe, by pchnąć naprzód sprawę emancypacji kobiet, która była mocno dyskutowana w weimarskich Niemczech i w całej Europie. Odniosła ogromny sukces i regularnie pojawiała się w ilustrowanych czasopiśmiech, które Inge tak uwielbiała czytać.

Yvie udało się utrzymać studio przez pierwsze lata rządów Hitlera, ale pseudonim nie na długo zamaskował jej żydowskie pochodzenie. Pod koniec lat trzydziestych gwiazdy, które o nią zabiegały, całkowicie ją opuściły. Niewiele wiadomo, co się z nią działo podczas wojny, ale w jakimś momencie 1944 roku zginęła w obozie koncentracyjnym – dokładna data i miejsce jej śmierci nie są znane. Dziś jej prace pozostają w większości zapomniane, chociaż niektóre żyją w twórczości jej ucznia, Helmuta Newtona.

Kiedy tamtego pierwszego dnia rano Inge szła przez Viktoria-Luise-Platz z Friedą, nie była świadoma prześladowań, które ostatecznie miały zabić Ywę. W chwili, gdy znalazły się pod imponującym budynkiem, który dominował nad placem, jej podekscytowanie przerodziło się w lęk. Frieda, która zatrzymała się w Berlinie, żeby pomóc się urządzić córce w pierwszym tygodniu, mogła wejść tylko do holu, a potem Inge po raz pierwszy w swoim szesnastoletnim życiu została pozostawiona sama sobie. Zebrała całą odwagę, żeby podejść do recepcji, gdzie kobieta z misterną fryzurą poprosiła ją o nazwisko i skierowała do sali w bocznym korytarzu. Była za wcześnie, zastała dopiero trzy inne dziewczyny, siedzące w rzędzie krzeseł. Obrzuciła je spojrzeniem. Dwie były nieatrakcyjne, w niemodnych ubraniach, z grzecznie ułożonymi rękami i nogami. Trzecia, obok której wskazano jej miejsce, wyglądała bardziej obiecująco: wysoka blondynka, bardzo elegancka, z włosami upiętymi w loki – Frieda jeszcze nie pozwalała jej się tak czesać, mówiła, że jest na to za młoda. Ręka Inge nieświadomie powędrowała do niesfornych czarnych loków. Spojrzały na siebie z dziewczyną i uśmiechnęły się jak na komendę.

Dyrektorka kursu, wysoka, nieprzystępna kobieta w długiej czarnej sukni poprosiła dziewczęta, żeby się przedstawiły. Kiedy przyszła kolej na blondynkę, wymamrotała:

– Schimmelman.

Dyrektorka uniosła brwi.

– No, dalej, Giselo, to nie jest całe twoje nazwisko.

– Gisela von Schimmelman – odparła dziewczyna, patrząc prosto na nią.

– To jeszcze nie wszystko, czyż nie?

– Ale tylko ten fragment się liczy.

Inge nie wiedziała, o co chodziło w tej wymianie słów, ale posłała dziewczynie wspierające spojrzenie. Wiedziała, że zostaną przyjaciółkami.

Gisela – czy też Gigi, jak wkrótce zaczęła się do niej zwracać Inge – była najmłodszym dzieckiem i jedyną córką Carla-Otona grafa Schimmelmanna i jego pierwszej żony, Dorothei z domu Wedel. Jej rodzina była arystokratyczna, bogata, a w czasie, kiedy się poznały z Inge, dotknięta skandalem. Jej matka, Dorothea,

zszokowała eleganckie towarzystwo, kiedy zakochała się w kilka lat młodszym od siebie prawniku rodzinnym, Kurcie Langem, wschodzącej gwiazdzie urzędniczych kręgów nazistowskich. Rozwiodła się z przystojnym, lecz rozwiązanym mężem, który stracił z powodu hazardu większość majątku i popadł w ogromne długi. Skandal z rozwodem rozdmuchała jeszcze jego decyzja o poślubieniu w Londynie młodej Angielki, którą przywiózł do Niemiec. Towarzystwo bawiło się plotkami o zgryzotach von Schimmelmannów przez lata. To tłumaczyło opory Giseli przed afiszowaniem się nazwiskiem.



Gisela w młodości

Gigi była nieśmiałą dziewczyną o buntowniczych skłonnościach, która z miejsca przyłgnęła do Inge. Ta ostatnia, starsza od niej o rok, daleko ze wschodu, nie słyszała żadnych plotek o rodzinie Gigi. Obie dziewczyny nie miały ochoty zbytnio trzymać się zasad i wkrótce stały się nierozłączne. Siedziały razem na zajęciach, zbudowały duży krąg znajomych i znalazły się w gronie najpopularniejszych dziewcząt w Lette Haus, ale ich przyjaźń nie dopuszczała nikogo oprócz nich dwóch. Inge nauczyła się od Giseli wytworności i wyrafinowania w obejściu i stroju, a Gigi nabrała przy Inge żywości w zachowaniu. W listach Inge do domu było pełno Gigi i miejsc, w których spędzały razem czas, i gdzieniegdzie pół zdania o tym, że się pilnie uczy, co było kłamstwem.

Gisela mieszkała z matką i ojczymem w Dahlem. Pewnego dnia rano, kilka tygodni po tym, jak się poznały, zaprosiła Inge do siebie na rodzinną kolację.

Dahlem znajdowało się o kilka przystanków jazdy U-Bahnem, która to kolejka stanowiła nowość dla Inge, wcześniej jeżdżącej wyłącznie tramwajami po Królewcu. Na początku denerwowała się spotkaniem z rodziną Gigi. Dom był większy od wszystkich, jakie widziała do tej pory, ogromna willa w przepięknym ogrodzie, z lokajem, kucharką, ogrodnikiem, szoferem i pokojówkami. Inge przyzwyczajona była co najwyżej do kucharki i służącej. Dom był nowoczesny, pozbawiony wad starych rodzinnych rezydencji. W 1940 roku Kurt Lange został jednym z dyrektorów Reichsbanku i willa była symbolem jego nowej pozycji. Przywitał Inge grzecznie, ale dziewczyna niemal natychmiast skupiła się na matce Giseli, Dorothei.

Była ona wysoka, szczupłą blondynką o ciepłym, wrażliwym sercu. W młodości słynęła z urody, ale też z nieustraszonej na końskim grzbiecie i porywczosci, przez którą często podejmowała impulsywne decyzje. Pochodziła z rodziny junkierskiej, przywiązanej do wojska, koni i kraju. Za Carla-Otona wyszła w wieku dziewiętnastu lat. Jej pierwszy mąż był wtedy dwudziestosześcioletnim przystojnym majorem, spadkobiercą jednego z najbogatszych i najznakomitszych rodów. Kiedy urodziło się ich pierwsze dziecko, zabrał Dorotheę do rodzinnej posiadłości w Ahrensburgu pod Hamburgiem, masywnego, okazałego gmazyska nad jeziorem. W wieku dwudziestu siedmiu lat Dorothea miała już troje dzieci, z których Gisela była najmłodsza.

Skłonności Carla-Otona do hazardu oraz utrzymanie drogiej posiadłości pochłoneły już do tej pory większość fortuny. Z powodu wielokrotnych obciążeń hipotecznych prawnik rodzinny, młody, ambitny Kurt Lange, często składał wizyty w rezydencji w Ahrensburgu, żeby doradzać arystokracji, jak sobie radzić z wierzycielami. Lange zobaczył po raz pierwszy Dorotheę, kiedy wjechała konno na dziedziniec, z rozwianymi włosami, zarumieniona od pędu. Zachwycił się jej urodą. Długie nieobecności Carla-Otona i samotne życie na wsi nie służyły małżeństwu. Aura autorytetu, celowość działań i energia Langego wkrótce ujęły Dorotheę. Była młodą kobietą, która kochała całym sercem i nierozważnie, nie minęło więc wiele czasu, jak się zgodziła z nim uciec.



Dorothea z Carlem, Wolfgangiem i Gisłą

W czasie, kiedy się poznały z Inge, na związku Dorothei z Langem pojawiły się już rysy. Niewiele rzeczy mogło stanąć na drodze jego bezwzględnych ambicji, spędzał z żoną coraz mniej i mniej czasu, w miarę jak rosła jego pozycja w Reichsbanku. Nieobecność męża w domu wywołała u Dorothei skłonność do melancholii, jak to określała rodzina, czy też we współczesnym języku – predyspozycję do depresji. Jej stan pogorszyła jeszcze osobista tragedia. Trzy lata wcześniej jej najstarszy syn, Carl, zmarł na zapalenie opon mózgowych w wieku siedemnastu lat, kiedy przebywał w domu wuja w Danii. Został tam wysłany z myślą o tym, że zostanie spadkobiercą krewnego, ale umarł, a matka nie zdążyła się z nim pożegnać. Może to właśnie trudne przejścia sprawiły, że Dorothea tak życzliwie zajęła się Inge, samą w Berlinie, z dala od rodziców. Od razu ciepło przyjęła dziewczynę, jej własna rodzina miała zresztą korzenie w Prusach Wschodnich, znała dobrze Królewiec i tamtejsze wybrzeże. Inge, słuchając jej opowieści tamtego pierwszego dnia, kiedy się poznały, o domu w mieście, wakacjach nad morzem w dzieciństwie, o lasach, które zmieniły się w wydmy, poczuła się, jakby wróciła w rodzinne strony.



Dorothea jako młoda matka z Carlem

Dorothea wiedziała, że ostatnie lata były trudne dla jej dzieci. Skandal z drugim małżeństwem i wzbudzone przez niego plotki już same przyniosły dość zła, ale śmierć najstarszego syna stanowiła prawdziwy cios. Próbowwała złagodzić sytuację, podchodząc do dzieci liberalnie i z miłością. W Inge dostrzegła spontaniczność, której brakowało jej córce, i miała nadzieję, że ta przyjaźń przyniesie rodzinie tak potrzebną otuchę. Szybko pokochała tę drobną, naiwną dziewczynę, która wydawała się młodsza od Gigi, chociaż tak naprawdę była od niej o rok starsza. Kiedy Inge przychodziła, w ich domu zawsze rozbrzmiewał śmiech, najpierw był to jeden wieczór w tygodniu, a potem każdy weekend. Wkrótce Mütterchen, mamusia, jak wszyscy nazywali Dorotheę, zaproponowała

Inge, żeby z nimi zamieszkała. Słowo *Mütterchen* było bardzo wschodniopruskie i świadczyło o ich bliskiej relacji; Inge nazywała ją tak do końca życia. Albert i Frieda wiele czytali o życzliwości Dorothei wobec ich córki w listach od Inge. Po kilku tygodniach Dorothea wysłała do nich krótki, przyjazny liścik z prośbą, żeby Inge mogła zamieszkać z nimi w Dahlem, a oni byli zachwyceni pomysłem. Albert miał wiele obaw w związku z pobytem córki w pensjonacie. Kiedy zamieszka u tamtej rodziny, pomyślał, nie będzie zostawiona aż tak bardzo sama sobie.

Inge szybko przywykła do życia z von Schimmelmannami, dopasowała się do rodziny, jakby należała do niej od zawsze. Polityka w domu była interesującą sprawą. Ośmielona bogactwem i pozycją społeczną Dorothea ze swobodą krytykowała reżim i na początku szokowała Inge otwartością. Frieda i Albert zgodziliby się z większością tego, co mówiła, ale nigdy by się nie ośmielili do tego przyznać poza kręgiem najbliższych osób. W 1940 roku standardem dla większości Niemców było wyrażanie aprobaty dla władz, chociaż duża ich część robiła to wyłącznie na pokaz.

Pytanie, w jaki sposób nazistom udało się tak omotać społeczeństwo niemieckie, do dziś dzieli historyków. Nie można wytłumaczyć władzy nazizmu nad wszystkimi Niemcami, mówiąc po prostu, że obywatele byli terroryzowani. Ale terror – lub sama jego groźba – zdecydowanie należał do kluczowych elementów reżimowej kontroli. Partia nazistowska cieszyła się ogromną popularnością, przynajmniej w pierwszych latach po objęciu władzy. Jej najbardziej chwytliwa kampania propagandowa przed wojną opierała się na graniu na utrwalonych stereotypach i uprzedzeniach – lęku przed komunizmem, odbudowie dumy narodowej, wspólnocie, kulturowym antysemityzmie (dominującym wówczas w Europie), ale też na rozgłaszaniu osiągnięć, które miały pokrycie w rzeczywistości: zmniejszeniu bezrobocia, porządku na ulicach, wzmocnieniu międzynarodowej pozycji Niemiec. Jednak u podstaw reżimu leżał system przemocy i zastraszania. Od samego początku swych rządów Hitler skupiał się na tłumieniu sprzeciwu w tych grupach społeczeństwa, w których nie miał zwolenników. W rezultacie, jak opisuje historyk Richard Evans, ukształtował się reżim, który brutalnie tłamsił pewne grupy i zdominował resztę społeczeństwa niemieckiego przez system represyjnej kontroli ^{k7}.

Władza sięgała w ramach tych represji po cały wachlarz środków. W życie weszły liczne przepisy, wprowadzające kary za najróżniejsze wykroczenia, od żartowania z Hitlera po słuchanie zagranicznych stacji radiowych czy odmowę zapisania dziecka do Hitlerjugend, by wymienić tylko kilka. Równie wiele środków stosowano, by je egzekwować, a zajmowało się tym wiele organów. Po

części należało to do kompetencji funkcjonariuszy tajnej policji, czyli gestapo, policji kryminalnej i SS – paramilitarnego ramienia NSDAP. Ale największy udział mieli liczni niżsi rangą nazistowscy urzędnicy, tacy jak blockleiterzy, którzy czasem donosili na całe kamienice, członkowie różnych nazistowskich organizacji i nadgorliwi członkowie partii, mogący jednym donosem o nieostrożnej wypowiedzi doprowadzić do aresztowania, deportacji, a nawet egzekucji. Chociaż żarliwi poplecznicy systemu stanowili mniejszość w społeczeństwie liczącym osiemdziesiąt milionów obywateli, było ich dość, żeby przejąć całkowitą kontrolę. Odwet, nawet wobec członków partii, był szybki, a brutalne działania stały się codziennością.

Swobody obywatelskie zostały całkowicie zniszczone. Cenzura była totalna, a ostatecznie dotyczyła wszystkich gazet, muzyki, literatury, radia i filmu. Policja mogła otwierać listy i zakładać podsłuch telefoniczny. Prawo zakazywało rozpowszechniania pogłosek o rządzie albo omawiania alternatyw dla aktualnej władzy. Zakazywało też przynależności do partii politycznych innych niż nazistowska, a także do nienazistowskich organizacji poza armią, Kościołami i ich świeckimi przybudówkami. Niemieccy obywatele mogli zostać zatrzymani na czas nieokreślony, bez procesu, w areszcie prewencyjnym lub obozie koncentracyjnym. Dzieci, które nie chodziły na zbiórki Hitlerjugend, były wyrzucane ze szkół bez świadectwa, a urzędnikom państwowym, którzy nie wstąpili do partii, grożono utratą stanowisk. Miliony młodych ludzi indoktrynowano od najmłodszych lat, aby wierzyli w system, w którym przemoc jest normą. Każda próba odstępstwa skutkowałą surową karą albo groziła życiu opornych i ich krewnych. Skutkiem tego wielu Niemców, którzy nie popierali ideologii nazistowskiej, decydowało się na obojętne milczenie ^{k8}.

Dorothea gardziła nazistowskim populizmem, przemocą, kontrolowaniem każdego aspektu życia. Często żartowała z Hitlera. Chociaż Kurt pracował dla rządu, tolerował to, a czasem nawet włączał się do takich rozmów. Należał do ludzi, którzy wierzą przede wszystkim w siebie, a do partii wstąpił wyłącznie z powodu widoków na awans.

Po niedługim czasie rodzina zaczęła nazywać Inge „Pünktchen”, Kropeczka, ponieważ wszyscy oni byli wysocy, a ona miała zaledwie sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. W listach do domu z pierwszych tygodni po zamieszkaniu w domu w Dahlem pełno było wzmianek o Giseli, Dorothei i życiu w Berlinie. Ale z jeszcze innym członkiem rodziny połączyły ją bliskie relacje, o czym nie wspominała w listach wcale. Chodziło o starszego brata Giseli, Wolfganga, którego rodzina nazywała „Buschim”.

Inge zobaczyła go po raz pierwszy po drugiej stronie stołu podczas drugiej wizyty w domu Gigi, kilka tygodni przed propozycją przeprowadzki. Podano już już, gdy wszedł, więc wymamrotał przeprosiny za spóźnienie. Był bardzo wysoki, nosił długą marynarkę w angielskim stylu. Jasne włosy miał o wiele dłuższe niż inni chłopcy w jego wieku, do tego opadały mu na czoło. Podczas posiłku niewiele się odzywał. Zauważyła, że ledwo tknął jedzenie, cielece eskalopki w zielonym sosie. Za każdym razem, kiedy przyłapywał Inge, że na niego patrzy, dziewczyna szybko odwracała wzrok. Miał poważną twarz, pomyślała, i ładne niebieskie oczy.

Rozmowa przy stole dotyczyła bankietu, który miał zostać wydany w następnym tygodniu.

– To będzie duże przyjęcie – powiedziała jej wcześniej Gigi – w związku z pracą ojczyma.

Dorothea zamówiła Gigi nową suknię i zaprosiła również Inge.

Kurt uśmiechnął się życzliwie do Inge, po czym zwrócił się do Wolfganga:

– Skoro już nie chcesz obciąć włosów, to chociaż zjaw się na przyjęciu w przyszłym tygodniu – powiedział tylko w połowie żartobliwie.

– Nie będę całował urękawiczonych rąk bogaczy – odparł Wolfgang spokojnie, tonem, który ledwo skrywał beczelność.

Dorothea łagodnie położyła rękę na ramieniu męża, a Inge zdusiła śmiech. Po podaniu deseru chłopak wymówił się i wstał od stołu. Kiedy odwracał się do wyjścia, spojrzął Inge w oczy i mrugnął. Dziewczyna mocno się zarumieniła.

Wolfgang był dziewiętnastoletnim, wybitnie inteligentnym chłopcem, którego nieśmiałość skrywała wrażliwą naturę. Był bardzo blisko związany ze starszym bratem, Carlem, starszym od niego o trzy lata, i bardzo przeżył jego śmierć. Carl był ekstrawertykiem i ulubieńcem ojca. Rozmiłowany w sportach i niebezpieczeństwach, stanowił zupełne przeciwieństwo cichszego, zatopionego w nauce brata, który wolał książki i wynalazki od aktywności fizycznej. Wrodzona niechęć do pompatyczności i brak pewności siebie sprawiały na wiele sposobów, że nie pasował do roli dziedzica, która zniecka na niego spadła. Był idealistą z wrodzonym poczuciem uczciwości, co często prowadziło go do konfliktów z ojczymem. Raz po raz wyrażał niechęć wobec nazizmu i jego ideologii. Chociaż Lange został nazistą bardziej z wyrachowania niż przekonania, często się na tym tle z Wolfgangiem ścierał. Relacje z ojcem również miał skomplikowane; chociaż Carl-Otto starał się postępować właściwie wobec swoich dzieci, jego apodyktyczność sprawiała, że nie potrafił zrozumieć syna intelektualisty. Wolfgang był wyjątkowo blisko z matką, równie wrażliwy jak ona, co oznaczało, że oboje kierowali się emocjami i źle znosili rozczarowanie.

Wolfgang do tej pory uniknął służby wojskowej. Urodził się w 1921 roku i powinien był dostać powołanie w marcu 1941 roku, ale dzięki koneksjom rodzinnym udało mu się odroczyć służbę, ponieważ chciał skończyć studia. Wizja żołnierskiego życia przerażała go; cechy, które tak bardzo ujmowały jego rodzinę, sprawiały, że zupełnie nie pasował do wojska. Studiował inżynierię i zatrudnił się w fabryce – praca bardzo mu się podobała. Gigi napomknęła Inge, że bawi się też w studencki socjalizm. Powiedziała przyjaciółce, że brat próbuje ukrywać fakt, że jest bogaty. Do pracy nigdy nie zakładała palta, ponieważ, jak twierdzi, od razu zdradziłoby to jego pochodzenie. Pewnego dnia podstęp się wydał, kiedy koledzy, biorąc go za biednego studenta, którego nie stać na zimowe palto, złożyli się, kupili mu je i dostarczyli do domu, ku jego wielkiemu zakłopotaniu.

Gigi nie traktowała brata zbyt serio, opowiadała te wszystkie historie z nutą drwiny. Ale w emocjonalnej Inge rozbudziło to coś w rodzaju kultu bohatera, co nie mogło umknąć uwadze chłopaka. Wślizgiwała się do korytarza przed jego pokojem, kiedy słuchał muzyki, jazzu i swingu, z płyt przywiezionych z podróży najpierw do Anglii, gdzie spędził kilka miesięcy w szkole, a potem do Danii. Pewnego dnia zdobyła się na odwagę i nawiązała z nim rozmowę o muzyce, po czym stali się nierozłączni. Wysoki student i śliczna brunetka z Królewca odkryli, że dzielają namiętność do jazzu. W innej epoce zostaliby parą nastolatków, a ich związek przetrwałby góra jedno lato, ale w mrocznym świecie, który wkrótce miał się pogrążyć w wojnie, wspólne zainteresowanie zakazaną muzyką szybko zmieniły ich wzajemny pociąg w romans, który wywarł wpływ na całe ich życie.

1. Określenie to wymyślił Goebbels albo ogólnie naziści. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Epoka swingu

Jest jeszcze coś, co melodię tę dopełnia (...)
Która nie znaczy nic bez tego rytmu.

It Don't Mean a Thing (If It Ain't Got That Swing)
Duke Ellington

O ile wojna, niosąca ze sobą cień śmierci, stała się bodźcem dla romansu Inge i Wolfganga, to swing zapewnił mu tło muzyczne. Wiosną 1941 roku, prawie dwa lata od wybuchu wojny, życie w Berlinie toczyło się pozornie bez zakłóceń. Armia niemiecka wydawała się niezwyciężona. Do początku kwietnia tego roku siły Hitlera zdążyły zaatakować i zajęły Polskę, Danię, Norwegię, Holandię, Belgię, Luksemburg, Francję, Jugosławię i Grecję, a potem rozpoczęły kampanię bombardowania Wielkiej Brytanii. W Afryce Północnej Afrika Korps feldmarszałka Rommla wspierała wojska Mussoliniego przy wypieraniu Brytyjczyków i przejmowaniu kontroli nad regionem. Naloty Royal Air Force na Niemcy jak dotąd nie przynosiły większych efektów, ponieważ położony o ponad dziewięćset kilometrów od wybrzeża brytyjskiego Berlin znajdował się daleko poza zasięgiem brytyjskich bombowców. Skutkiem tego infrastruktura miasta pozostawała nietknięta, dostawy żywności docierały bez zakłóceń, a morale cywilów pozostawało na niezmiennie wysokim poziomie.

Po ośmiu latach pod nazistowską kontrolą Berlin stracił kulturalną dominację i rys dekadencji, które dekadę wcześniej rozświetliły miasto na cały świat, ale dla szesnastoletniej Inge, wychowanej pod kloszem w królewieckim zaścianku, stołeczne rozrywki były objawieniem. Dzięki Wolfgangowi odkryła teraz prawdziwą scenę muzyczną i nocne życie. W wyjściach zawsze towarzyszyła im Gisela, co pozwalało całej trójce wychodzić bez przyzwoitki i cieszyć się bogatą ofertą wieczorków tanecznych, barów i nocnych klubów ze swobodą, jakiej Inge nigdy przedtem nie doświadczyła. Chociaż lokalnej sceny jazzowej nie dało się porównać z londyńską czy nowojorską, wykonywana muzyka reprezentowała poziom, którego Inge dotąd nie знаła. Do początku lat trzydziestych i podczas

krótkiej chwili wytchnienia, jaką przyniosły igrzyska w 1936 roku, kiedy reżim nazistowski, mając na uwadze wizerunek na arenie międzynarodowej, stonował chwilowo najgorszą antysemicką propagandę, Berlin gościł kilku wykonawców na światowym poziomie. Ich występy zainspirowały miejscowych muzyków, którzy próbowali zaoferować najnowsze przeboje amerykańskiego jazzu i swingu spragnionej publiczności, głównie złożonej z nastoletnich wielbicieli. Dla nastolatek w rodzaju Inge i Giseli swing stanowił ucieczkę, sposób na podkreślenie indywidualności, co było prawie nierealne w czasach, gdy władza ściśle monitorowała życie „aryjskich” nastolatków.

Narodowy socjalizm założył, że potrafi ukształtować gust i postawę moralną nowego pokolenia Niemców w drodze całkowitej kontroli umysłów i zajęć. Od 1936 roku „aryjskie” dzieci powyżej szóstego roku życia musiały wstępować do nazistowskiej młodzieżówki – wszystkie inne organizacje młodzieżowe rozwiązano trzy lata wcześniej. Osoby o żydowskim pochodzeniu nie mogły uczestniczyć w zorganizowanych formach aktywności. Zakaz podkreśliło jeszcze wprowadzenie w marcu 1939 roku Jugenddienstpflicht – służby młodzieży – która narzucała obowiązek przynależności do organizacji, nawet jeśli rodzice się sprzeciwiali.

Chłopcy musieli wstępować do Hitlerjugend, gdzie uczyli się strzelać i maszerować w szyku, a dziewczynki do Bund Deutscher Mädel, która uczyła je, jak być dobrymi żonami i matkami, z dołożonymi elementami wychowania fizycznego. Oczekiwano, że młodzi mężczyźni i chłopcy będą strzyc włosy na krótko i ubierać się w konserwatywnym, wręcz wojskowym stylu; młodym kobietom zalecano czesanie się w niemieckie, tradycyjnie upinane warkocze i rezygnację z makijażu.

Wolfgang pod każdym względem odstawał od swoich bardziej konserwatywnych rówieśników. Był posiadaczem kolekcji płyt, dostępnych wyłącznie na czarnym rynku. Podobnie jak inni entuzjaści swingu, lubił twórczość amerykańską i brytyjską. Miał dobre relacje z drugą żoną ojca i podczas rocznego pobytu w Anglii pokochał język angielski. Oddanie Inge wobec muzyki było może nieco mniej szczere, ponieważ początkowo bardziej zależało jej na zrobieniu dobrego wrażenia na chłopaku. Zaczęła ubierać się podobnie jak dziewczyny spotykane na tańcach, zrezygnowała z bardziej konserwatywnego sposobu upinania włosów i nosiła loki rozpuszczone na ramiona, skróciła spódnicę, kupiła też sobie jaskrawoczerwoną szminkę, czym strasznie zgorszyła matkę, kiedy jej użyła podczas wizyty z okazji Wielkanocy w Królewcu. Nauczyła się doceniać Benny’ego Goodmana i Louisa Armstronga, odrzucając dawną idolkę, Zarah Leander, jako „aprobowaną przez nazistów”.

Jej podziw dla Wolfganga miał nieuchronne skutki. Wiosną 1941 roku para była już w sobie głęboko zakochana. Gisela została ich powierniczką i współniczką spisku. Trójka młodych ludzi była typowymi przedstawicielami *Swingjugend*, swingowej młodzieży, jak się nazywali, młodymi, zamożnymi, z rodzin, których liberalne podejście dawało im pewność siebie do buntowania się przeciwko nazistowskim nakazom. Chociaż ich postępowanie było dalekie od czynnego oporu, stanowiło duchowy bunt przeciwko reżimowi, który chciał dyktować obywatelom wszystko, od stylu ubierania po sposób na spędzanie czasu i myśli. Bunt rozkwitał w większych miastach, takich jak Hamburg, Berlin i Frankfurt, szczególnie wśród młodych z klasy wyższej i średniej, którzy mieli pieniądze i dość wolnego czasu, by chodzić na przyjęcia i kupować zakazane płyty.

Zyskujący coraz większą popularność swing był solą w oku nazistowskiego reżimu, który chciał kształtować młodych ludzi na swój obraz. Jednakże władzom nigdy się w pełni nie udało go zakazać, a ich relacja z jazzem i swingiem pozostawała skomplikowana, przynajmniej w pierwszej połowie wojny. Joseph Goebbels, minister propagandy, obawiał się, że zbyt surowe represjonowanie imprez tanecznych w czasie wojny źle wpłynie na morale Niemców. Nie powiodły się jego próby wprowadzenia własnej „nowoczesnej muzyki tanecznej”, a nękanie zespołów muzycznych krytyką, że używają angielskiego żargonu albo grają „żydowskie” melodie, prowadziło tylko do tego, że nowe grupy pojawiały się w innych miejscach. Również cenzorzy, częściej niż się zdawało, musieli przemykać oczy.

Goebbels dostał również ostrzeżenie, że młodzi Niemcy, którzy lubią najnowsze przeboje muzyczne, zwrócą się ku zagranicznym źródłom w poszukiwaniu swojej ulubionej muzyki, jeśli się jej zabroni w ojczyźnie, i że wielu już to robi. BBC inteligentnie przeplatało audycje informacyjne najnowszymi szlagierami, tak żeby bardziej przemówić do niemieckich odbiorców; do 1943 roku przyciągnęło już aż trzy miliony potajemnych słuchaczy z Niemiec, w tym wielu młodych żołnierzy. Zjawisko stało się tak powszechne, że Goebbels musiał zacząć organizować przedstawienia musicalowe dla Wehrmachtu, omijając restrykcje nałożone na cywilne sceny.

Swing tak bardzo przemawiał do tłumów, że nazistowska propaganda próbowała przez chwilę wykorzystywać go do własnych celów. W 1940 roku Goebbels postanowił stworzyć własny swingowy zespół, Charlie and His Orchestra, który miał się okazać jednym z najbardziej niedorzecznych przedsięwzięć reżimu^{k9}. Zespół nagrywał własne wersje słynnych amerykańskich przebojów, wykonując je po angielsku z silnym niemieckim akcentem i z przerobionym ideologicznie tekstem. Nadawano je w każdą środę i sobotę około dziewiątej wieczorem ze względu na brytyjskich słuchaczy. Skutek był

w najlepszym razie żaloszny. W wersji niezwykle popularnego *Makin' Whoopee* Binga Crosby'ego, przerobionej przez Charlie and His Orchestra, radosne słowa „Another bride, another June, another sunny honeymoon” (Kolejna narzeczona, kolejny czerwiec, kolejny słoneczny miesiąc miodowy) zastąpiły złowieszcze „Another war, another profit, another Jewish business trick” (Kolejna wojna, kolejny zysk, kolejny żydowski szwindel).

Muzyczne perełki zespołu Charlie and His Orchestra spotkały się z chłodnym przyjęciem brytyjskiej publiczności, co raczej nie dziwi. Ale zyskały jednego wiernego słuchacza, którego te piosenki niezmiernie bawiły – podobno Winston Churchill nie przepuścił żadnej audycji.

Uwielbienie dla swingu niosło pewne niebezpieczeństwo dla młodych ludzi, takich jak Inge i Wolfgang. Na ulicach w pobliżu berlińskich nocnych klubów często pojawiały się napisy ostrzegające, że tańczenie swingu jest *verboten*^{k10}. Nie minęło wiele czasu, jak Inge zaczęła chadzać z Wolfgangiem na potajemne przyjęcia, półprywatne zgromadzenia w salach tanecznych i mieszkaniach.

Pod opieką Wolfganga dziewczęta, z pomalowanymi na czerwono paznokciami, wychodziły wieczorami do nocnych klubów lub na potańcówki w staromiejskich salach i piwnicach. Tylko w te wieczory, kiedy szły na tańce, czuły się naprawdę wolne od sztywnych rozporządzeń władz. Dla Inge te miesiące były objawieniem, gdy sobie uświadamiała, jak mały był jej świat w Królewcu. Mężczyźni również zaczęli ją dostrzegać, a ona szybko się zorientowała, że ma nad nimi władzę. Zdarzało jej się wzbudzać zazdrość u Wolfganga, zawsze jednak pozostawała mu wierna. Któregoś wieczoru pewien Norweg, z którym tańczyła, próbował ją nakłonić, żeby poszła z nim do jego mieszkania. Tylko jej prośby sprawiły, że nie doszło do bijatyki.

Niechciane seksualne awanse nie były jedynym niebezpieczeństwem. Zawsze musieli się liczyć z ryzykiem nalotu gestapo. Organizatorzy zatrudniali obserwatorów, którzy warowali pod salą i wyglądali nocnych patroli. Na dany sygnał muzycy szybko zaczynali grać bezpieczniejszego, tolerowanego przez nazistów fokstrota. Mimo tych zagrożeń czas spędzany przez Inge i Wolfganga na tańcach, z dala od wścibskich spojrzeń w domu, pozwolił rozkwitnąć ich relacji. Niebezpieczeństwo nadawało posmak romantyzmu wszystkiemu, co robili. Inge zapamiętała te lata jako cudowne i jednocześnie przerażające.

Z czasem matka Wolfganga, Dorothea, nie mogła już dłużej ignorować buzującego związku. Kochała Inge jak córkę i widziała, jak bardzo lubią jej towarzystwo Wolfgang i Gigi. Dom, tak cichy od śmierci Carla, teraz nagle znów wypełnił się śmiechem. Nieśmiała Gisela była pełna entuzjazmu i energii, a Wolfgang, zawsze raczej wycofany samotnik, zmienił się w radosnego, ufego

młodzieńca. Nie dało się nie zauważyć, że Wolfgang zakochał się w Inge. Dorothea czuła się rozdarta. Nie chciała stanąć na drodze szczęściu syna, ale obiecała też rodzicom Inge, że będzie dbała o ich córkę, a Inge była jeszcze bardzo młodziutka.

Jej własne małżeństwo przeżywało kryzys. Szczere wypowiedzi Dorothei pod adresem rządu dotarły niestety do uszu kolegów Kurta, więc mąż ją poprosił, by zachowała je dla siebie, aczkolwiek wiedziała, że prywatnie podziela jej poglądy. Zaczęła odczuwać nienawiść do jego ambicji, chociaż kiedyś ją tak bardzo podziwiała, i uważać jego napomnienia za zdradę człowieka, tak niegdyś ceniącego jej niezależne myślenie. Napady melancholii, które nasiliły się po śmierci najstarszego syna, Carla, teraz zaczęły ją dręczyć nieustannie. Wiedziała, że zostawia dzieciom za dużo swobody; nawet Kurt ją ostrzegał, że bierze na siebie duże ryzyko, pozwalając Inge i Wolfgangowi przebywać tak często razem, w towarzystwie jedynie Gigi.

Dorothea wiedziała, że wojna może jej odebrać jedyne pozostałego przy życiu syna i że nie ma możliwości temu zapobiec. Roczne odroczenie prawie dobiegało końca, a wizja wojska stawała się coraz bardziej realna, bo zapotrzebowanie na żołnierzy rosło, w miarę jak szły naprzód przygotowania Hitlera do ekspansji na Wschód. Życie wojskowe przyzywało Wolfganga. Dorothea czuła, że może mu dać jedynie tę swobodę, nie chciała psuć synowi szczęścia; pocieszała się myślą, że może jego uczucia do Inge są tylko niewinnym zadurzeniem. Dostrzegała, że podczas kolacji syn potajemnie rzuca spojrzenia na Inge, że nie patrzy w oczy rozmówcy, który wspomina o Inge. Pewnego dnia wcześniej rano, kiedy nie mogła spać, wyglądała przez okno sypialni i dostrzegła młodych, jak wkradają się potajemnie do domu o świcie, trzymając się za ręce. Jesienią 1941 roku fascynacja Wolfganga Inge była już tajemnicą poliszynelem, a Dorothea nadal nie potrafiła się przełamać, żeby położyć temu kres.

Wolfgang miał coraz większe trudności z ukrywaniem uczuć. Raz, kiedy Dorothea powiedziała mu, że spróbują znaleźć sposób, żeby nie musiał iść do wojska, wykrzyknął:

– Jeśli chcecie mnie ukryć, to nic to nie da. Kocham Püñktchen i nie zamierzam być z dala od niej.

Rzucił te słowa lekko, ale widok mocno zaczerwienionej twarzy Inge skłonił Dorotheę, żeby wzięła dziewczynę na stronę.

– Bushi mówi, że cię kocha. A co ty na to?

– To głupie żarty – odparła Inge z wymuszonym śmiechem.

Inge, która zwykle zwierzała się ze wszystkiego Dorothei, teraz zrobiła się ostrożna w rozmowach o tym, co naprawdę czuje. Bała się, że Dorothea uzna za swój obowiązek napisać do rodziców, a ci zabiorą ją do domu. Potajemnie

planowali z Wolfgangiem wspólne życie. Postanowili, że pobiorą się zaraz po powrocie chłopaka z wojny, a była to koncepcja dość dla nich abstrakcyjna, przynajmniej dla Inge. Po studiach chciał zatrudnić się jako inżynier, wtedy mogliby zamieszkać razem w Berlinie albo nawet wyruszyć w świat. Wolfgang powiedział jej, że gdy nadejdzie czas, napisze do jej rodziców z oficjalnymi oświadczeniami. Ostrzegł ją, że jego ojciec może robić jakieś trudności, a Inge wiedziała, chociaż Wolfgang o tym nie mówił, że chodzi o niezbyt eleganckie pochodzenie jej rodziny. Carl-Otto liczył na to, że jego syn ożeni się korzystnie. Bez względu na te przeszkody, obiecał jej wszystko, a ona, z całym przekonaniem pierwszej miłości, myślała, że nic nie może stanąć im na drodze.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zdrada

Żałowałam, że słuchałam opowieści babci o jej historii miłosnej, znając zakończenie. Wyobrazić sobie, jak ich miłość rozkwita w czasie wojny, potem przechodzi próbę wojny i czasu, historię, którą szczęśliwa para mogłaby opowiadać wnukom. Wiedziałam jednak, że nie mogło tak być. Wiedziałam, że chłopak przeżył wojnę, ale że nie byli już wtedy razem. Historię ich romansu przez długi czas otaczało milczenie. Chciałam odkryć dlaczego.

Być może nigdy bym się nie dowiedziała, że to miłość, nie wojna, przyniosła Inge pierwsze cierpienie w życiu, gdybym sama nie doświadczyła zawodu miłosnego. Cierpiałam bardzo, bolało jak cios w brzuch – cios, który przynosi zdradę. W grudniu 2012 roku koniec związku przywiódł mnie do Francji wcześniej, niż planowałam, na długo przed rodzinnie obchodzonym Bożym Narodzeniem. Babcia rozpoznała mój ból, a to przełamało jej rezerwę i ożywiło wspomnienia własnego zawodu miłosnego sprzed siedemdziesięciu lat.

Minął już tydzień z miesięcznej wizyty babci. Na miejscu były tylko moja mama i ciocia, brat z rodziną miał przyjechać dopiero w następnym tygodniu. Babcia była wyraźnie słabsza, przez co podróż z Niemiec stała się bardziej uciążliwa, ale i tak wyruszała w nią dwa razy do roku. Zimowe mrozy dodają południowo-zachodniej Francji delikatnego piękna, wyostrzają kontury, pozbawiają kolory letniej jaskrawości. Ale pochłonięta złamanym sercem w tamtym roku nie dostrzegałam tego piękna. Siedziałam ciągle w domu i często towarzyszyłam babci w ponurym salonie, gdzie spędzała większość czasu.

Moja rodzina, z całą swoją wścibską miłością, zostawiła mnie na jakiś czas w spokoju. Potrzebowałam ucieczki w ciszę i znalazłam ją nieoczekiwanie w spokojnym towarzystwie babci. W jej milczeniu było zrozumienie, a brak pytań skłonił mnie do mówienia. Zanim to sobie uświadomiłam, opowiedziałam jej o wszystkim, o nagłym wzajemnym przyciąganiu, napięciu w każdym dotknięciu i słowie. Jak mi opowiedział, że właśnie się rozstał z wieloletnią partnerką, półprawdę wyjawioną w intensywności pierwszego spotkania. Jego gorączkowe, natarczywe zaloty, rok w cieniu tego, co miało nadejść, czekanie, aż zmieni swoje

życie tak, bym mogła się stać jego częścią. Ekscytacja zachowywaniem sekretu, samotne weekendy i przyjęcia, na które chodził sam. Moment, kiedy postanowiłam odejść, a on mnie błagał, żebym wróciła, wreszcie poprosił, żebym zaryzykowała wszystko. Obietnice, porywy, a potem, co należało z góry przewidzieć, wycofanie się w ostatniej chwili. Jak po tym, gdy bilety już były kupione, usiadł nad kawą, unikając mojego wzroku, a ja od razu wiedziałam, co powie, że odszedł i wrócił do tamtej.

Słuchała bez słowa, nie przerywając, z oczami utkwionymi w mej twarzy. Chłoneła każdy szczegół, nie spuszczała ze mnie wzroku. Kiedy skończyłam mówić, milczała tak długo, że zastanawiałam się, czy się nie pomyliłam. Może wcale mnie nie słuchała. W końcu wzięła mnie za rękę.

– *Ach, Süße*. Rozumiem, też mnie to spotkało.

A potem sama zaczęła opowiadać, ciągnąc historię skazanego z góry na porażkę romansu z Wolfgangiem.

Cios spadł z końcem wiosny 1942 roku, w nietypowo ciepły majowy poranek, kiedy Inge mieszkała już w domu w Dahlem od ponad roku. Lokaj przyniósł list na tacy, kiedy rodzina jadła śniadanie w pokoju z widokiem na ogród, a Wolfgang miał za chwilę wyjść do pracy. Na kopercie był jego adres, pismo wyglądało na urzędowe.

Inge patrzyła, jak otwiera list w milczeniu, spostrzegła, że Dorothea wpatruje się przed siebie z zastygłą twarzą. Gisela, która smarowała tost masłem, zamarła z nożem w pół ruchu. Wolfgang bardzo zbladł. Wszyscy wiedzieli, co zawiera list.

Odczytał telegram lekko drżącym głosem. Wiadomość była krótka i konkretna: ma się zameldować w koszarach za trzy tygodnie. Inge nie zdążyła nawet usłyszeć westchnienia Dorothei ani zobaczyć, jak podchodzi do syna i go obejmuje. Nie potrafiła już dłużej ukrywać uczuć, zalała się łzami i wybiegła z pokoju. Wolfgang wyszedł do pracy, a Dorothea położyła się do łóżka twarzą do ściany. Tylko Gisela przysłała do niej i obie opłakiwały wiadomość, która oznaczała koniec młodości ich brata i syna.

Tego dnia wieczorem odbywało się przyjęcie w prywatnej sali tanecznej w centrum Berlina, organizowane przez kolegę Wolfganga ze studiów. Było to jedno z tych wydarzeń, które cieszyły się ogromnym powodzeniem, ponieważ młodzi ludzie poniżej dwudziestego pierwszego roku życia rok wcześniej dostali zakaz wchodzenia do nocnych klubów. Przystąpienie do wojny Stanów Zjednoczonych w grudniu 1941 roku przyniosło nową falę represji władz wobec zwolenników kultury amerykańskiej, co ściągnęło *Swingjugend* jeszcze głębiej do podziemia. Na przyjęcie obowiązywały zaproszenia, trzymane było w największej tajemnicy, a konsekwencje aresztowania stały się jeszcze surowsze. W sierpniu

1941 roku ponad trzystu nastoletnich wielbicieli swingu zostało aresztowanych w Hamburgu, wielu z nich trafiło do obozów koncentracyjnych, a część nie przeżyła tej ciężkiej próby. W styczniu kolejnego roku, zaledwie kilka miesięcy przed powołaniem Wolfganga, *Swingjugend* zwrócili na siebie uwagę dwóch najwyżej postawionych architektów i realizatorów Holokaustu. Heinrich Himmler, szef SS i policji niemieckiej, napisał do Reinharda Heydricha, szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, że trzeba „radykalnie zlikwidować niegodziwy swing”, a jego zwolenników „reedukować” kilkoma latami ciężkich robót i biciem.

Powołanie Wolfganga do wojska skłoniło jego i Inge do lekkomyślnych zachowań. Impreza odbywała się w piwnicach biurowca we wschodnim Berlinie, betonowe wnętrza złagodzone czerwonymi aksamitnymi sofami i poduchami na podłodze. Światło było przyćmione, a w głównej sali, pełnej ludzi, dominowała scena. Na miejscu Gisela dyskretnie dołączyła do przyjaciół i zostawiła brata z Inge sam na sam. Tej nocy orkiestra dwa razy zagrała *It Don't Mean a Thing Duke'a Ellingtona*, a Inge z Wolfgangiem nie rozstali się ani na chwilę. Inge zapamiętała tę piosenkę do końca życia. Do domu przy Vogelsang wrócili późną nocą. Na trzy godziny przed tym, jak wschodzące słońce miało obudzić dom, Inge po raz pierwszy wpuściła Wolfganga do swojego pokoju.

Kiedy na początku czerwca Wolfgang wyjechał, wszyscy mieszkańcy z całych sił starali się zachować normalność. Chłopaka nie wysłano prosto na front, tylko do ośrodka szkoleniowego sto kilometrów od domu i tam miał spędzić kilka najbliższych tygodni, zanim pułk miał się dowiedzieć, gdzie dostał przydział – informację żołnierze otrzymywali zaledwie z kilkudniowym wyprzedzeniem. Podczas gdy Wolfgang uczył się podstaw żołnierskiego życia, Dorothea uruchomiła wszystkie możliwe znajomości, błagała, kogo tylko mogła, żeby jej syn trafił na front zachodni. Nikt w domu nie śmiał nawet pomyśleć o tym, że Wolfgang mógłby wyjechać na wschód, gdzie w randze oficera służył jego ojciec.

Wojna lada moment miała wkroczyć w najkrwawsze etapy, kruchy rozejm Niemiec ze Związkiem Radzieckim skończył się w czerwcu ubiegłego roku, kiedy Hitler, zachęcony sukcesami armii w Europie Zachodniej i Afryce Północnej, wziął na celownik Związek Radziecki i zaatakował go. Tej zimy do cywilów w ojczyźnie zaczęły docierać opowieści z Europy Wschodniej o okrucieństwach, jakie dotykały Żydów i miejscową ludność. Pierwsza zimowa ofensywa zebrała krwawe żniwo wśród żołnierzy Wehrmachtu, źle wyposażonych do walki w surowym rosyjskim klimacie i chociaż Niemcy nie ponieśli jeszcze na lądzie większej klęski, morale spadło. Hitler, szcycąc się swoją śmiałością, nie zważał na prognozy meteorologiczne, ostrzegające w 1941 roku przed wczesną,

intensywną zimą, co przyniosło tragiczne skutki. Ponieważ armia nie zaopatrzyła żołnierzy w odpowiednią odzież zimową, tysiące okaleczyły odmrożenia. Byli tak słabo wyposażeni, że w grudniu Goebbels nadał komunikat z apelem o wysyłanie na front ciepłych ubrań. Nie dało się wyciszyć tych historii. Opowiadano je w wojskowych kantynach, przemycano w szyfrowanych listach żołnierzy do rodzin. Koleżanka Inge powtórzyła opowieść brata, którego pułk w drodze powrotnej z frontu wschodniego natknął się na innych żołnierzy. Jego uwagę przykuł niezwykle widok, ich szeroko otwarte oczy. Później się dowiedział, że od mrozu odpadły im powieki.

W takiej atmosferze Wolfgangowi zostało tylko liczyć na to, że po szkoleniu wyjedzie na front zachodni, gdzie walki były mniej zaciekle, pogoda łagodniejsza, a zaopatrzenie w żywność lepsze. Po wyjeździe Wolfganga na szkolenie Inge zaczęła inaczej patrzeć na świat. Wcześniej zupełnie lekceważyła relacje z frontu, ale teraz łowiła chciwie wszystkie szczegóły, słuchała audycji radiowych i nadstawiała ucha na przeciekające, niecenzurowane informacje. Po raz pierwszy zwróciła uwagę, że w tramwaju, którym jeździła na uczelnię, na ulicach, w sklepach, nie ma mężczyzn. Wprowadzono surowsze racjonowanie żywności, trudniej było dostać niektóre towary, a wojna powoli zaczynała wkraczać w codzienność tych berlińczyków, którzy do tej pory mogli ją ignorować.

Dziewczyny przeszły na wyższy kurs, Inge zaczęła studiować projektowanie wnętrz, a Gisela modę. Inge z zadowoleniem zakończyła naukę szycia, cerowania i gotowania i zajęła się studiami. Regularnie dostawała listy od rodziców, którzy pisali jej o dawnych koleżankach i życiu w Królewcu, które pozornie niewiele się zmieniło. Nieobecność Wolfganga mocno odbijała się na domu, puste miejsce przy stole, cisza na górze, gdzie z pokoju nie dobiegały stale dźwięki jego ulubionych przebojów z gramofonu. Skończyły się też nocne wyjścia, które tak bardzo lubili. Inge większość wieczorów spędzała w domu, ponieważ to Wolfgang był organizatorem wyjść. Jeden podwieczorek taneczny, na który Dorothea zabrała dziewczyny, żeby im poprawić humor, skończył się tym, że Inge się rozpłakała. Nie potrafiła dłużej ukrywać uczuć.

Dorothea, która już wiedziała, że Inge jest głęboko przywiązana do jej syna, bardzo współczuła dziewczynie. Wolfgang wyjechał na początku lipca i nie dostał przepustki przed wyruszeniem na front. Teraz była połowa lipca. Udawała, że nie widzi listów adresowanych ręką syna do Inge – po kilka na tydzień. Tylko w tych momentach blada i pozbawiona całej swojej energii dziewczyna na chwilę się rozchmurzała. Pisał do niej o planach na przyszłość, o ich wspólnym życiu po wojnie. Niewiele wspominał o codziennym żołnierskim życiu, czasem o armijnych posiłkach albo o kolegach z pułku. Chociaż miał tylko dwadzieścia dwa lata, był

starszy od większości rekrutów, wśród których znajdowali się nawet siedemnastolatki, gdyż armia niemiecka pozwoliła teraz zaciągać się mężczyznom na dwa lata przed uzyskaniem wieku poborowego. Ci młodzi chłopcy okazywali gorliwość i entuzjazm, którego Wolfgang nie rozumiał. On nienawidził brutalności życia w wojsku i wojny, w którą nie wierzył.

Dorothea, która w domu pozwalała dzieciom swobodnie wygłaszać krytyczne uwagi, teraz żałowała, że nie nauczyła ich siedzieć cicho. W tych niebezpiecznych czasach lepiej zachowywać opinie dla siebie. Wystarczająco źle było w przypadku cywilów; cały niemiecki system prawny nastawiony był na zamykanie ust odstępcom. A wojna szalała, służba bezpieczeństwa, SD, wychwytywała wszelkie sygnały publicznych niepokojów, gestapo zaś szybko reagowało na wszelkie „defetystyczne” rozmowy. Jednak jako żołnierz Wolfgang już nie mógł bezpiecznie dawać upustu złości za zamkniętymi drzwiami.

Wiegandtowie nie widzieli córki od Bożego Narodzenia, ponieważ Inge odwołała wizytę w maju pod pretekstem dużej ilości zajęć na nowym kursie, chociaż tak naprawdę chodziło o to, by mogła spędzić z Wolfgangiem ostatnie dni przed wyjazdem. Miała wrócić do Królewca na letnie wakacje w lipcu i stamtąd wyruszyć do Rauschen, gdzie rodzice zarezerwowali jak zwykle pokoje w pensjonacie. Frieda zapytała listownie, czy Gisela chciałaby do nich dołączyć na kilka tygodni i kogo Inge chciałaby zaprosić na swoje osiemnaste urodziny.

Listy Inge do domu straciły dawny entuzjazm i ekscytację i nawet pytania o przyjęcie urodzinowe nie budziły jej zainteresowania. Pisała tylko o studiach. Albert cieszył się z tego nowego poważnego podejścia córki do nauki, ale ton Inge martwił Friedę, która między wierszami wyczytywała, że Inge jest nieszczęśliwa, chociaż nie podejrzewała przyczyny. Dorothea również martwiła się o Inge, zwróciła uwagę, że dziewczyna niewiele je na śniadanie i zrobiła się bardzo wycofana. Myślała, że milczenie Inge i coraz częstszy nawyk opuszczania posiłków wynikały z tęsknoty za Wolfgangiem. Nie martwiła się o związek młodych ludzi, wierzyła, że wojna i rozstanie albo w naturalny sposób zakończą relację, albo zmuszą ich, by poczekali, aż będą nieco starsi.

Pewnego dnia rano Inge w ogóle nie zeszła na dół, a zaniepokojona Dorothea poszła po nią do pokoju. Nie było odpowiedzi na pukanie, więc chwyciła za klamkę, ale drzwi okazały się zamknięte. Po kilku chwilach usłyszała zgrzyt obracającego się w zamku klucza. Inge usiadła na brzegu łóżka. Nie przebrała się z nocnej koszuli, nie uczesała włosów. Gdy Dorothea spojrzała dziewczynie w twarz, to nie zaniedbany wygląd ją zdradził, ale strach w oczach. Zrozumiała prawie od razu, wzięła twarz Inge w ręce i spytała, czy jest chora, ale znała odpowiedź, zanim Inge potrząsnęła głową.

Kiedy Dorothea spytała ją o zdrowie, Inge nie mogła się zmusić, by spojrzeć jej w oczy. Zapytała dziewczynę, czy spóźnia jej się okres, a ta powoli skinęła głową, zalała się łzami i padła w ramiona opiekunki.

– I jeszcze to, w tych strasznych czasach – powiedziała Dorothea i mocniej przytuliła Inge.

– Co ja mam robić? – spytała Inge, patrząc na nią z mokrą twarzą.

– Musicie się pobrać, i to szybko. To właśnie trzeba zrobić.

Dorothea wiedziała, że telefon załamał rodziców Inge. Pomyślała o wizycie Friedy sprzed kilku miesięcy, przypomniała sobie, jak kobieta bardzo jej dziękowała za opiekę nad córką. Po próbach pocieszenia dziewczyny, z poczuciem winy na wspomnienie tamtego spotkania, przemówiła do niej w surowszym tonie niż kiedykolwiek wcześniej. Sumienie podpowiadało jej, że to jej wina, że powinna była rozdzielić kochanków, na co było już niestety za późno.

Inge podsłuchiwała pod drzwiami rozmowę telefoniczną.

– Tak mi przykro – usłyszała głos Dorothei. – Nie byłam w stanie temu zapobiec. Ale bardzo kocham waszą córkę i chcę, żeby wyszła za mojego syna. Zorganizujemy wszystko jak trzeba.

Wolfgang miał przyjechać na krótką przepustkę w nadchodzącym tygodniu, przed wyjazdem na front. Chociaż Dorothea odliczała dni, bo nie mogła się doczekać spotkania z synem, teraz jego przyjazd ją przerażał. Muszą się pobrać, pomyślała, chociaż oboje są tacy młodzi. Zastanawiała się, jak przyjmie wieści jej były mąż, dumny z jedyne go syna, który mu został, i wiedziała, że będą kłopoty. Carl-Otto nadal wspierał dzieci finansowo i wiele zależało od jego reakcji.

Inge napisała do Wolfganga o ciąży, jeszcze zanim to odkryła Dorothea. Odpowiedział jej od razu, obiecał, że się nią zajmie i zachowa się właściwie. Poczekaj na odpowiedni moment i porozmawiaj z ojcem. Po prostu muszą przyspieszyć plany, które snuli na życie po wojnie. Pomimo tych zapewnień był przerażony perspektywą rozmowy z Carlem-Ottonem, wiedział, że ojciec nie zaaprobuje sytuacji. Nie zdawał sobie sprawy, że nowiny dotarły już do reszty domowników. Kiedy dostał list od matki, wiedział, że spotkania nie da się już dłużej odkładać. Mieli się spotkać z Gisłą z ojcem podczas jego następnego urlopu, jak zwykle co kwartał, w tej samej restauracji w Berlinie co zawsze. Napisał do ojca, że po obiedzie chciałby z nim porozmawiać.

W Berlinie Inge pomagała Gisli przygotować się do wyjścia z ojcem. Mieli się spotkać w restauracji o wpół do pierwszej. O jedenastej Gisla nagle sobie przypomniała, że wciąż ma jeszcze pomalowane na czerwono paznokcie.

– Staruszek się wścieknie – powiedziała do Inge. – Jest strasznie surowy, już słyszę, co powie.

Inge od razu pobiegła do drogerii po zmywacz do paznokci.

Kiedy wyczyściła ostatnią smugę czerwieni kawałkiem waty, Gisela powiedziała do niej łagodnie.

– Wiesz, Inge, staruszek nie lubi kłopotów. Już dość ich sobie narobił, zeniąc się z Angielką, a teraz jest niemieckim oficerem. Nie będzie chciał więcej kłopotów.

– O czym ty mówisz? – spytała Inge.

– O tobie – odparła. – Nie będzie chciał kłopotów z tobą.

Carl-Otto von Schimmelmanna był dumny człowiekiem, który wiązał wielkie nadzieje z synem i dziedzicem. Chociaż zaprzepaścił większość rodzinnego majątku, dzieci nadal finansowo pozostawały zależne od niego. Kurt Lange dzięki pracy cieszył się wystawnym stylem życia, ale nie miał raczej dochodów poza pensją i nie był w stanie wspierać właściwie dorosłych pasierbów. Carl-Otto odczytał list Dorothei z osłupieniem. Jeśli Wolfgang liczył na to, że znajdzie w nim współczującego słuchacza, mylił się głęboko. Carl-Otto stanowczo odmówił zgody na ślub.

Chociaż synowi powiedział, że jest za młody na małżeństwo, czego właśnie Wolfgang się obawiał, przyczyna leżała głównie w tym, że uznał kandydatkę za mało odpowiednią. Inge pochodziła z szanowanej rodziny o dobrym pochodzeniu, ale nie spełniała towarzyskich ambicji, jakie pokładał w jedynym synu. Carl-Otto tkwił w długach po uszy. Nawet sprzedaż rodzinnej posiadłości nie rozwiązała jego problemów finansowych, miał nadzieję, że syn przez małżeństwo podreperuje pozycję i majątek rodzinny. Powiedział Wolfgangowi, że zanim w ogóle pomyśli o ślubie, ma najpierw odsłużyć wojsko i skończyć studia. Po wojnie może wrócić do tej rozmowy, ale jeśli się ożeni teraz, nie dostanie już od ojca ani grosza.

Tamtego dnia Inge siedziała w oknie i czekała na powrót Wolfganga. Rodzice byli już w drodze z Królewca. Miała nadzieję, że wszystko się uda załatwić, zanim dotrą do Berlina. Słowa Giseli zaniepokoiły ją, ale starała się o nich nie myśleć.

Podskoczyła na dźwięk samochodu wtaczającego się na podjazd. Wsiadła tylko Gisela. Wolfgang wrócił godzinę później. Wybiegła do niego przed dom, ale jedno spojrzenie na twarz chłopaka powiedziało jej wszystko.

Łagodny, nieśmiały Wolfgang, który buntował się tylko w chwilach, gdy chodziło o muzykę, nie miał dość siły, by sprzeciwić się ojcu. Ugiął się pod ciężarem dezaprobaty Carla-Ottona. Może pocieszał się, że w końcu naprawi

sytuację z Inge, tyle że z opóźnieniem. Powiedział jej, że mu przykro, że jej wszystko wyjaśni – ale ona go nie słuchała. Okazanie słabości w momencie, kiedy potrzebowała go najbardziej, było zdradą deklaracji i oświadczenia, jakie jej wcześniej złożył. Nie chciała słuchać jego zapewnień. Zostawiła go w holu i uciekła. Oto było ich rozstanie: tamtego wieczora Wolfgang odjechał taksówką do hotelu, w którym zatrzymał się jego ojciec.

Dorothea próbowała interweniować. Wynik rozmowy Wolfganga z ojcem załamał ją. Inge była najlepszą przyjaciółką ich córki i o ile małżeństwo to nie było szczytem marzeń, z pewnością nie oznaczałoby katastrofy. Dziewczyna mieszkała w ich domu jako przyjaciółka rodziny i Dorothea uważała, że głęboko zawiedli Inge i jej rodziców. Kurt zgadzał się z nią, ale jako mężczyzna, który nakłonił Dorotheę do porzucenia Carla-Ottona, nie czuł się uprawniony do ingerencji.

Chociaż Dorothea potępiała tchórzostwo Wolfganga, jednocześnie mu współczuła. Wiedziała, jak ogromną władzę miał Carl-Otto nad własnymi dziećmi. Sama jej doświadczyła podczas ich małżeństwa. Czowała się bezradna. Tamtej nocy tuliła Inge w ramionach i płakała.

Podczas gdy Inge mieszkała w Berlinie, życie Friedy i Alberta w Królewcu biegło swoim wytyczonym torem. Oni sami i ich krąg towarzyski kierowali się surowymi zasadami moralnymi prowincjonalnego miasta i rzadko kiedy mieli do czynienia ze skandalem. Podobnie jak wiele innych, przedsiębiorstwo Alberta ucierpiało wskutek gospodarki wojennej, szczególnie w ostatnich latach. Braki w dostawach zbóż zwiększyły koszty produkcji sznapsa, a racjonowanie ograniczyło zapotrzebowanie na importowane wina. Ale w latach przed wybuchem wojny Wiegandt odłożył sporo pieniędzy, nie tylko na zabezpieczenie przyszłości Friedy, lecz także ich córki. Nadal był posiadaczem domu, który kupił kilka lat wcześniej od żydowskiego sąsiada, teraz go wynajmował, ale liczył, że z czasem zamieszka w nim Inge ze swoją własną rodziną.

Chociaż Związek Radziecki graniczący z Prusami Wschodnimi znów okazał się wrogiem, życie Wiegandtów w Królewcu nie odzwierciedlało tego nowego zagrożenia. Geograficzna izolacja Prus Wschodnich chroniła niemiecką ludność przed najbardziej oczywistymi oznakami wojny. Bogate rolnictwo pozwalało kompensować najdotkliwsze ograniczenia w dostawach żywności, przynajmniej na wsi. Poza maszerującymi od czasu do czasu przez region wojskami i brakiem ojców, braci i synów, tutaj w ogóle się nie czuło, że trwa wojna. W cichym, bezpiecznym Królewcu Albert zamartwiał się o córkę. Lęk przed nalotami, chociaż nie zdarzały się często, i wojną, ponieważ zaczynało się mówić, że prawdopodobnie wygrają ją alianci, zastąpiły wcześniejsze obawy, które miał,

gdy Inge poprosiła go o zgodę na wyjazd do Berlina, obawy bardziej typowe dla ojca nastoletniej córki. Ale w przyszłości, którą wojna uczyniła niepewną, perspektywy Inge rysowały się optymistyczne. Był dumny z jej osiągnięć w Berlinie, entuzjazmu wobec studiów i nawiązania bliskiej relacji z rodziną von Schimmelmannów. Uwielbiał jej nowo nabytą ogładę, która podczas wizyt w domu odróżniała ją już mocno od rówieśniczek. Wiegandtowie z dużą ulgą przyjęli przeprowadzkę Inge do domu w Dahlem. Poznali Dorotheę i jej męża, widzieli też, jak bardzo rodzina jest oczarowana Inge.

Telefon od Dorothei stanowił cios, który położył kres wszystkim nadziejom.

Frieda odebrała telefon z naręczem bielizny, którą cerowała. Albert stał przy niej. Widział, jak twarz żony nagle tężeje, a starannie poskładane prześcieradła zsuwają się na podłogę.

W pierwszej chwili pomyślał, że Inge została ranna podczas nalotu. Kiedy poznał prawdę, przyjął ją właściwie z ulgą. Dla Alberta i Friedy siedemnastoletnia Inge nadal była dzieckiem. I chociaż pod wieloma względami byli typowymi przedstawicielami swojego pokolenia, ich reakcja na nowinę w ogóle o tym nie świadczyła. W pierwszym odruchu, gdy usłyszeli o ciąży córki, chcieli ją chronić, nie potępić. W ciągu godziny od rozmowy z Dorotheą Albert zdążył już napisać do ojca Wolfganga z prośbą o spotkanie. Następnego dnia rano Wiegandtowie byli w drodze do Berlina.

*

Zaraz po przyjeździe Frieda zabrała Inge do hotelu. Spotkanie dalekie było od sztywności. Inge padła matce w ramiona. W pierwszej chwili z rezerwą odniosła się do ojca, spodziewając się nagany. Zamiast tego Albert rozplakał się, gdy ją przytulił, a te łzy zraniły Inge bardziej niż jakiegokolwiek słowa wyrzutu.

Rozmowa Friedy z Dorotheą przebiegła spokojnie. Kobiety długo omawiały sytuację; po wszystkim Frieda uznała, że matka Wolfganga jest ich sojuszniczką, gotową do walki po stronie Inge. Życzliwość Friedy poruszyła Dorotheę, która czuła się bezradna. Przez to jeszcze trudniej było jej znieść postawę ojca Wolfganga.

Następnego dnia rano przyszedł do hotelu list od Carla-Ottona. Napisał, że sprzeciwia się małżeństwu Inge z jego synem; to dało początek zażartej kłótni. Mężczyźni spotkali się w berlińskiej restauracji, Carl-Otto nie chciał zmienić zdania, a Albert wyleciał z lokalu jak burza. Nastąpiła wymiana kolejnych pełnych wściekłości listów. Wreszcie Albert poprosił o spotkanie z samym Wolfgangiem, licząc na to, że zaapeluje do poczucia odpowiedzialności chłopaka. Ale tutaj

Carl-Otto wyciągnął atutowego asa z rękawa. Powiedział Albertowi, że syn właśnie został powołany i lada dzień wyjedzie na front wschodni. Zbieżność czasowa mogła się wydawać zwykłym przypadkiem, ale Wolfgang do końca życia wierzył, że jego ojciec wszystko to wyreżyserował.

Po straszliwej klęsce w bitwie o Moskwę poprzedniej zimy każdy żołnierz niemiecki drżał przed możliwością wyjazdu na front wschodni. Z końcem sierpnia zaczęła się bitwa o Stalingrad, która w kolejnych miesiącach okazała się jednym z najkrwawszych starć i tak już brutalnego konfliktu. Konieczność udziału w wojnie, w którą nie wierzył, Wolfgangowi wydawała się wyrokiem śmierci.

– Mój Buschi... tak mnie zawiódł – powiedziała babcia.

Ciągle trzymała mnie za rękę, czułam, że jej uścisk jest coraz mocniejszy. Nawet teraz, siedemdziesiąt lat później, wspomnienie budziło w niej wielkie emocje.

– Nadal tego nie rozumiem, po tym wszystkim, co mi mówił.

Wbijała mi paznokcie w skórę, ale nie cofnęłam ręki.

– Po tym, co przeżyliśmy. Po tych wszystkich obietnicach, które mi składał. Raz po raz mi mówił, że wszystko będzie dobrze. Nigdy tego nie zrozumiałem.

Później myślałam sobie o jej egoizmie, który zawsze uważałam za pobłażanie sobie, a teraz sobie uświadomiłam, że mógł służyć ochronie. Przypomniałam sobie opowieści matki, niekompletne i pobieżne, o wojennym małżeństwie, które później się zakończyło. Opowiadała mi o ceremonii w Królewcu, bez obecności pana młodego; o kapeluszu, który leżał na jego krześle. Czy była to prawdziwa historia, czy zmyślona, aby uchronić matkę przed piętnem nieślubnego dziecka? Wyobraziłam sobie Inge jako samotną pannę młodą podczas tej absurdalnej sceny, osiemnastoletnią i w zaawansowanej ciąży. Kto jej włożył na palec obrączkę? I czy kapelusz położono na krześle?

Była to historia z czasów, kiedy przyzwoitość miała ogromne znaczenie, chociaż wojna w pewnym stopniu skruszyła normy społeczne. Wojna zmuszała nawet pozbawionych wyobraźni ludzi do nieoczywistych wyborów. Zapoczątkowała nawyk sięgania po podstęp i sprawiła, że roztropni postępowali zuchwale. Pewna osobliwość szczegółów ceremonii kazała mi myśleć, że opowieść mogła być jednak prawdziwa. Bez względu na pozory legalności, które próbowano nadać okolicznościom, nie zmniejszyło to poczucia zdrady we wspomnieniach babci. Ona zapamiętała wyłącznie to, że Wolfgang ugiął się pod presją ojca i złamał obietnicę, którą złożył jej podczas ich ostatniego tańca w Berlinie. Zapamiętała świadomość, że miłość, którą uważała za silniejszą od wojny, ostatecznie okazała się nietrwała. Siedemdziesiąt lat później dalej rozmyślała o tym z goryczą.

A jednak, mimo tego wszystkiego, co mi zdradziła, było w tej historii jeszcze mnóstwo rzeczy, których się chciałam dowiedzieć. Babcia ciągle mówiła, że Wolfgang był miłością jej życia. Wiedziałam, że spotkali się po zakończeniu wojny, kiedy moja mama była już na świecie, zastanawiałam się więc, dlaczego nic z tego spotkania nie wynikło. Mama pewnie przez całe dzieciństwo zadawała to pytanie, więc wymyśliła sobie własne wyjaśnienie, które na stałe weszło do rodzinnej narracji: że kiedy Wolfgang spotkał się z Inge po wojnie, był żołnierzem, który miał za sobą trzy lata radzieckiej niewoli, człowiekiem złamanym, pozbawionym uczuć. Jego nastoletnia ukochana była już wtedy kobietą, matką i uchodźczynią, która widziała śmierć i doświadczyła straty. Spotkali się jako dorośli, ukształtowani przez straszną rzeczywistość. Fakt, że oboje przeżyli, wyzuł ich z całych zasobów emocji i zgasił wcześniejszą nastoletnią miłość.

Aczkolwiek wyjaśnienie brzmiało sensownie, wciąż mi w nim czegoś brakowało. Życie w radzieckim obozie nie mogło wszak sprawić, że zapomniał o ukochanej, być może to właśnie jej wspomnienie było jedną z rzeczy, która pozwoliła mu przetrwać. Babcia, w której budził tak wielkie emocje kilkadziesiąt lat później, musiała go nadal kochać, kiedy wrócił. Na pewno chciała, by ojciec znalazł miejsce w życiu jej córki.

Ból zdrady ze wspomnień babci i wspomnienia własnych, wciąż świeżych ran sprawiły, że przez chwilę się zastanawiałam, czy cała ta historia z Wolfgangiem nie jest zmyśleniem – że może tak naprawdę nie kochał jej tak, jak ona kochała jego; że niezgoda pradiadka na małżeństwo stanowiła tylko wykręt; przez chwilę zważyłam nawet, że w ogóle trafił do niewoli. Wtedy postanowiłam, że nie będę już dłużej tylko słuchaczką, i wyruszyłam na poszukiwanie prawdy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Niepewna przyszłość

Przedzianie się przez przeszłość może być powolnym, mozolnym procesem. Aczkolwiek czasem tropy same wchodzą człowiekowi w ręce, wtedy, kiedy się tego zupełnie nie spodziewa. Kilka miesięcy po tym, jak zaczęłam szukać dalszych szczegółów z przeszłości babci, mama dała mi książkę z wierszami Friedricha Hölderlina. Znalazła ją wciśniętą do szafki, kiedy próbowała bez rezultatów posegregować babcine dokumenty. Nie przypominała sobie, skąd się wziął ten zniszczony tomik w miękkiej oprawie, z imieniem babci wypisanym na skrzydełku okładki. Gdy otworzyłam książkę, wypadło z niej zdjęcie, zatknięte jak zakładka na stronach z wierszem zatytułowanym *Dęby*. Było czarno-białe, wyblakłe, a przedstawiało grupę urlopowiczów na plaży. Postacie stały na tle drewnianego mola w słoneczny letni dzień, gdzieś w Prusach Wschodnich.

Z przodu, od prawej strony, znajdowała się starsza kobieta – zapewne Frieda, chociaż nie jestem pewna – miała na sobie coś, co dziś nazwalibyśmy kombinezonem w odważny kwiatowy wzór, i sznur pereł. Roześmiana, w jednej ręce trzymała ringo, a w drugiej piłeczkę, ramię unosiła, jakby zaraz miała nią rzucić. Druga od lewej była moja babcia, stojąca obok umięśnionego młodego blondyna, ucieleśnienia zdrowego niemieckiego mężczyzny. Babcia nosiła ciemną koszulę z krótkimi rękawami na kostiumie kąpielowym w bładny, kwiecisty wzór, z bufiastymi nogawkami, i uśmiechała się, podczas gdy wiatr zwiewał jej włosy z twarzy.



Inge z przyjaciółmi nad morzem

Nie wiedziałam, kim był młody człowiek, ale fakt, że się znalazł na plaży, wskazywał, że zdjęcie zrobiono najpóźniej w 1941 roku, w pierwsze lato Inge po powrocie z Berlina. Potem, tak jak inni młodzi mężczyźni w jego wieku, musiał dostać wezwanie na front.

Zdjęcie uchwyciło chwilę beztroskiej radości, migawkę z wakacji jak wiele innych, prawdopodobnie z Cranz albo Rauschen. Na odwrocie nie było żadnego napisu pozwalającego zidentyfikować miejsce. Nie jestem pewna, dlaczego zdjęcie tak mnie poruszyło. Może chodzi o wiedzę, jaką miałam, trzymając je siedemdziesiąt lat później, o tym, co miało spotkać tę rozradowaną małą grupę. Przedstawiało ostatnie przelotne lato młodości i niewinności, świat, który lada moment miał runąć, nie tylko dla Inge zdradzonej przez Wolfganga, ale i dla całego pokolenia, które wkrótce porwała i zatopiła fala okrucieństwa.

Pomyślałam o tym ostatnim przyjeździe Inge do domu na wakacje, kiedy letnia fotografia mogła zostać zrobiona. Była wtedy Lette Mädchen, ulubienicą przyjaciółek matki, obiektem zazdrości rówieśniczek, pełną opowieści o studiach i życiu w wielkim domu w Berlinie. Rok później jej powrót był zupełnie inny, powrót do prowincjonalnego miasta konserwatywnych mieszczan, którego normy złamała i od którego się oderwała. Już nie była młodą kobietą z przyszłością, tylko kobietą zhańbioną, w ciąży, bez wyraźnej obietnicy małżeństwa. Dla Alberta i Friedy również musiało być to trudne, ponieważ należeli do pokolenia, którego

życie ściśle podporządkowywało się tradycji i któremu zmiany nie przychodziły łatwo. Czy o tym właśnie myślała Inge, jadąc w pociągu na wschód, czy rozmyślała nad życiem, takim jak na zdjęciu, w otoczeniu przyjaciół, w chwili beztrudnej zabawy?

Dla Inge, przynajmniej dla niej, Prusy Wschodnie, do których wróciła z końcem lata 1942 roku, niewiele się zmieniły. Lęk przed nalotami, który zaczął dręczyć cywilów po bombardowaniach Lubeki i Kolonii wiosną, nie dotarł do tego regionu. Królewiec i ulice miasta chroniło peryferyjne położenie. Lecz chociaż miasto jak dotąd zostało oszczędzone, nie stało się tak z młodszym pokoleniem. Sierpień 1942 roku był punktem zwrotnym dla Niemiec w wojnie, a determinacja Hitlera, żeby złamać ZSRR, skierowała państwo na kurs, którego już nie można było zmienić, co przypieczętowało los Prus Wschodnich, ojczyzny Wiegandtów, tak im drogiej. Młody mężczyzna obok Inge na zdjęciu najprawdopodobniej był żołnierzem wysłanym, jak większość rekrutów z Prus Wschodnich, na front wschodni. Jeśli nie zginął w 1942 roku, jego szanse na przeżycie zmniejszały się z dnia na dzień. Latem 1944 roku armia niemiecka straciła milion ludzi, zabitych, rannych lub zaginionych, na przestrzeni zaledwie stu pięćdziesięciu dni. Jeśli chodzi o kobiety ze zdjęcia, to prawie na pewno straciły przyjaciół, mężów, ukochanych lub braci. Na początku 1945 roku tym, które miały szczęście, udało się uciec lub ewakuować; te, które miały mniej szczęścia, które zostały na miejscu, miały przeżyć niewyobrażalny horror zbiorowych gwałtów Armii Czerwonej,

Inge nie mogła o tym wszystkim wiedzieć, kiedy spoglądała przez okno na przepiękny krajobraz, wzbogacony pierwszymi plamami wczesnojesiennych kolorów, z pociągu podążającego na wschód, do domu. Ale chociaż miała wtedy zaledwie osiemnaście lat, kilka ostatnich tygodni odarło ją z naiwności. Wracała jako inna kobieta, z nowo odkrytym cynizmem, a jej oczy widziały rzeczy, których wcześniej nie dostrzegały.

– Brzuch mi się zaokrąglął – powiedziała mi. – Chciałam krzyczeć, pytać, dlaczego mnie zawiódł, ale jego ojciec nie pozwolił nam się spotkać. Wszyscy, którzy chcieli mi pomóc, Mütterchen, moja mama, mój tata, byli bezsilni. Nie pozostało nam nic innego, jak wrócić do domu.

Gdybym miała oznaczyć czas, w którym poczułam, że babcia całkowicie się przede mną otworzyła, wskazałabym tamten moment, kiedy podzieliła się ze mną bólem po zdradzie mężczyzny. Od tamtej pory myśli, o których opowiadała, nie należały już do naiwnej dziewczyny. Były samokrytyczne, surowe, pełne złości i smutku: myśli kobiety, która całkowicie odkryła się przed drugą kobietą.

Odcisnęły piętno na ostatniej nocy Inge w Berlinie, na cichej kolacji w hotelu. Ona i Frieda wyjechały wcześniej rano następnego dnia w długą podróż do domu, a Albert został, żeby stoczyć walkę z ojcem Wolfganga. Inge nie widziała się z chłopakiem od dnia, kiedy ojciec zakazał mu się żenić. Myślała o nim ciągle, z bólem i niepokojem, zastanawiała się, czy wojna go zabierze, wciąż miała nadzieję, że może w końcu wszystko się ułoży. Tymczasem pozostało jej tylko czekać w spokoju, rezygnacji, cała radość życia z niej uszła. Bała się pytań, jakie czekały na nią w domu, wstydu, rozczarowania przyjaciółek, które tak gorąco opowiadały się za jej wyjazdem.

Gdy wysiadła z pociągu, od razu uderzyło ją, jak niewiele oznak wojny widać na ulicach Królewca. Mimo że cała infrastruktura Berlina ciągle działała, wojna wyglądała zza każdego rogu i z przydomowych ogrodów, gdzie budowano coraz więcej i więcej prywatnych schronów. Coraz częstsze naloty RAF-u zmusiły rząd niemiecki do zaostrenia obrony cywilnej w zachodniej części kraju. Kilka udanych wypadów na Berlin przyniosło względnie nieduże straty – dopiero kiedy do wojny dołączyły Stany Zjednoczone, posiadające samoloty o większym zasięgu, naloty na Berlin stały się poważniejsze – ale znacząco obniżyło morale, ponieważ bombardowania dotknęły miasto, które zdaniem wielu Niemców leżało poza zasięgiem aliantów. W parkach stolicy zbudowano trzy betonowe wieże o ścianach grubych na cztery metry, wyposażone w system radarowy i działa przeciwlotnicze. Chociaż publiczne schrony w Berlinie mogły pomieścić tylko dziesięć procent mieszkańców, wieże były widoczną oznaką, że miasto szykuje się na atak^{k11}.

Pojawiło się zmęczenie wojną. Berlin był miastem, gdzie podkreślano cynizm polityków, a Inge przywykła do rozmów o możliwej klęsce, do żartów i krytycznych komentarzy wobec reżimu. Od kiedy Wolfgang wyjechał do armii, stała się bardziej wyczulona na zmiany morale i nastrojów – liczyła na to, że koniec wojny sprowadzi do niej z powrotem Wolfganga. Natomiast w Królewcu można było pomyśleć, że żadnej wojny nie ma. Ludzie wychodzili do codziennych zajęć, rozkoszowali się *Kaffe und Kuchen* w miejskich kawiarniach. Samego regionu również nie dotknęły jeszcze zniszczenia i tylko szpitale wojskowe oraz obozy szkoleniowe rozrzucone po prowincji przypominały, że Niemcy są od trzech lat w stanie wojny.

Było to miejsce, które Inge, oczekująca narodzin dziecka, uznała za komfortowe. Panowało tu wrażenie, że czas się zatrzymał, dając iluzję pokoju, dlatego kiedy nadszedł koniec ich życia w Królewcu, kiedy sytuacja dramatycznie się zmieniła, brutalność tej zmiany wstrząsnęła nimi jeszcze mocniej.

Ludzie pokroju Wiegandtów najwyraźniej odczuwali wojnę głównie przez niedobory w życiu codziennym. Miejskie obszary Prus Wschodnich dotknęły potężne braki żywności i węgla. Tej wiosny racje żywnościowe obcięto w całych Niemczech, przydziały na mięso i tłuszcz spadły o jedną czwartą, dramatycznie brakowało świeżych warzyw, a większość produktów rolnych szła na potrzeby armii. Chociaż na wsi ludziom udawało się uzupełniać racje, mieszkańcy Królewca mieli niewiele możliwości poza czarnym rynkiem, który rozkwitł.

Większość mężczyzn w wieku od osiemnastu do czterdziestu pięciu lat była na froncie, polscy i francuscy jeńcy wojenni oraz robotnicy z terenów okupowanych położonych bardziej na wschód zmuszani byli do pracy fizycznej i na roli. W połowie 1942 roku, mimo że Niemcy jeszcze nie wprowadzili masowych ewakuacji, jakie Brytyjczycy organizowali do początku konfliktu, większość dzieci w wieku szkolnym i matek z niemowlętami z obszarów miejskich, takich jak Hamburg czy Berlin, przeniesiono do Prus Wschodnich, które w owym czasie uważano za jedno z najbezpieczniejszych rejonów Rzeszy¹.

Pojawiły się też inne codzienne przypomnienia o okrucieństwie nazistów, jeśli ktoś chciał je dostrzec. Prześladowania wschodniopruskich Żydów trwały już od dekady, a z roku na rok nasilały się coraz bardziej. Zanim jeszcze w 1942 roku królewiecka ludność żydowska została wywieziona, w 1940 roku tysiąc pięciuset pięćdziesięciu ośmiu pacjentów z upośledzeniami fizycznymi lub psychicznymi z ośrodków na terenie Prus Wschodnich wywieziono do obozu w Działdowie, gdzie zginęli później w ruchomych komorach gazowych^{k12}. Kiedy rodziny wszczęły poszukiwania, natknęły się na biurokratyczne milczenie, ponieważ Erich Koch, który od 1928 roku rządził Prusami Wschodnimi jak prywatnym lennem, postarał się, żeby tragiczny los ofiar nigdy nie wyszedł na jaw. W tamtym czasie naziści rozpoczęli również rozprawę z, jak to nazywali, przejawami upadku moralnego kobiet, których mężczyźni wyjechali na front, przy czym opierali się głównie na donosach o romantycznych związkach z jeńcami wojennymi. W przeciwieństwie do nieludzkiego traktowania jeńców wojennych, czy to cywilów, czy żołnierzy, źródła wskazują, że w Prusach Wschodnich jeńcy i cywilni robotnicy, pochodzący głównie z Francji i Polski, byli często względnie dobrze traktowani przez gospodarzy, na których ziemi przymusowo pracowali. Relacje seksualne z jeńcami skutkowały publicznym upokorzeniem kobiet i śmiercią mężczyzn przez powieszenie. Tylko w pierwszej połowie czerwca 1942 roku sąd państwowy w Królewcu wydał pięćdziesiąt sześć takich wyroków śmierci^{k13}.

Zarówno Inge, jak i mama, opowiadały mi, że Frieda zwykle kończyła modlitwę słowami: „Boże, pomóż nam i tym, którzy mają mniej szczęścia, przeżyć te straszne czasy”. Frieda, opowiadała Inge, próbowała, na ile mogła,

równoważyć świat znormalizowanej przemocy drobnymi aktami życzliwości. Były dalekie od bohaterstwa, ale w pierwszych dniach reżimu oboje z mężem, przez kontakty Alberta ze światem handlu winami, pomagali szukać za granicą wsparcia dla tych żydowskich przyjaciół, którym udało się wyemigrować na czas. Gdy prześladowania stawały się coraz okrutniejsze, dawała tym, którzy zostali, pieniądze albo jedzenie, ile tylko mogła. Było tak w przypadku wdowy po przyjacielu Alberta, Maksie, która przez to, że mąż został aresztowany i prawdopodobnie zmarł w więzieniu, została towarzysko wykluczona, nawet z grona rodzinnego. Nikt nie wiedział na pewno, jaki koniec spotkał Maksa, dość że jego żona była coraz mniej stabilna umysłowo.

Były to drobne, prawie nieznaczące gesty, ale było ich tyle, że mogły narazić Friedę na pełne dezaprobaty uwagi w świecie, w którym bycie zauważanym groziło niebezpieczeństwem. Myślałam o tym, że gdybym żyła w tamtych czasach, nie potrafiłabym się powstrzymać od mówienia. Teraz, gdy dowiedziałam się tyle o Wiegandtach i ich życiu, nie byłam już tego taka pewna. Nikt nie może uważać własnej zdolności do bohaterstwa za rzecz oczywistą.

Ale wojna nie przyniosła jeszcze znaczącej zmiany w życiu Wiegandtów. Kilka dni po powrocie Frieda zabrała Inge prosto do Rauschen, nad morze, żeby dziewczyna odpoczęła i się zaaklimatyzowała. Pomyślała, że świeże powietrze i szczęśliwe letnie wspomnienia z dzieciństwa pomogą córce pogodzić się ze zmianą, jaką wymusiło na niej życie, i odsunąć nieuchronne, niewygodne, bolesne pytania pełnych najlepszych chęci przyjaciół i sąsiadów. W Rauschen wpływ wojny był bardziej widoczny. Tego roku nie przyjechała grupa stałych wakacyjnych znajomych, a plaże świeciły pustkami. Te hotele, których nie oddano na kwatery dla ewakuowanych z dużych miast na zachodzie, były obłożone tylko w połowie, działało niewiele kawiarni. Christa, towarzyska z przeszłych wakacji, została w domu pomagać matce, która nie mogła się uporać ze stratą starszego brata Christy, Franza. Franz zginął w walkach na Ukrainie, a ojciec wylądował ze swoim pułkiem gdzieś na Kaukazie.

W Rauschen Inge spacerowała godzinami po plażach. Gdy ciąża zaczęła być widoczna, Albert i Frieda wyjaśnili znajomym, że narzeczony Inge jest na froncie i walczy z Armią Czerwoną. Jej stan spotkał się z potępieniem w Królewcu. Stojąc w kolejce po racje, słyszała szeptki kobiet, które znały Wiegandtów. Widziała spojrzenia żony sąsiada rzucane jej za każdym razem, kiedy się mijały na schodach. Tylko właściciel Cafe Berlin, który znał ją od dziecka, przyjął ciążę z życzliwością, za każdym razem upierał się, żeby dziewczyna siadała przy najlepszym stoliku. Jednak w miarę jak mijały tygodnie, a doniesienia z frontu wschodniego stawały się coraz bardziej katastrofalne, osądzające spojrzenia łagodniały.

Jak na reżim sztywno trzymający się tradycji i konserwatywny w poglądach na sytuację kobiet, potępiający ich emancypację jako przejaw komunizmu, podejście nazizmu do niezamężnych „aryjskich” matek było kuriozalnie liberalne. Stojący za tym motyw był, jak się łatwo można domyśleć, złowieszczy; zaalarmowany spadkiem poziomu urodzeń, reżim fanatycznie sięgał po wszelkie środki, które zwiększyłyby płodność „czystych rasowo” Niemców. Kobiety otaczano czcią wyłącznie z powodu zdolności wydawania na świat dzieci. Rosnące straty na froncie wywoływały wizję przyszłości, w której kobiety będą przeważały liczebnie nad mężczyznami, co prowokowało w kręgach nazistów rozmowy o aktywnej promocji samotnego macierzyństwa oraz o zachęcaniu niemieckich żołnierzy wracających z wojny, żeby płodzili dzieci również poza małżeństwem. W nakreślonym w 1944 roku planie Hitler przedstawił wizję „powojennej utopii poligamicznej”, w której każda Niemka będzie się przyczyniała do powiększania „aryjskiej” populacji.

Dopóki rozważano takie plany, państwo zapewniało wsparcie każdej samotnej matce w formie zapasu płótna i innych artykułów gospodarstwa domowego, jak również opieki medycznej. W czasie trwania wojny, aby sprawić, że rodzenie dzieci uznanych za rasowo wartościowe będzie legalne i społecznie akceptowane, w życie wprowadzono, i uznano za priorytetowe, takie udogodnienia, jak „małżeństwa wojenne” i „małżeństwa na odległość”.

*

Gdy nadeszła jesień, a potem zima, zaś naloty amerykańskich sił powietrznych na Niemcy coraz bardziej się nasilały, Albert i Frieda cieszyli się, że córka siedziała bezpieczna w Królewcu, a nie w narażonym na bombardowania Berlinie. Dorothea, która pozostała w Berlinie, i Gisela, która przeniosła się do rodziny ojca pod Monachium, gdzie nie groziły bombardowania, regularnie pisywały do Inge. Dorothea, oskarżająca się o to, że dopuściła do ciąży, zaraz po odkryciu prawdy nieco odsunęła się od Inge, ale kiedy dziewczyna wróciła do domu rodziców, skrępowanie szybko zniknęło i kobiety znów się zbliżyły. Pisały do siebie co tydzień. Wiadomości od Wolfganga przychodziły sporadycznie, a Inge wiedziała tylko tyle, ile Dorothea mogła jej przekazać: że jest gdzieś na froncie wschodnim. Inge nie знаła dokładnie miejsca jego pobytu, chociaż słyszała, że większość sił bierze udział w ofensywie pod Stalingradem, która zaczęła się w sierpniu i była prowadzona przez Szóstą Armię.

Inge śledziła wszystkie doniesienia o bitwie, ale relacje w niemieckim radiu i gazetach – ściśle kontrolowanych przez Goebbelsa – zawierały wyłącznie peany,

wychwalały determinację Szóstej Armii i stale optymistycznie wieszczły bliskie zwycięstwo Niemiec. Na początku listopada Hitler ogłosił, że trzyma się jeszcze tylko kilka punktów oporu w Stalingradzie. Dopiero od wuja Friedy, który potajemnie słuchał BBC, dowiedzieli się prawdy – że Wehrmacht został odcięty po udanym ataku Armii Czerwonej. Wiadomości tej nie podały żadne oficjalne źródła przekazu, ale wkrótce stało się jasne, że nie tylko Wiegandtowie mają alternatywne źródło informacji. Przyjaciółka Friedy, której syn również walczył na froncie wschodnim, przyszła następnego dnia, by przekazać im nowiny i znaleźć pocieszenie w obawach, których nie ośmielała się wyrażać publicznie. Od grudnia 1942 roku oficjalne audycje, podające informacje usankcjonowane przez władze, stały się mniej treściwe i rzadsze.

W połowie grudnia Inge wreszcie dostała list od Wolfganga, z datą sprzed kilku tygodni, w zniszczonej kopercie i ze stemplem pocztowym, który nie zdradzał miejsca wysłania. Nie wiedziała, czy wahał się przed wysłaniem wiadomości, czy po prostu list tak długo do niej szedł, ponieważ poczta wojskowa miała ogromne opóźnienia. W liście prosił ją o wybaczenie, pisał o pierwszych miesiącach ich znajomości w takich słowach, jakby miał już nie dożyć czasu, w którym mogłyby się powtórzyć. Nie było już w nim nic z pełnego optymizmu, porywczego chłopaka, którego wbrew wszystkiemu nadal kochała. Był to list człowieka zrezygnowanego, czekającego tylko na śmierć. W Boże Narodzenie Frieda dołączyła go do modlitwy za członków rodziny.

Teraz nawet we względnie spokojnych Prusach Wschodnich pojawił się strach. Na początku zmiany były nieliczne; ludzie przestali wierzyć władzom, traktowali wszelkie audycje i oficjalne doniesienia ze sceptycyzmem, zaczęła się wyłaniać nowa samoświadomość. Gdy bomby spadały na kolejne niemieckie miasta, ludzie mówili, że jest to zemsta świata za okrucieństwa, jakich dopuścił się ich naród. Teraz, kiedy klęska Niemiec wydawała się coraz bardziej prawdopodobna, przeciętni Niemcy nie mogli dłużej ignorować dowodów, których wcześniej starali się nie dostrzegać. Zaczęły do nich przenikać doniesienia o brutalnym postępowaniu wobec Żydów i mieszkańców Rosji na wschodzie oraz o istnieniu obozów, gdzie prowadzono zagładę na masową skalę.

Trudno ustalić, jak wielu ludzi i od kiedy wiedziało o obozach śmierci. Niełatwo ocenić poziom wiedzy i nastroje opinii publicznej w reżimie totalitarnym, a dodatkowo utrudniało to milczenie z poczucia wstydu w latach powojennych. Zdanie „nic o tym nie wiedzieliśmy” pojawia się regularnie w relacjach Niemców z życia za czasów nazistów, kiedy są pytani, w jaki sposób dowiedzieli się o obozach zagłady, których istnienie reżim starannie ukrywał. W studium na temat wiedzy Niemców o masowej zagładzie, *Davon Haben Wir Nichts Gewusst!* (Nic

o tym nie wiedzieliśmy!), badacz nazistowskich Niemiec Peter Longerich dochodzi do wniosku, że przez ostatnie osiemnaście miesięcy wojny „ostateczne rozwiązanie” było tajemnicą poliszynela. Historyk Nicholas Stargardt również znalazł wzmianki, w listach żołnierzy do domu w pierwszych etapach wojny, o masowych egzekucjach i przypadkach skrajnej przemocy – nieliczni wyrażali moralne oburzenie, inni wypowiadali się w rzeczowym tonie. Niektórzy żołnierze, którzy pisali na przykład z Polski lub Ukrainy, z przerażeniem wysyłali do ojczyzny klisze do wywołania ze zdjęciami egzekucji cywilów i obław na Żydów ².

Babci trudno było mówić o tych okrucieństwach.

– Ludzie wiedzieli? – spytałam ją kiedyś.

Nie musiałam konkretnie wyjaśniać, czego dotyczy moje pytanie.

– Wiedzieli. Ale nie chcieli tego przyjąć do wiadomości.

Dużo czasu zajęło mi zastanawianie się, co miała na myśli. Przez dwa ostatnie lata wojny była młodą matką, nastoletnią, zakochaną i samotną. W obliczu nieuchronnej inwazji radzieckiej, o której wszyscy wiedzieli, Albert i Frieda musieli uporać się z myślą, że życie, które sobie zbudowali, jedyne, jakie znali, najprawdopodobniej przepadnie. Wyobrażałam sobie, że sama myśl o rozgrywającym się horrorze, o którym szeptano i który dotyczył całego narodu niemieckiego, musiała być zbyt przerażająca, by ją przyswoić. Mama opowiadała mi, że kiedy była mała, jej matka i ojczym używali eufemizmu „tamte okropności”, ale nigdy nie rozmawiali o szczegółach. Nawet w szkole, zaraz po wojnie, nauczyciele, którzy w czasie wojny musieli mieć około dwudziestu lat, a niektórzy nawet walczyli na froncie, pomijali ten temat. Tamto pokolenie wstyd okazywało milczeniem. Mama pierwszy raz zetknęła się z grozą Zagłady, kiedy obejrzała kronikę filmową o wyzwoleniu Dachau. „Pamiętam, że patrzyłam, wszystko zaciskało mi się w środku, wstyd, łzy. Czuję to do dziś”, powiedziała. Dopiero pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych Niemcy tak naprawdę rozpoczęły zbiorowy proces rozliczania się z narodową hańbą.

W przypadku wielu Niemców, którzy żyli pod władzą nazistów, dużą rolę na pewno odegrał strach. Longerich podkreśla, że większość Niemców reagowała na coraz intensywniejsze prześladowania Żydów albo brakiem oporu, albo brakiem czynnego udziału. Sugeruje, że większość sprzeciwiała się przemocy wobec Żydów i innych mniejszości, ale coś, co może wydawać się obojętnością, trzeba raczej uznać za poczucie bezradności, nasilane lękiem przed aresztowaniem i innymi represjami ^{k14}. W ostatnich osiemnastu miesiącach wojny uciszano publiczne wypowiedzi o ostatecznym rozwiązaniu, a władze nazistowskie bezlitośnie karały za „rozsiewanie plotek” o eksterminacji Żydów ^{k15}. Historyk Richard Evans podsumował, że kiedy na horyzoncie zaczęła rysować się kłęska,

ci Niemcy, którzy wiedzieli o szczegółach działalności obozów śmierci, zaczęli dusić w sobie tę wiedzę z obawy przed rychłą karą.

Na początku 1943 roku Niemcy nie wyglądali już na zwycięzców. Pomimo najusilniejszych starań reżimu, by kontrolować opinię publiczną i karać defetyzm, jak to nazywano, tu i ówdzie zaczęły się odzywać krytyczne głosy na temat wojny. Głosy należały do zaniepokojonych rodzin, do tych żołnierzy, którzy poszli walczyć, aby uchronić własnych synów przed kolejną wojną albo by odbudować pozycję Niemiec; w okrucieństwie i ponurości życia na froncie wschodnim nie dostrzegli nic, za co warto było walczyć, i przewidywali wyłącznie klęskę. Bez względu na to, jak bardzo nazistowskie władze kontrolowały przekazy, prawda o katastrofalnej kampanii zimowej Hitlera w Rosji zaczęła docierać do cywilów. Podczas gdy żołnierze mieli zakaz opowiadania o przeżyciach z frontu, rodzice i żony potrafili czytać między wierszami, a rosnące krwawe żniwo stawało się coraz trudniejsze do ukrycia.

30 stycznia 1943 roku tuż przed jedenastą rano Albert, Frieda i Inge siedzieli w kuchni przy stole i słuchali radia, które miało nadawać przemówienie feldmarszałka Hermanna Göringa z okazji dziesiątej rocznicy objęcia urzędu kanclerza przez Hitlera. Ku ich zaskoczeniu, zamiast zapowiadanej audycji usłyszeli VII Symfonię Brucknera; idealnie zsynchronizowany nalot RAF-u na berlińską siedzibę rozgłośni przy Masurenallee, pierwsze bombardowanie stolicy w świetle dziennym, wymusił przesunięcie wystąpienia o godzinę. Przygotowana na złe wieści Frieda zrobiła kawę z oszczędzonego zapasu ziaren przysłanych na Gwiazdkę przez wuja, próbując tym rodzinnym rytuałem stworzyć pozory normalności.

Kiedy audycja wreszcie się zaczęła, w milczeniu wysłuchali Göringa, a z jego tonu przebijała wściekłość z powodu przymusowego opóźnienia. Podniósł głos do krzyku, gdy wspomniał o Stalinie, co sprawiło, że Frieda i Inge zdrząły z przerażenia. Nie mówił o klęsce, chwalił bitwę jako przykład wyjątkowego bohaterstwa i porównał Szóstą Armię do Nibelungów, mitycznych nordyckich wojowników rozszawionych przez operę Richarda Wagnera. Zapewnił słuchaczy, że w nadchodzących latach bitwa stanie się kamieniem węgielnym niemieckiego *Endsieg* – ostatecznego zwycięstwa.

Wyobrażałam sobie, jak siedzą we trójkę i czekają na ziarno prawdy w zalewie propagandy. Przemówienie Göringa wyemitowano pięć dni po tym, jak niemieckie siły na Kaukazie zaczęły odwrót i na dzień przed oficjalną kapitulacją Szóstej Armii feldmarszałka Paulusa.

„Przechodniu, powiedz Sparcie – oznajmił Göring – że tu leżymy, wierni jej prawom³ [...]. Przybądź do Niemiec, potem opowiedz, że widziałeś nas

walczących pod Stalingradem, wiernych prawu, prawu narodowego bezpieczeństwa”.

Słowa Göringa, które brzmiały najostrzej wtedy, gdy wychwalał bitwę, wiedząc, że ta jest już przegrana, wykuło podstawy mitu Stalingradu. Kiedy marszałek porównywał resztki Szóstej Armii do trzystu Spartan, którzy walczyli pod Termopilami, podniósł głos, jakby chciał uwiarygodnić jedno z najbardziej nieprzemysłanych kłamstw reżimu. Rzesza właściwie porzuciła Szóstą Armię. Żołnierze, którzy słuchali audycji przez radio w ruinach Stalingradu, wygłodzeni, zawszeni i pośród zamarzniętych ciał towarzyszy, porównali to doświadczenie z wysłuchaniem mowy na własnym pogrzebie. Wieczorem tego samego dnia Goebbels, przemawiając na wiecu w berlińskim Sportpalast, ledwo wspomniał o Stalingradzie, „bohaterskiej bitwie naszych żołnierzy nad Wołgą”. Göring i Goebbels posuwali się właśnie do oszustwa na monumentalną skalę, stwierdzenia, że wszyscy żołnierze i dowodzący nimi generałowie polegli na polu walki. Tymczasem w rzeczywistości ponad dziewięćdziesiąt jeden tysięcy ludzi, w tym sam feldmarszałek Paulus, miało trafić do radzieckiej niewoli.

Gdy przemówienie się skończyło, Wiegandtowie wpatrywali się w srebrny dzbanek na stole, w którym stygła kawa. Inge z matką siedziały zatopione w myślach, a Albert wstał, wyłączył radio bez komentarza i wyszedł.

Trzy tygodnie później Goebbels obwieścił, że Niemcy są w stanie „wojny totalnej”, co będzie wymagało wysiłku od każdego mężczyzny, kobiety i dziecka, ale w owym czasie zaufanie do reżimu było już mocno nadszarpnięte. To właśnie w tamtej chwili, jak mi opowiadała, babcia zrozumiała, że klęska Niemiec jest tylko kwestią czasu.

Gdy 3 lutego 1943 roku wreszcie ogłoszono klęskę Szóstej Armii pod Stalingradem, prasa dostała wyraźne wytyczne od władz, co ma wydrukować:

Skończyła się bohatera walka o Stalingrad. Przez kilka dni żałoby naród niemiecki uczci odwagę synów, mężów, którzy do ostatniego oddechu i ostatniego pocisku wykonywali swój obowiązek i odparli natarcie bolszewików na froncie wschodnim. Heroiczna bitwa o Stalingrad stanie się najwspanialszym ze wszystkich aktów bohaterstwa w niemieckiej historii. Prasa niemiecka ma przed sobą wielkie wyzwanie. W duchu specjalnego komunikatu OKW⁴, który zostanie dziś opublikowany, prasa musi informować o tym porywającym wydarzeniu, kładąc nacisk na każdy przejaw heroizmu znany historii w taki sposób, by wniosły przykład bohaterstwa, tego najwyższego samopoświęcenia się na rzecz ostatecznego niemieckiego zwycięstwa, rozgorzał wszem wobec jak sekretny płomień. Naród niemiecki, inspirowany nieśmiertelnym heroizmem ludzi pod

Stalingradem, będzie czerpać z niego jeszcze potężniejsze niż wcześniej duchowe i materialne siły, dzięki czemu będzie jeszcze bardziej zdeterminowany do zwycięstwa.

Niemieckie radio stanęło na wysokości zadania i zgodnie z instrukcją podało, że bitwa pod Stalingradem się zakończyła i że żołnierze „zginęli w imię tego, by Niemcy mogli żyć dalej”. Audycję podsumowały stłumione werble i wersy pieśni *Ich hatt' einen Kameraden*, po czym została ogłoszona trzydniowa żałoba narodowa.

Sugestia, że żołnierze, wszyscy co do jednego, bohatersko zginęli, była jednym z najbardziej nieuzasadnionych kłamstw kampanii, która okazała się dla reżimu nazistowskiego katastrofą, zarówno wojskową, jak wizerunkową. W całych Niemczech, a szczególnie w Prusach Wschodnich, szok wywołany klęską potwierdził tylko przekonanie wszystkich na tyłach, że wojna zwraca się przeciwko nim. Biuro informacyjne Wehrmachtu miało wielkie obawy, że wieści o głodzie i chorobach nękających niemieckich żołnierzy pod Stalingradem mogą dotrzeć do uszu cywilów. Jego pracownicy tak usilnie starali się zgodnie z rozkazami Goebbelsa ukrywać prawdę, że przechwycili kilka ostatnich worków z listami żołnierzy Szóstej Armii do najbliższych. Listy te nigdy nie dotarły do adresatów, ale mimo tych wszystkich wysiłków prawda zaczęła wreszcie wychodzić na jaw.

Chcąc dotrzeć do niemieckich słuchaczy, rodzin rozpaczliwie oczekujących na wieści od synów, mężów i braci, BBC i radio moskiewskie codziennie podawały listy nazwisk niemieckich jeńców. Dla zaniepokojonych krewnych nielegalne zagraniczne audycje były często jedyną nadzieją, by dowiedzieć się czegokolwiek o dziewięćdziesięciu jeden tysiącach wziętych do niewoli żołnierzy. Pozyskanie tej nowej publiczności zapewniło aliantom idealną okazję, by podkopać poparcie dla Hitlera. Inge również wyglądała wiadomości o Wolfgangu, myślała, że może być jednym z nich, podobnie jak przyjaciele z dzieciństwa, z którymi spędzała wakacje. To nie był zbieg okoliczności, że w 1943 roku trzy miliony Niemców potajemnie słuchało BBC, chociaż przyłapanym groziło za to więzienie. W lutym Albert, przewidując natarcie Armii Czerwonej, zaczął myśleć, że może powinien rozważyć przewiezienie najcenniejszych dóbr Wiegandtów do zachodnich Niemiec.

Dwa tygodnie później Inge, która lada moment miała urodzić, dostała list od Dorothei. Otwierając go, liczyła na wieści o Wolfgangu. Ale Dorothea pisała tylko o własnych obawach. Od wielu tygodni nie miała znaku życia od syna. Śniło jej się, napisała, że ją woła. Aż się od tego obudziła. Wydawało się, jakby front

wschodni pochłonął jej syna. Pełen dobrych chęci przyjaciel, którego syn został zaliczony do zaginionych, powiedział jej, żeby się przygotowała na najgorsze.

Nie wiem, czy Inge nadal miała nadzieję, że Wolfgang wróci do niej żywy. Stała w obliczu samotnego macierzyństwa, wychowywania dziecka bez ojca, w czasie wojny, która zdawała się nie mieć końca. Sam poród, który Frieda opisywała jej jako ból połączony z wielką radością, a który to opis Inge uznała w najlepszym razie za mało pomocny, napawał ją na równi niepewnością i strachem. Pozbawiona życia mężatki, zbyt młoda, żeby mieć przyjaciółki, które również spodziewają się dziecka, nie miała przy sobie nikogo prócz rodziców. Przypuszczałam, że niepewność, czy Wolfgang w ogóle żyje, jeszcze nasilała jej osamotnienie.

To właśnie w tym czasie smutku i niepewności 6 marca 1943 roku urodziła dziewczynkę, w tym samym pokoju, w którym sypiała, gdy była dzieckiem. Skurcze zaczęły się w środku nocy. Ostrożnie stawiając kroki, poszła do sypialni rodziców i zapukała. Od razu wezwano położną, która dotarła godzinę później. Frieda trzymała córkę za rękę i cały czas trwała u jej boku, ocierała czoło i próbowała ulżyć w bólu. Położna, chuda, siwowłosa kobieta, nie skomentowała nieobecności ojca. Zapewne widziała już dość osobistych tragedii tej wojny, żeby o nic nie pytać. Zamiast tego uśmiechnęła się szeroko, kładąc w ramiona zmęczonej Inge zdrową dziewczynkę.

W ciągu tamtych tygodni w Rauschen i kiedy napotykała spojrzenia innych kobiet, chodząc znajomymi ulicami Królewca, Inge zastanawiała się, jak przyjmie to dziecko, którego poczęcie tak dramatycznie zmieniło jej życie. Czy pokocha je, tak jak ją zapewniała Frieda? Czy może już na zawsze zostanie gorzka, żywe przypomnienie życia, które mogła mieć? Ale wszystkie wątpliwości i żale rozwiały się w chwili, kiedy spojrzała na córeczkę. Inge w jej twarzy, w jasnych włosach, nosie i niebieskich oczach, które się otworzyły i spojrzały wprost na nią, zobaczyła Wolfganga. Ale jej uczucie do niego było niczym w obliczu fali miłości, jaką odczuła na widok dziecka. W tamtej chwili skrzywdzona dziewczyna odeszła w przeszłość; stała się matką.



Inge i Beatrice

Albert, któremu ciąża Inge przyniosła wielkie rozczarowanie i cierpienie, został niewolnikiem malutkiej dziewczynki w chwili, gdy Frieda położyła ją mu w ramionach. Dziecko było uśmiechnięte, szczęśliwe i niosło nadzieję na inną przyszłość, gdy tylko wojna się skończy. Miał nowy powód, by żyć w coraz bardziej niepewnym świecie. Narodziny dziecka przyniosły też radość Dorothei, podsycały w sercu nadzieję, że jej syn nadal żyje. Razem z listem z gratulacjami przysłała Inge obszuty koronką kocyk i prostą, ciężką złotą bransoletę, drobiazg, jak napisała, który wytrzyma szarpanie dziecinną rączką. Zasugerowała, by Inge nadała dziecku imiona rodzinne von Schimmelmännów, Irina Antoinette. Ale Inge, która właśnie czytała Dantego, zdecydowała się na imię Beatrice. Napisała też

Dorothei, że dała jej wnuczce na drugie Solveig, co znaczy „spacerująca w słońcu”, ponieważ córka urodziła się w przeddzień nadejścia wiosny i przyniosła ze sobą optymizm, mimo iż z dnia na dzień przyszłość rysowała się coraz bardziej ponuro.

1. Większość ewakuowanych przybyła w 1943 roku, kiedy zaczęły się najintensywniejsze naloty. [\[wróć\]](#)
2. Niemieckie wojsko ze szczególnym okrucieństwem traktowało radzieckich cywilów i wziętych do niewoli czerwonoarmistów. [\[wróć\]](#)
3. Nawiązanie do przypisywanego Symonidesowi epigramatu poświęconego obrońcom Termopil („Przechodniu! powiedz Sparcie: tu leżym, jej syny, / Prawom jej do ostatniej posłuszni godziny”, przeł. Jan Czubek) (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
4. Oberkommando der Wehrmacht – Naczelne Dowództwo Wehrmachtu (przyp. red.). [\[wróć\]](#)

**CZĘŚĆ
TRZECIA**

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W pułapce

– Adolf – powiedziała głosem niskim i pogardliwym.

Spojrzałam na nią zaskoczona. Boże Narodzenie jak co roku przyszło i minęło, znów nastawa wiosna, pierwszy tydzień maja. Siedzieliśmy w ogrodzie, chociaż było jeszcze dość chłodno. Patrzyłam, jak owija się ściślej szalem. W tym roku wróciła do Francji wcześniej niż zwykle, ponieważ moja kuzynka tydzień temu wychodziła za mąż.

Babcia rozmawiała teraz ze mną swobodniej, chociaż zawsze czekała, aż będziemy same. Opowiadała mi o mojej mamie, gdy była zupełnie mała, jak stała się dla niej całym światem. Jak jej ojciec, który nie potrafił zaakceptować ciąży córki, uśmiechnął się, gdy dostał wnuczkę na ręce. Jak siedział koło jej łóżeczka, gdy spała, i czytał książkę albo szeptał do niej, kiedy płakała. Albo jak na pierwsze Boże Narodzenie Frieda uszyła jej suknię z białej wełny, wykończoną koronką odciętą z kołnierzyka jej najlepszej sukienki. Był to spokojny, pełen zadowolenia obraz rodzinnego życia, które zniemacka zakłóciło to imię. Nie słyszałam, by je kiedykolwiek wcześniej wymówiła.

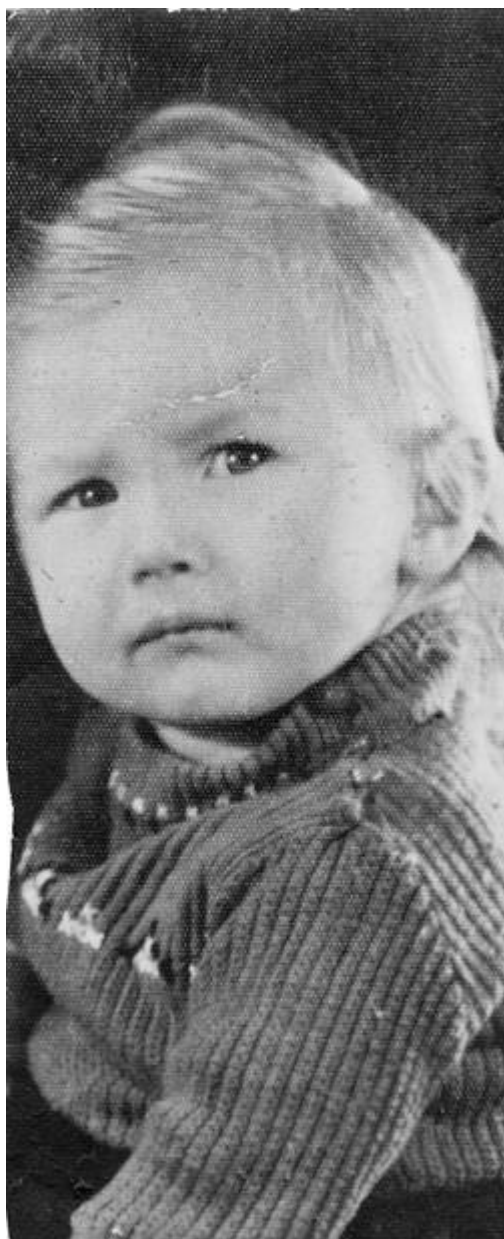
– Tamtego dnia w lipcu... usłyszeliśmy o tym w radiu. Ludzie dokoła udawali, że są oburzeni tym, że ktoś próbował zabić Hitlera. A my wszyscy, matka, ojciec i ja, myśleliśmy jedynie „szkoda, że się nie udało”.

Minął ponad rok, odkąd Inge urodziła córkę. Wkraczała w macierzyństwo pełna obaw, co ludzie powiedzą, jak da sobie radę, samotna matka z dzieckiem. Był to jednakże czas cudów.

Dziecko, śliczna blondyneczka o niebieskich oczach, okrągłej buzi i policzkach z dołeczkami, wniosło nowe życie do domu Wiegandtów. W pierwszych miesiącach po powrocie Inge do Królewca atmosfera była napięta i pełna obaw. Teraz lęk wciąż się utrzymywał, ale wyraz twarzy Alberta łagodził uśmiech posyłany wnuczce. Zamiast gazety, którą wiecznie ze sobą nosił, coraz częściej pojawiały się lalka albo książeczka dla dzieci. Frieda zawsze szyła, przerabiała

swoje stare sukienki na ubranka dla wnuczki z zapalem, który bawil Inge: „Mutti, w tym tempie bedzie miala ubran az do rozpoczecia szkoly!”.

Albert i Frieda zbnikowali na punkcie wnuczki. Szybko stala sie centrum ich swiata. Miesiace mijaly, naznaczone wydarzeniami, ktore czasem pozwalaly im zepchnac wojne na skraj umyslu: dzwiek, jaki wydal – wedlug Fridy bylo to „ma”; pierwsze niepewne kroki, jakie postawila, zanim wpadla w wyciagniete ramiona dziadka. Calkowicie podbila serce Alberta. Bawila sie z nim godzinami, siedziala mu na kolanach, gdy czytala jej historyjki. Mieli wlasne zabawy: ona wyjmowala wszystkie klucze z szafki, a on ze smiechem pokazywal jej, jak odwiesic je z powrotem. Gdy Albert patrzyl na wnuczke, czesto wspominal, jakby mowil do siebie, ze w koncu byla wyjatkowo slodkim malestwem.



Roczna Beatrice

Mimo że w lipcu 1944 roku władze zniechęcały do wszelkich podróży poza koniecznymi¹, a kolejne cięcia racji żywnościowych i napływ uchodźców z zachodu zmusiły kolejne pensjonaty do zamknięcia, Albert nalegał, by zgodnie z lipcową tradycją pojechali do Rauschen. Twierdził, że dwa tygodnie morskiego powietrza, z dala od rozgrzanego upałem Królewca, dobrze zrobią Beatrice, która kilka miesięcy wcześniej skończyła rok. Inge wiedziała, że ta powtórka wakacji z dzieciństwa pozwoli ojcu odsunąć od siebie myśl, że ich wyobrażona przyszłość i wygodne życie, zbudowane dzięki wielu latom ciężkiej pracy, zbliżają się ku końcowi.

Podczas ostatnich letnich wakacji Wiegandtów w Rauschen od razu powróciła swojskość dawnych dni, ale podszyta złowieszczym spokojem czasów schyłkowych. Piękno smaganego wiatrem krajobrazu nic się nie zmieniło, morze było niezwykle spokojne; na promenadzie wzdłuż brzegu, ukryci przed podmuchami smagającymi plażę, ludzie wciąż odbywali codzienne przechadzki, podczas gdy dzieci zbrojne w wiaderka i łopatki budowały zamki z piasku. Zmiany, które dostrzegła Inge, wynikały nie z braku orkiestry w każde letnie popołudnie grającej na hotelowym tarasie ani nie z braku lodów podawanych z bitą śmietaną. Nie dało się ich też wytłumaczyć nieobecnością młodych mężczyzn, którzy zwykli snuć się koło plaży w nadziei na flirt z grupkami roześmianych, spacerujących dziewcząt. To było coś w samej atmosferze, w przygarbionych ramionach starszych panów, którzy grali w szachy, w wychudzonych, wymizerowanych twarzach kobiet, które pilnowały bawiących się dzieci z nową intensywnością, w przecuciu nadchodzącego dnia sądu.

Pensjonat, w którym zawsze się zatrzymywali, dzielili z matką i dwoma chłopcami ewakuowanymi z Hamburga. Gospodyni skarżyła się Inge, że lokatorzy podkradali jej racje żywnościowe. W 1944 roku Prusy Wschodnie roiły się od ewakuowanych, głównie kobiet z dziećmi, niekiedy całych klas wraz z nauczycielami, wysłanymi dla bezpieczeństwa do tej cichej, rolniczej krainy. Ponad siedemset pięćdziesiąt tysięcy osób schroniło się tu przed nalotami, które zaczęły nękać większe miasta niemieckie pod koniec 1942 roku, a nasiliły się rok później, mniej więcej w czasie, gdy urodziła się Beatrice. Chociaż intensywne bombardowania wciąż omijały Prusy Wschodnie, gdzie na początku wojny zapuszczały się jedynie nieliczne radzieckie myśliwce, teraz region stanął w obliczu innego zagrożenia. Kolejne klęski Niemiec na froncie wschodnim ściągnęły groźbę inwazji Armii Czerwonej, więc wielu ewakuowanych próbowało wrócić do domów na zachodzie. Latem i jesienią 1944 roku front wschodni się zbliżał, w miarę jak Niemcy zaczęli tracić okupowane terytoria

nadbałtyckie, a pierwsza fala uchodźców nadciągnęła z Kłajpedy; podążali na zachód ze stadami bydła, w konnych wozach, zwiastuni przyszłego exodusu^{k16}. Po zajęciu terytoriów bałtyckich Prusy Wschodnie stały się kolejnym obiektem na celowniku Stalina.



Trasy uciezek cywilów przed ofensywą Armii Czerwonej, styczeń 1945 roku. Erna Heidusch, rówieśniczka i sąsiadka Inge z Królewca, która wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, przechowywała tę mapkę aż do śmierci. Jej matka, Helene, uciekła z Królewca w kwietniu 1945 roku wraz z Gustavem, młodszym bratem Erny, i siostrą

Anitą. Ojciec Erny, Peter, prawnik, w styczniu 1945 roku służył na froncie wschodnim, potem wszelki śluch o nim zaginął.

W miarę jak pogarszała się sytuacja Niemiec Inge co i raz spierała się z rodzicami, nalegając, by ruszyli na zachód. Chociaż lądowania podczas D-Day w czerwcu zwiastowały koniec niemieckiej dominacji na froncie zachodnim, to zaraz potem Dorothea napisała do Inge i przynaglała jej rodzinę do wyjazdu z Prus Wschodnich, ponieważ w Berlinie krążyły pogłoski, że front wschodni również się załamał. W obliczu wyboru między siłami brytyjskimi i amerykańskimi a Armią Czerwoną bezpieczniej było znajdować się na zachodzie.

Albert powiedział, że to przemyśli, ale nie należy go pospieszać. Inge niechętnie się zgodziła na jego żądanie w kwestii ostatnich wakacji, w nadziei, że kompromis, który pozwoli mu po raz ostatni zobaczyć ukochane wydmy, pomoże jej przekonać ojca. Ale już na miejscu, gdy pewnego dnia usiadła koło niego na piasku i obserwowała, jak uśmiechem zachęca wnuczkę, by szła do niego, podnosząc dziecko za każdym razem, gdy padało w miękki piasek, postanowiła, że do końca pobytu w Rauschen nie wspomni o ucieczce.

Późnym popołudniem 20 lipca 1944 roku cała ich czwórka siedziała w kawiarni, zmęczona i szczęśliwa, wciąż z ciepłym morskim powietrzem na skórze, z Beatrice senną po zabawie. Słońce grzało, a taras kawiarni wypełniali goście, starsi ludzie i matki z dziećmi; wszyscy siedzieli, plotkowali i popijali namiastkę kawy. Wiegandtowie śmiali się z prób Beatrice uderzania łyżeczką w stolik, gdy nagle zapadła cisza i urwał się walc grany w radiu. Trzeszczący głos zapowiedział, że wkrótce zostanie podany pilny komunikat i właścicielka pospieszyła, żeby podkręcić głośność, ponieważ ludzie wyęźłali słuch. „Doszło do próby zamachu na życie Führera”, oznajmił głos. „Wyszedł z tego bez szwanku”.

Inge usłyszała westchnienie kobiety. Kolejny trzask, zanim głos znowu się rozległ.

„Nieudana próba musi być dla każdego Niemca ostrzeżeniem, by podwoił wojenny wysiłek”.

Po pełnej osłupienia ciszy nastąpił wybuch tak głośny, że zagłuszył resztę audycji, jak gdyby wszyscy goście rywalizowali, kto dobitniej wyrazi oburzenie. Podniesione głosy gromiły sprawcę, piętnowały zdradę, wzywały do najsurowszej kary i dziękowały Bogu za ocalenie Führera. Tylko Wiegandtowie siedzieli przy swoim stoliku w ciszy, zszokowani. Nie śmieli się odezwać ani nawet spojrzeć sobie w oczy, żeby nie zdradzić tego, co inni z pewnością też czuli. Inge słuchała dochodzących zewsząd złorzeczeń. Przez myśl przemknęło jej

zdanie, i wiedziała, że rodzice pomyśleli o tym samym, ale nie śmieli tego wypowiedzieć na głos: „Szkoda, że się nie udało”.

Do próby zabójstwa doszło o dwunastej czterdzieści dwie w kwaterze Hitlera na wschodzie, w Wilczym Szańcu, wśród mazurskich lasów, zaledwie sto piętnaście kilometrów na południe od Królewca. Pułkownik Claus Schenk von Stauffenberg, oficer Wehrmachtu, wniósł bombę w teczkę na spotkanie Hitlera ze sztabem generalnym. Chociaż ładunek eksplodował, Hitler doznał jedynie pęknięcia bębna i drobnych obrażeń.

Wkrótce potem Wiegandtowie wyszli z kawiarni. Przy kolacji tego wieczoru było ciszej niż zazwyczaj. Być może to znamienne, że nawet w zaciszu własnego domu żadne z nich nie ośmieliło się wyrazić nadziei, tak szybko zgaszonej, którą podsyłał komunikat. Nie czuwali, by wysłuchać przemówienia Hitlera nadawanego o pierwszej w nocy.

Podjęto błyskawiczne represje wobec spiskowców. Von Stauffenberga aresztowano i rozstrzelano jeszcze tej samej nocy. Ośmiu jego współspiskowców powieszono na strunach od fortepianu na hakach do mięsa, a ich egzekucję sfilmowano i pokazywano wyższym urzędnikom nazistowskim i żołnierzom ku przestrodze.

W następnych miesiącach i latach, wspominając dom utracony na zawsze, Inge często wracała myślami do tamtego złotego popołudnia, które na kilka cennych godzin wyparło wszelkie myśli o wojnie, i tamtej chwili w kawiarni, która jednocześnie przyniosła i zniweczyła obietnicę pokoju. Myślała o uldze, jaką ludzie wyrażali z powodu ocalenia Hitlera. Nie umiała ocenić, co nimi powodowało – strach, lata prania mózgu czy po prostu instynkt przetrwania.

Latem 1944 roku wielu Niemców straciło wiarę w możliwość, by ich kraj wygrał wojnę. Ci o najmocniej wypranych mózgach wciąż wierzyli w istnienie Wunderwaffe, cudownej broni, która według rządowej propagandy miała doprowadzić Rzeszę do zwycięstwa. Niemcy nadal używają tego terminu na określenie uniwersalnego rozwiązania każdego problemu, z wyraźną ironią. Większość wiedziała, że wojna jest przegrana, nawet jeśli nie śmieli powiedzieć tego na głos. Wszyscy myśleli o radzieckiej inwazji, co wpływało na każdą decyzję, każdy osąd; Inge ze zdumieniem słuchała, jak jedna z przyjaciółek matki, która stała się zdeklarowaną krytyczką reżimu po tym, jak jej męża aresztowano za słuchanie zakazanych rozgłośni, przedstawiała Hitlera jako jedyną nadzieję Niemiec.

Trudno pojąć fakt, że naród niemiecki pozostawał lojalny wobec Hitlera, czy raczej nie buntował się w tych ostatnich fazach konfliktu. Historyk Richard Evans pisze, że gdy zbliżała się klęska, ci Niemcy, którzy wiedzieli o obozach zagłady, zaczęli tłumić tę wiedzę w obawie przed ewentualnymi represjami ^{k17}. Lęk ten

sprawił, że w ostatnich miesiącach wojny część Niemców rozwinęła w sobie wypaczone poczucie lojalności. W autobiografii opisującej życie Angielki w nazistowskich Niemczech, *The Past is Myself* (Przeszłość jest mną), Christabel Bielenberg wspomina gajowego ze Schwarzwaldu, który podczas urlopu z frontu wschodniego powiedział jej: „Gdyby nam odpłacono za ćwierć tego, co zrobiliśmy w Rosji i Polsce, Frau Doktor, cierpielibyśmy, i to zasłużenie”. Świadomi, że Niemcy stoją na krawędzi otchłani, liczni cywile, nawet ci, którzy wcześniej nie wspierali nazistów, uznali ocalenie Hitlera za ostatnią szansę Niemiec ^{k18}.

Spisek na życie Hitlera z lipca 1944 roku nie tylko nie obalił jego rządów, ale doprowadził do ostrej radykalizacji reżimu i odnowienia powszechnego wsparcia dla jego przywództwa wśród tych, którzy się obawiali, że śmierć Hitlera wtrąci kraj w chaos ^{k19}. Niemal z dnia na dzień rząd nasilił działania, by zdławić sprzeciw: tysiące osób aresztowano jako podejrzane o współudział albo po prostu za antynazistowskie działania. Władze od dawna podejmowały wszelkie środki, by utrzymać społeczeństwo pod kontrolą, ale po zamachu lipcowym nawet lekkomyślna wzmianka wyrażająca sceptycyzm co do wyniku wojny mogła doprowadzić do aresztowania. W ciągu wojny władze straciły około dwudziestu tysięcy niemieckich żołnierzy, pięćset razy więcej niż skazano na śmierć podczas pierwszej wojny, wobec czterdziestu w armii brytyjskiej czy stu trzech we francuskiej. W Wehrmachcie niewiele było trzeba, żeby zarzucić żołnierzowi podkopywanie wysiłku wojennego. Gdy front wschodni się załamywał w ostatnich miesiącach wojny, a żołnierze rozdzielali się ze swoją jednostką albo pozorowali oddzielenie, represje stały się jeszcze surowsze. Jeden z dowódców, generał pułkownik Ferdinand Schörner, rozkazał, by „maruderów” wieszać na drzewach z tabliczkami „Odmówiłem bronienia niemieckich kobiet i dzieci” na sztychach ^{k20}.

Chociaż trudno ustalić dokładną liczbę cywilów, których spotkał podobny los, to zniwo wśród nich było jeszcze większe. Pod koniec wojny nawet opowiadanie antynazistowskiego dowcipu – już przestępstwo w świetle prawa, mogło doprowadzić do śmierci ^{k21}.

Sz szczególnie w Prusach Wschodnich, tak blisko kruchego frontu wschodniego, cywile wyglądali przyszłości ze złymi przeczuciami. Propaganda od lat nastawiała tu społeczeństwo przeciwko „bolszewickiemu zagrożeniu”, ludzie żyli więc w strachu przed postęпами Armii Czerwonej. Ci, którzy tak jak Albert i Frieda, przeżyli pierwszą wojnę światową, wciąż mieli świeżo w pamięci atak armii rosyjskiej na Prusy Wschodnie. Rosjanie znaleźli się wówczas czterdzieści kilometrów od Królewca: spalili wioski, zabili setki cywilów, a tysiące wywieźli do odległych rejonów Cesarstwa Rosyjskiego, gdzie jedna trzecia z nich zmarła.

Teraz zagrażała im inna armia rosyjska, której brutalność dalece przewyższała okrucieństwo sił carskich, pchana żądzą zemsty za dwadzieścia siedem milionów radzieckich żołnierzy i cywilów zabitych podczas tej wojny.

Pomimo rosnącej świadomości, że koniec jest bliski, mieszkańcy Prus Wschodnich żyli w dziwnej apatii, nie chcąc do końca uwierzyć, że wszystko przepadło, póki nie musieli tego naprawdę przyznać.

Gorliwość, z jaką władze wprowadzały stan „wojny totalnej”, nazwanej tak przez Goebbelsa po Stalingradzie, przybrała szczególnie skrajną formę w Prusach Wschodnich po nieudanym zamachu lipcowym, z druzgoczącymi skutkami dla ludności. Erich Koch jako komisarz obrony Rzeszy miał niezwykle szerokie kompetencje w zakresie organizacji obrony cywilnej. Już w lipcu podjął środki, by uczynić z Prus Wschodnich symboliczną ostatnią twierdzę Rzeszy, i powołał do służby kobiety i wszystkich mężczyzn, którzy uniknęli poboru ze względu na zbyt młody lub podeszły wiek, do kopania okopów, budowy fortyfikacji, bunkrów, rowów przeciwczołgowych i blokad drogowych. Nawet Alberta wezwano do wzmocnienia obrony Królewca, mimo iż kulał z powodu dawnej rany, ale nadzorca odesłał go do domu, zirytowany jego powolnością. Umocnienia na granicy Prus Wschodnich, dotąd potężnie zaniedbane, stały się kwestią narodowych priorytetów. Koch przekonał Hitlera do budowy *Ostwall*, umocnień wzdłuż wschodniej granicy, które miały strzec przed radzieckim wtargnięciem. Jak pokazał przebieg obrony, okazały się równie skuteczne jak domek ze słomy.

Edykty Kocha położyły również kres nadziejom Wiegandtów na wcześniejszą ucieczkę, ponieważ udało mu się stłumić wszelkie rozmowy o ewakuacji regionu, co uważał za defetyzm. Próby zapobieżenia wyjazdom rozpoczęły się tamtego lata, mniej więcej w połowie lipca. Goebbels, który poza urzędem ministra propagandy zajmował również stanowisko gauleitera Berlina odpowiedzialnego za ludność stolicy, wynegocjował ewakuację stu siedemdziesięciu tysięcy berlińczyków, którzy znaleźli schronienie w Prusach Wschodnich. Z pomocą Hitlera Koch ograniczył tę liczbę do pięćdziesięciu pięciu tysięcy i od tej pory pociągi opuszczające Prusy Wschodnie były ściśle kontrolowane; z cywilami podejrzanymi o próbę ucieczki rozprawiano się jeszcze surowiej^{k22}. Gdy Wiegandtowie wrócili z wakacji, nie dało się już wyjechać. Marzenie Alberta o ostatnich wakacjach na ukochanym wybrzeżu miało skutki, o które obwiniał się do końca życia.

Jesienią Wehrmacht zażądał, by przenieść cywilów mieszkających najbliżej granicy. I znów Koch interweniował, ostrzegając, że ewakuacja może doprowadzić do popłochu wśród miejscowej ludności. Na początku 1945 roku regionalni przywódcy partyjni, tacy jak Koch, mieli nieproporcjonalnie dużą władzę, w związku z czym rekomendacje Wehrmachtu powszechnie ignorowano –

co wywołało u części dowódców ataki niekontrolowanego, choć daremnego, gniewu^{k23}. To, co na początku miało być środkiem kontroli wyjazdów z Prus Wschodnich, teraz, z poparciem Hitlera, stało się jawnym zakazem. Karą dla każdego, kogo choćby podejrzewano o przygotowania do wyjazdu, była egzekucja w trybie doraźnym na podstawie oskarżenia o *Wehrkraftzersetzung*, podkopywanie morale wojskowego. Obejmowało to również cywilów zamieszkujących najbliżej frontu, którym nie pozwolono zastosować się do zaleceń wydanych przez armię, ale wręczono im łopaty i kazano kopać okopy. Wojsku nie powodziło się dużo lepiej; walki przerodziły się w ogólną rzeź, w której codziennie ginęło pięć tysięcy niemieckich żołnierzy^{k24}. W ciągu stu pięćdziesięciu dni ponad milion mężczyzn poległo, zaginęło lub odniosło rany, co równało się katastrofie pod Verdun, najkrwawszej bitwie pierwszej wojny światowej; miazdząca porażka pod Stalingradem wypadła na tym tle blade. O Wulfgangu nie było żadnych wieści i Inge uznała, że przepadł na zawsze.

Wiegandtowie wrócili z Rauschen w sobotę 26 sierpnia i wcześniej poszli spać; Beatrice marudziła podczas podróży pociągiem. Dni stawały się coraz krótsze, a chłód w powietrzu zapowiadał koniec lata. Inge obudził płacz córeczki. Gdy podnosiła dziecko, usłyszała jeszcze jeden odgłos, ryk silnika, początkowo odległy, ale stopniowo coraz głośniejszy. Otworzyła okno i zauważyła, że jest daleko do świtu. Ryk zmienił się w pojękiwanie. Trzymając Beatrice w ramionach, pobiegła do pokoju rodziców, żeby ich obudzić, i cała czwórka zbiegła do piwnicy.

Przerażeni Wiegandtowie skulili się w podziemiach budynku razem z sąsiadami. W mroku piwnicy mogli sobie jedynie wyobrażać, co się dzieje na zewnątrz, nasłuchując każdego dźwięku, czujni na każdy zapach, zastanawiając się, czy to koniec, którego nadejścia oczekiwali. Gdy wyszli z kryjówki kilka godzin później, dostrzegli dym w oddali. Bombowce Lancaster minęły cel i centrum Królewca wyszło bez szwanku; dym wskazywał, że bomby spadły jedynie we wschodniej części miasta. Później tamtego poranka Inge pomogła matce przenieść stary materac i kilka koców do piwnicy na wypadek, gdyby ich czekały kolejne naloty. Przygotowały stolik ze skrzynki po szlachetnym porto Alberta.

Zaledwie trzy noce później syrena obudziła ich zaraz po północy i rodzina ponownie zeszła do piwnicy. Frieda niosła wnuczkę, która mamrotała coś sennie.

– O co chodzi, *Liebchen*? – wyszeptwała Frieda.

Beatrice znowu coś wymamrotała. Do Inge dotarło, że córka próbuje powiedzieć „piłka”.

Mimo że noc była pochmurna, tym razem lancastery nie spudłowały. Cztery bomby zapalające spadły w czterech różnych miejscach, więc większość śródmieścia stanęła w ogniu. Chociaż miasto leżało na skraju zasięgu samolotów, co oznaczało, że Piąta Grupa RAF-u mogła zrzucić jedynie czterysta osiemdziesiąt ton bomb, wąskie, brukowane ulice i wysokie domy były szczególnie podatne na pożar. Intensywny odgłos dział przeciwlotniczych strzelających do lancasterów wkrótce zasygnalizował mieszkańcom miasta, że ten nalot będzie dużo silniejszy niż poprzedni. W piwnicznej ciemności huk bomb zdawał się ogłuszającym rykiem, a spokój, który po nim następował, wypełniały trzaski i skwierczenia. Wiegandtowie szybko zdali sobie sprawę, że to odgłos płomieni pożerających dachy i belki w sąsiedztwie.

Wyszędłszy o świcie, odkryli, że większość Paradeplatz zniknęła, a ulice za nim nadal płoną. Gorąco i dym wciąż były intensywne. Ogień rozszerzał się szybko wśród średniowiecznej zabudowy. Na niektórych ulicach od bruku biło takie ciepło, że wypalało podeszwy stóp. Dom Wiegandtów uniknął bomb i ognia, ale trzy ulice dalej inni nie mieli tyle szczęścia. Mieszkańcy całej kamienicy spalili się w piwnicy. Płomienie dosięgły nawet Pregoly, ponieważ bomby, które zniszczyły miejskie mosty, zapaliły drewniane wzmocnienia jej brzegów. W następnych dniach Inge słyszała opowieści o całych rodzinach, które zginęły w tym piekle ^{k25}.

Bombardowanie trwało zaledwie godzinę, ale ogień płonął nadal: w tym drugim bombardowaniu zniszczeniu uległo czterdzieści jeden procent domów mieszkalnych i dwadzieścia procent zakładów przemysłowych ^{k26}. Inge wróciła do mieszkania po kilka rzeczy; „tak musi wyglądać piekło”, pomyślała, obserwując pomarańczową łunę z okna sypialni.

Aż do tej chwili Cafe Berlin stało nietknięte. Kiedy Albert przechodził koło jego witryny, widział właściciela, który z uporem rozstawiał stoliki i krzesła. Zatrzymał się, żeby usiąść na jednym z nich, i z głową w rękach zapłakał nad utraconym miastem.

Wiegandtowie spali w piwnicy przez następne trzy noce, po części ze strachu, a po części dlatego, żeby się skryć przed żarzącym popiołem, który wiatr niósł ulicami z rejonów wciąż płonącego miasta. W kolejnych tygodniach wszyscy ci, którzy przeżyli bombardowanie Królewca, próbowali ogarnąć resztki niegdysiejszego życia, przez co na chwilę zapomnieli, że jeszcze większe niebezpieczeństwo czai się za wschodnią granicą prowincji, gdzie obrona Wehrmachtu szybko się kruszyła.

Jednakże 20 października Prusy Wschodnie doświadczyły pierwszego prześlętku zbliżającego się horroru, kiedy Armia Czerwona przełamała *Ostwall*. Od lat propaganda nazistowska napędzała strach cywilów przed żołnierzem radzieckim; ale kiedy ten dzień nadszedł, oficjalne plany ewakuacji zawiodły na całej linii.

Mała wieś Nemmersdorf leżała na drodze idącej na zachód armii radzieckiej. Nie została ewakuowana, jak większość regionu. Koch odmówił zgody na przeniesienie mieszkańców, mimo licznych prób płynących z Wehrmachtu. 20 października 1944 roku panowała gęsta mgła, a kiedy ciężarówki, które miały ewakuować ludność, nie pojawiły się, ludzie uciekali w panice, część wozami konnymi, które ustawiły się w kolejce do jedyne go mostu nad Węgorapą, część pieszo przez pola i lasy, gdy tylko nadeszły wieści, że „bolszewicy” są już tylko o kilka godzin marszu stamtąd. Rankiem 21 października było już za późno na ucieczkę.

Trudno dokładnie stwierdzić, co się stało w Nemmersdorfie, ponieważ nazistowska propaganda skwapliwie rzuciła się, by wykorzystać tragedię i nakręcić nienawiść do wroga, co do dziś budzi kontrowersje^{k27}. Trudno kwestionować fakt, że rzeczywiście doszło do okrucieństw, ponieważ częścią problemu w ustaleniu rzeczywistego przebiegu wydarzeń jest to, że nie przeżył prawie żaden ze świadków ataku, w tym kobiety, dzieci, francuscy i belgijscy jeńcy wojenni. Była to pierwsza niemiecka wieś, jaka znalazła się na trasie Armii Czerwonej, pierwsza możliwość zemsty za brutalne działania armii niemieckiej wobec wszystkich, którzy stanęli jej na drodze. Rzeź w Nemmersdorfie niczym nie różniła się od wielu innych, jakich dopuścił się Wehrmacht na radzieckim terytorium^{k28}. Dla reżimu nazistowskiego straszliwy los pozostawionych sobie mieszkańców był propagandowym prezentem, a partyjna tuba, „Völkischer Beobachter”, trąbiła o „wściekłych radzieckich zwyrodnialcach”, którzy okaleczali dzieci, gwałcili i mordowali kobiety i przybijali ciała do wrót stodół. Obraz „bolszewików” w nazistowskiej propagandzie, którzy przyjdą plądrować i gwałcić, właśnie stał się rzeczywistością.

Tragedia w Nemmersdorfie podsyciła lęk, który latem zakiełkował w umysłach mieszkańców Prus Wschodnich. Był to czas pełen niepokoju dla Wiegandtów, uwięzionych w miejscu, które od bardzo dawna traktowali jako bezpieczne schronienie i dom. Przez tydzień po Nemmersdorfie trwali w oczekiwaniu i słuchali radia przez większą część dnia. Czekali na rozkaz ewakuacji, który nie padał. Zamiast tego w kontrataku z zaskoczenia Wehrmacht wyparł siły Armii Czerwonej z powrotem za granicę. Dało to Prusom Wschodnim krótkie wytchnienie. Ten czas powinien być zostać wykorzystany na przeniesienie cywilów w bezpieczne miejsce, ale chociaż Wehrmacht wiedział, że nie utrzyma

się dużo dłużej, Koch odmówił ewakuacji, wyjątek stanowili cywile mieszkający trzydzieści kilometrów od frontu. Inge czuła, że koniec jest blisko, lecz mogła tylko czekać.

Dziwny spokój zapanował w Królewcu w okresie poprzedzającym tamto Boże Narodzenie. Inge zapamiętała ten czas jako dziwnie zwyczajny. Sąsiedzi wpadali z życzeniami i drobnymi prezentami, a Wigilię spędził z nimi wuj Friedy, który zjawiał się z ćwierć funta cukru, paczką prawdziwej kawy i lalką dla Beatrice. Nikt nie mówił o rannych żołnierzach przywożonych do szpitala w Królewcu, namacalnym świadectwie sytuacji, która szybko się pogarszała, zaledwie kilka godzin marszu od miasta. W dzienniku prowadzonym podczas radzieckiej inwazji i okupacji Prus Wschodnich doktor Hans von Lehndorff ze szpitala położonego dziewięćdziesiąt kilometrów na wschód od Królewca tak pisał:

Nadeszło Boże Narodzenie, a ci, którzy jeszcze byli w domu, świętowali je prawie tak, jak w czasach pokoju. Organizowano nawet polowania, a ludzie spotykali się, chcąc jeszcze raz utartym zwyczajem wspólnie zakończyć rok.

Czternaście dni później wszystko się skończyło ^{k29}.

Jednak spokój tego Bożego Narodzenia stanowił preludium do nawałnicy zemsty i cierpienia, która miała nadejść.

U rodzin z Prus Wschodnich istniała pewna noworoczna tradycja, która nakazywała mocno ogrzać pokój, by zapewnić ciepło zmarłemu, którego się chciało pamiętać. Wiegandtowie nigdy się nie stosowali do tego zwyczaju, a z powodu braku węgla w czasie wojny zarzuciło go też wiele innych rodzin. Jednak w tym roku było inaczej; Wiegandtowie przeprowadzili wszystkie tradycyjne rytuały, żeby wyryć je sobie w pamięci na zawsze. 31 grudnia Inge usiadła przy ogniu i obserwowała, jak ojciec rąbie stary fotel i z zapamiętaniem wrzuca go do pieca. Na to wszystko dołożył jeszcze kilka trzymany na czarną godzinę kawałków węgla. Frieda obserwowała go ze smutkiem w oczach. Wszyscy wiedzą, pomyślała Inge, że hołduje starym tradycjom po raz ostatni. Patrząc na ojca dokładającego do ognia ze spokojną gorliwością, Inge wiedziała, że tata w sercu żegna się z miastem, które było mu tak drogie.

Zmiana nastąpiła z raptownością nocnego koszmaru.

W trzecim tygodniu stycznia front wschodni się ostatecznie załamał. 20 stycznia 1945 roku Koch wreszcie zgodził się na ewakuację cywilów, wtedy jednak natychmiast wybuchła panika, a słowa „idą Rosjanie” znalazły się na wszystkich ustach. Żona sąsiada powiedziała Inge, że już nie potrzeba specjalnych zaproszeń,

jeśli się chciało wsiąść do pociągu na zachód. Albert od razu pobiegł na stację, próbując kupić bilety, ale dworzec był tak wypakowany ludźmi, że nie udało mu się nawet dostać do środka. Wrócił następnego dnia rano, lecz wtedy się z kolei okazało, że pociągi pełne uciekających cywilów odesłano z powrotem. Maszerująca na Berlin Armia Czerwona zajęła „korytarz gdański” i Prusy Wschodnie zostały otoczone. Została tylko droga przez morze.

Gdy Armia Czerwona się zbliżała, tysiące uchodźców ciągnęło do Piławy, najbliższego od Królewca portu, albo bardziej na zachód, do Gdyni. Wielu ludzi próbowało się tam dostać pieszo przez zamrznięty zalew i Mierzeję Wiślaną, która nadal się znajdowała pod panowaniem Niemiec. Ogromna liczba mieszkańców, tak jak Wiegandowie, została w Królewcu i czekała na konkretny plan ewakuacji, którego jednak nie podano, choć opracowywano go w drugiej połowie 1944 roku. Bez centralnego urzędu, wyznaczonych punktów zbornych i organu powołanego do pokierowania dwoma i pół milionami zdesperowanych ludzi – narastał chaos. Większość polegała na wiadomościach przekazywanych z ust do ust. Pierwszy statek, który miał zabrać uchodźców z Piławy, przybił do portu dopiero dwa tygodnie po tym, jak się zaczęła radziecka ofensywa, do tego czasu na wybrzeżu zgromadziły się już setki tysięcy ludzi ^{k30}. Od 21 stycznia Kriegsmarine pod dowództwem admirała Dönitza miała pomagać w ratowaniu cywilów. Nawet wtedy jednak mieszkańcy Prus Wschodnich nie zostali potraktowani priorytetowo. I mimo że było wiadomo, że wojna jest już przegrana, statki i tak musiały rezerwować miejsce na sprzęt wojskowy, węgiel i żołnierzy, co siłą rzeczy mocno ograniczało liczbę cywilów mogących wejść na pokład ^{k31}.

Na domiar złego, jakby mało było porażki organizacyjnej władz, sytuację utrudniała wyjątkowo surowa zima. Tysiące uchodźców zamrzło na śmierć w drodze na wybrzeże albo w oczekiwaniu na statki, które miały ich zabrać w bezpieczne miejsce. Największe niebezpieczeństwo groziło dzieciom i ludziom w starszym wieku. Po drodze nie było gdzie się schronić, a statki i konwoje pokonujące zamrznięty zalew często stawały się celem radzieckich ataków. Zalew, chociaż skuty był grubą warstwą lodu, stał się grobem wielu osób, pochłonął też wiele istnień z konwojów, kiedy bomba uderzała w lodową pokrywę albo kiedy po prostu lód załamywał się pod ciężarem jadących po nim wozów. Żadna z tych trudności nie dotknęła gauleitera Kocha, który po tym jak głośno potępił wszystkich próbujących uciec, teraz pierwszy opuścił prowincję. Zamówił do osobistego użytku dwa parowce i nie zabrał ze sobą ani jednego uchodźcy.

Zostawieni sami sobie, otoczeni przez Armię Czerwoną, która coraz mocniej zaciskała wokół nich pętlę, cywile stawali się coraz bardziej zdesperowani. Dla Alberta i Friedy te ostatnie dni stycznia to był czas oszołomienia: nie wiedzieli,

co robić. Podczas gdy z całych Prus Wschodnich do stolicy regionu ściągęło sto pięćdziesiąt tysięcy uchodźców w nadziei, że stare fortyfikacje dadzą im ochronę, gdyby nie udało się wyjechać pociągiem, Inge wiedziała, że rodzice są na skraju rozpacz. Miała tylko dwadzieścia lat, małe dziecko, wokół panowały chaos i panika, a wszelkie nadzieje na ocalenie rodziny spoczęły teraz na niej.

– Rodzice byli przytłoczeni, prawie się poddali – opowiadała babcia.

Zadrżała lekko, chociaż przeniosłyśmy się z ogrodu do kuchni. W maju było dla niej za zimno, żeby wysiadywać wieczorami na dworze. Wciąż ciągnęła swą opowieść. Minęła już co najmniej godzina, odkąd zaczęła mówić. Gdy popatrzyłam na jej twarz, wpatrywała się przed siebie.

– Nie byłam jednak gotowa, żeby się poddać – powiedziała.

1. Ścisłejszy zakaz podróży dla cywilów wprowadzono 17 lipca 1944 roku, kiedy Wiegandowie przebywali już w Rauschen. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ucieczka

Ludzie byli wszędzie, w bramach, w kawiarniach, leżeli na schodach i w ruinach budynków, zrozpaczeni ludzie, którzy szukali schronienia w obrębie starych murów miejskich i ciągle mieli nadzieję, że się uratują. Wiedzieli, że bitwa została przegrana, ale SS i tak wciąż patrolowało ulice, wyłapywało chłopców, którzy wyglądali na szesnastoletnich, i odbierało ich rodzinom, chłopców, którzy znaleźli się w Królewcu, ponieważ szukali schronienia przed Armią Czerwoną, i tylko po to, by ich pośpiesznie wcielono do wojska i wysłano prosto na rzeź, na front. Jakaś kobieta krzyczała, że Rosjanie wkroczyli już na Pomorze, że przełamali zachodnią granicę.

Inge wiedziała, że ich czas się kończy, nie miała jednak pojęcia, do kogo zadzwonić ani dokąd pójść, więc wróciła do domu. Na klatce spotkała sąsiada. Razem chronili się przed bombardowaniami w piwnicy i dzielili jedzeniem w Boże Narodzenie. Niósł w ręku walizkę. Powiedział jej, że jedzie do córki, która ma dom na przedmieściu Amalienau, a stamtąd do Piławy, portu oddalonego o czterdzieści kilometrów. Tam są statki, powiedział, zabierają ludzi w bezpieczne miejsca, na zachód. Kiedy próbował ją wyminąć, złapała go za ramię.

– Proszę mi pomóc – rzekła. – Nie wiem, co robić.

*

Inge prawie wbiegła po schodach do mieszkania rodziców, przez hol, wprost do gabinetu taty, gdzie się znajdował telefon. Chwyciła słuchawkę i odetchnęła z ulgą na dźwięk sygnału; niewiarygodne, że mimo tego chaosu linie ciągle działały. Wybrała numer, który dostała, i liczyła dzwonki. Jeden, drugi, trzeci... przy czwartym odebrał jakiś mężczyzna. Był spokojny, prawie że obojętny, gdy słuchał jej chaotycznych wyjaśnień. Poprosił ją o nazwisko i spytał, skąd ma jego numer. Teraz jego ton stał się przyjaźniejszy. Powiedział, że zna jej ojca i często kupował od niego wino. Operacja jest w toku, z pomocą Kriegsmarine przewóz ludzi

odbywa się przez morze. Powiedział jej też, że muszą się dostać do Piławy, skąd następnego dnia odpływa prom Göttingen. Załatwi im bilety, ale muszą być tam o świcie, żeby na czas wejść na pokład.

Spojrzała na zegarek. Była piąta po południu, koniec stycznia, więc za oknem niebo było zupełnie ciemne. Wiedziała, że nie dadzą rady dojechać samochodem, ponieważ całą benzynę w mieście zarekwirowało wojsko. Wóz konny być może dowiozłby ich na czas, chociaż drogi były oblodzone, a wszędzie leżała gruba warstwa śniegu, ale znalezienie wozu mogło zająć zbyt dużo czasu. Mężczyzna powiedział jej, że o dwudziestej pierwszej z Królewca odpływa *prahm*, barka dla żołnierzy, który najpierw Pregołą, a potem Zalewem Wiślanym udaje się do Piławy. Nie wiedział, ile osób zabierają na pokład, ale Inge uznała, że to ich jedyna szansa.

Znalazła rodziców w salonie, z córeczką śpiącą w ramionach Friedy. Powiedziała im, że muszą wyjechać, teraz, zaraz. Przygotowała się na walkę, gdyż oboje aż do tej pory wypierali myśl, że życie, jakie znali, dobiegło końca. Jednak ku jej zaskoczeniu oboje kiwnęli głowami. Nigdy się nie dowiedziała, co tak naprawdę ich wyrwało z odrętwienia, ale tamtego wieczoru dokonali obrachunku. Może też rozmawiali z sąsiadem albo pomyśleli o śpiącej Beatrice, i to pobudziło ich wreszcie do działania. Mieli godzinę, najwyżej dwie, żeby spakować całe swe życie. Prahm, barka, na którą musieli się dostać, znajdował się w porcie, godzinę drogi od domu, i z całą pewnością czekał na niego tłum.

Frieda bez słowa odłożyła wnuczkę i poszła do sypialni, a po chwili wróciła z kasetką na biżuterię. Spokojnie, metodycznie krążyła między pomieszczeniami, aż przyniosła, co trzeba: dwa wieczorowe turbany, a za trzecim razem pudełko z przyborami do szycia. Kiedy wreszcie usiadła i wręczyła córce igłę, ta zrozumiała, że matka wzięła sobie do serca jej słowa. Wzięła jeden z turbanów i zaczęła wszywać biżuterię między zwoje jedwabiu.

Gdy kobiety szyły, Albert pakował ważne dokumenty do skórzanej torby: akty własności mieszkania i domu, który kupił na emeryturę, świadectwa udziałowe spółki, koncesję na handel alkoholem. Praca i sukces całego życia zamknięte w kilku kartkach papieru, które, co Inge wiedziała, nie miały już zapewne żadnej wartości. Nie odezwała się jednak.

Spakowali się w cztery walizki, tylko tyle mogli unieść. Ubrania na zmianę, srebrne świeczniki, które Frieda dostała w prezencie ślubnym, jedzenie na drogę. Zaskakująco szybko im poszło. Postanowili ograniczyć ilość ubrań do minimum, żeby zostawić więcej miejsca na cenne przedmioty, każdy jednak na polecenie Friedy musiał włożyć po dwa swetry. Inge włożyła też porządne zimowe palto kupione w czasach berlińskich, a Frieda futro z norek, które kilka lat wcześniej

dostała od Alberta na Gwiazdkę. Przez cały czas głos w głowie powtarzał Inge, że muszą się śpieszyć.

Ruszyła do drzwi z bijącym sercem, z rozbudzoną już, ale spokojną córką w ramionach. Jednak spojrzała na rodziców, którzy nagle zaczęli wyglądać bardzo staro, ze zrezygnowanymi, zmartwionymi twarzami, i zatrzymała się na chwilę. Albert stał na środku pokoju i w milczeniu spoglądał na Friedę, która siedziała przy stole w jadalni przed rozłożonym albumem ze zdjęciami. Wybierała i chowała do kieszeni te, które chciała zabrać ze sobą. Inge nigdy nie zapomniała tej chwili: sylwetka matki, niewyraźna w przyćmionym świetle, siedząca po raz ostatni przy okrągłym, polerowanym mahoniowym stole, próbująca ocalić migawki z życia – historię ich przeszłości.

Kiedy wychodzili, mieli wrażenie, że jest środek nocy, chociaż mogła być najwyżej dziewiętnasta. Wsiadli do tramwaju jadącego na zachód miasta, ale ostatnie trzydzieści minut musieli iść pieszo. Gdy po prawie godzinie zbliżali się do nabrzeża, tłumy już zaczęły się tam gromadzić. Inge na ten etap podróży zabrała dziecienny wózek, ale teraz go odstawiła, ponieważ mężczyzna powiedział jej przez telefon, że nie będzie z nim mogła wejść na pokład. Znikąd pojawiła się jakaś kobieta i wyciągnęła rękę.

– Zostawia go pani? – spytała, gotowa złapać za rączkę. Inge kiwnęła głową i patrzyła, jak kobieta znika w ciemności z cennym darem.

Wieczór był bardzo zimny, zaczął padać śnieg. Wiegandtowie szli powoli, dźwigając bagaż, poruszając się sztywno w dodatkowych swetrach. W innych czasach wyglądaliby dziwnie, w ciepłych butach, paltach, turbanach ciężkich od biżuterii na głowach. Ale tutaj, w tłumie ludzi, którzy podobnie jak oni pośpiesznie złapali wszystko, co mogli unieść, wyglądali jak inni. Inge szła pierwsza, przedzierała się między ludźmi z dzieckiem na jednej ręce, z walizką w drugiej, a Frieda i Albert trzymali się tuż za nią, przepychając z większym trudem z powodu wieku i ciężkiego bagażu. Jakimś cudem udało im się dostać na pokład. Albert i Frieda oddali walizkę ze srebrami: urzędnik, który ją zabrał, zapewnił ich, że bagaż zostanie dosłany kolejnym statkiem. Inge nie oddała swojej walizki, nie ufała nikomu.

Na pokładzie było co najmniej sto pięćdziesiąt osób, chociaż barka teoretycznie mogła pomieścić maksymalnie sześćdziesiąt. Byli stłoczeni tak bardzo, że Inge nie odczuwała zimna. Albert ze spuszczoną głową siedział za nią na walizce, Frieda pocieszająco objęła go ramieniem. Z kolan zwisał mu skórzany pasek. W gęstym tłumie ktoś odciął torbę ze wszystkimi jego dokumentami.

– To i tak nie ma znaczenia – Inge usłyszała szept Friedy. – I tak wszystko zabiorą Rosjanie.

Dom, przedsiębiorstwo, plan na emeryturę, bilans ciężkiej pracy i sukcesu całego życia, wszystko przepadło w kilka sekund.

Ich barka jako ostatnia wypłynęła na zalew. Kilka godzin później Armia Czerwona zablokowała ujście królewieckiego kanału.

Do Piławy dotarli późną nocą, ale nawet w ciemnościach Inge dostrzegła ludzkie kłębowisko, piętzące się bagaże i ludzi zgromadzonych na brzegu. Czekali na brzask w hali dworca morskiego. Albert, Frieda i Beatrice zasnęli przytuleni na podłodze, Inge jednak była zbyt zdenerwowana, żeby odpocząć, obserwowała więc innych podróżnych. Były to głównie kobiety z dziećmi, trochę starszych osób, większość miała ze sobą po dwie walizki. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz, gdzie stały puste wozy – przywiozły ludzi, którzy chcieli zabrać ze sobą jak najwięcej dotychczasowego życia. Do jednego, połyskującego w poświacie księżycy, uwiązana była biała koza. Jakaś kobieta opowiedziała jej właśnie, że niektórym rodzinom nie udało się znaleźć miejsca na noc, a ponieważ rozpaczliwie chcą wyjechać, nocowali na wydmach, chociaż tej nocy temperatura spadła do minus piętnastu stopni.

O świcie wyszli na zewnątrz. Na nabrzeżu Inge zobaczyła rzędy pustych dziecięcych wózków. Porzuciły je tu matki, które wsiadały na pokład statków płynących w bezpieczne miejsce, z dziećmi w ramionach. Przypadkowe upamiętnienie ostatniego pokolenia Prus Wschodnich.

„Göttingen”, duży parowiec, górował nad wąską keją Piławy. Udawał się do Świnoujścia, portu po niemieckiej stronie „korytarza” – w zwykłych warunkach podróż trwałaby kilka godzin. Z dokumentu ewakuacyjnego wynikało, że tamtego dnia „Göttingen” przewoził dwa tysiące czterystu sześćdziesięciu czterech rannych żołnierzy i tysiąc stu dziewięćdziesięciu uchodźców, ale rzeczywista liczba cywilów zbliżała się raczej do pięciu tysięcy. Z Piławy wtedy wypływał nie tylko „Göttingen”. Do wyjścia w morze szykowały się jeszcze „Monte Rosa”, transportujący rannych, statek szpitalny „Matero”, szkoleniowy „Nautik” oraz o wiele większe „Grönland”, „Irene Oldendorff” i „Eberhart Essberger”. Niektóre transportowały rannych żołnierzy, inne wycieńczone wojsko. Wszystkie zabierały uchodźców. Trudno ustalić wiarygodną liczbę osób, które wsiadły na te statki. Oficjalne źródła zarejestrowały tylko posiadaczy biletów, ale załogi, świadome, że Armia Czerwona jest coraz bliżej, w obliczu tłumu zrozpaczonych kobiet, w tym wielu z niemowlętami, wpuszczały na pokłady tysiące dodatkowych pasażerów ^{k32}.

Inge jakoś zdołała się przedrzeć przez tłum walczący o wejście na „Göttingen” z wąskiej kei i podeszła do mężczyzny z listą pasażerów. Z niepokojem czekała, aż sprawdzi – nazwiska Wiegandtów znajdowały się na liście. Mężczyzna wręczył

jej cztery bilety, choć zgromadzony już na pokładzie tłum sugerował, że wpuścił o wiele więcej ludzi, niż było biletów, i miejsca zaraz się skończą. Pasażerowie wjeżdżali na statek w wielkich koszach; nie opuszczono trapu, może zresztą „Göttingen” go nie miał.

Inge popatrzyła na ludzi przepychających się na początek kolejki i wiedziała, że nie ma już czasu do stracenia.

– Zostań tu – powiedziała do Friedy, która trzymała Beatrice. – I czekaj! Znajdę sposób. Nie damy rady, jak będziesz się za mną przepychać.

Inge dotarła do grupy oficerów. Kiedy przedzierała się przez tłum, dostrzegła, że przygląda jej się przystojny oberleutnant.

– Zgubiłaś kogoś? – spytał, podchodząc do niej.

– Nie. – Inge uśmiechnęła się tak uwodzicielsko, jak tylko zdołała. – Szukam miejsca na statku.

Słumiła napięcie w głosie. Czekaj spokojnie, powtarzała sobie w duchu, uśmiechaj się.

Oficer odwzajemnił uśmiech.

– Proponuję moją kajutę.

– Och, a nie jest za mała? – Brzmij figlarnie, podpowiadał głos w jej głowie.

– Jest wystarczająca – odparł. – Miałem ją dzielić z kolegą, ale powiem mu, żeby sobie znalazł miejsce gdzie indziej.

Po czym zapisał jej numer kajuty na kartce. Poczula, że przytrzymał na chwilę jej palce, kiedy wkładał kartkę do ręki, a potem powiedział koledze, że ma ją wpuścić na początek kolejki.

– Zaraz będziesz bezpieczna. Przyjdę szybciej, nim się obejrzysz.

Mrugnął do niej i zniknął za rogiem.

Inge obróciła głowę w stronę rodziców.

– Chodźcie, szybko – syknęła najgłośniejszym głosem, jak się odważyła.

Wjechali na górę ogromnym koszem, który kołysał się przy każdym podmuchu wiatru. Frieda mocno ścisnęła Inge za rękę z twarzą białą z przerażenia. Dwa razy myślała, że wypadną do morza.

Kajuta była duża, umeblowana, z czterema kojami po każdej stronie. Inge odetchnęła z ulgą i odłożyła córkę, która tarła oczy ze zmęczenia.

Usiadłszy z Albertem i Friedą, czekali. Kiedy przyszedł oficer, Inge zdusiła śmiech na widok jego zaskoczonyj miny.

– Przepraszam – powiedziała z uśmiechem, głaszcząc śpiące dziecko po włosach. – *C'est la guerre*, prawda?

Inge z niepokojem czekała z rodzicami i córką, aż statek wypłynie w morze. Do kajuty oficera przyszło jeszcze sześć osób. Minęło kilka godzin, odkąd o świcie

dostali się na pokład, ale statek wciąż jeszcze nie otrzymał zgody na wyjście w morze. Za każdym razem, gdy już się zdawało, że ruszą, znów następowało opóźnienie. Ponieważ statkom płynącym na otwartych wodach groził atak ze strony radzieckich okrętów podwodnych, które czaiły się, by torpedować niemieckie jednostki, musiały podróżować w konwojach. Kiedy oczekiwanie wciąż się wydłużało, wśród wylęknionych pasażerów gruchnęła plotka, że lotnictwo radzieckie wzięło na cel wszystkie statki kotwiczące w porcie.

Pomimo lodowatego zimna na zewnątrz, w środku robiło się coraz goręcej i coraz bardziej wilgotno. Nawet w prywatnych kwaterach panował okropny zaduch, powietrze było ciężkie od zapachu potu i fekalii. Ludzie tłoczyli się w kajutach, rozkładali w wąskich korytarzach, zbijali w grupki w mesie. Z powodu natłoku pasażerów toalety na statku przestały działać już kilka godzin wcześniej. Większość ludzi chorowała po kilkudniowej podróży na mrozie, bez regularnych posiłków i możliwości umycia się; załatwiali potrzeby fizjologiczne do wiader. Wiele lat później Inge opowiadała, że woń tłumu, nawet najłżejsza, natychmiast wywoływała u niej tamto wspomnienie. Kiedy marynarz przyniósł im rzadką grochówkę, dziewczyna sobie uświadomiła, że nic nie jedli od wczorajszego wieczora. Patrzyła, jak jej wybredna córeczka, która wcześniej zawsze kaprysiła nad wojennym jedzeniem, teraz błyskawicznie pochłonęła zupę i poprosiła o więcej.

Kiedy „Göttingen” wyszedł wreszcie z portu, padał gęsty śnieg. Było wyjątkowo zimno, nawet jak na koniec stycznia, na otwartym morzu temperatura spadła do minus osiemnastu stopni. Tymczasem dwieście kilometrów na zachód, w Gdyni, do wypłynięcia na wody Zatoki Gdańskiej szykował się inny statek. Pasażerski „Wilhelm Gustloff”, nazwany tak na cześć nazistowskiego przywódcy partyjnego, którego w 1936 roku zamordował żydowski student, nie wychodził w morze od wybuchu wojny pięć lat wcześniej. Teraz miał ruszyć w rejs o wpół do pierwszej, mając na pokładzie dziesięć tysięcy ludzi, dwa razy więcej, niż teoretycznie mógł zmieścić. Pasażerami były głównie kobiety i dzieci, ale ponieważ podróżowało nim też tysiąc pięciuset wojskowych, Kriegsmarine nie oznaczyła statku jako jednostki cywilnej¹.

„Gustloff”, podobnie jak „Göttingen”, musiał płynąć w konwoju z drugim statkiem o nazwie „Hansa” oraz torpedowcem „Löwe” i poławiaczem torped TF1. Kierował się do Kilonii w północnych Niemczech, trzysta kilometrów na zachód od Świnoujścia. Aby uniknąć radzieckich min rozsianych po płytszych wodach, kapitan „Gustloffa” wypłynął na otwarte morze w nadziei, że zła pogoda odstraszy radzieckie okręty podwodne.

Rejs od początku zaczął się źle. „Hansa” musiała zawrócić z powodu problemów z silnikiem, a wkrótce w jej ślady zmuszony był pójść poławiacz

torped. Przy wycieczkowcu został tylko mały torpedowiec. „Gustloff” zmierzał ku krańcowi Półwyspu Helskiego. Płynął powoli, rozwinął prędkość najwyżej dwunastu węzłów.

Dwie godziny później sto czterdzieści trzy mile morskie na wschód radziecki kapitan Aleksandr Marinesko wypłynął z portu w Kłajpedzie i skierował się ku Zatoce Gdańskiej, gdzie, jak wiedział, ruch niemieckich statków był największy. Nie zobaczył „Göttingena”, który szczęśliwie dla Wiegandtów wyszedł na otwarte morze, kiedy Marinesko dopiero mijał Piławę. Na wysokości krańca Półwyspu Helskiego namierzył za to „Gustloff”. Zaraz po dwudziestej pierwszej odpalił pierwsze cztery torpedy. Każda miała specjalny napis na boku:

1. Za Ojczyznę
2. Za Stalina
3. Za naród radziecki
4. Za Leningrad

Torpedy numer jeden i dwa trafiły w przednią część „Gustloff”. Numer trzy wyrządziła największe szkody, ponieważ uderzyła prosto w maszynownię. Torpeda numer cztery zacięła się i nie odpaliła.

Gdy statek zaczął tonąć, pasażerowie na pokładzie i pod nim wpadli w panikę. Łodzie ratunkowe mogły pomieścić tylko połowę z nich, ale przez niedopatrzenie dużej części szalup nie sprawdzono i zamarzyły w krążkach linowych. Te, które udało się spuścić na wodę, prędko się zapełniły. Pod wpływem ciężaru niektóre się przewróciły, a znajdujący się w nich ludzie wpadli do lodowatej wody. Nie mogąc pływać w ciężkich sukniach i zimowych paltach, kobiety szybko poszły na dno, woda zresztą była tak zimna, że dało się w niej przeżyć najwyżej kilka minut. W kadłubie „Gustloff” zostało uwięzionych tysiące ludzi. Trafiony w maszynownię, w sam środek, statek szybko zaczął nabierać wody; po czterdziestu minutach już leżał na boku. Po godzinie było po wszystkim. Przez chwilę nad wodą dramatycznie sterczała jedynie rufa, po czym cały statek zniknął pod wodą.

Znajdujące się w pobliżu jednostki ruszyły mu na ratunek, w tym także „Göttingen”. Inge nigdy nie zapomni widoku za bulajem kajuty: wraku widocznego w świetle reflektorów. Kiedy „Göttingen” podpłynął bliżej, nad wodą dały się słyszeć krzyki kobiet i płacz dzieci. Gdy szukali nielicznych łodzi ratunkowych z rozbitkami, światło poranka ukazało setki ciał utrzymywanych na powierzchni przez kamizelki ratunkowe, podrzucanych w górę przez fale.

– Dzieci wołały matki, matki wołały dzieci – opisywała mi scenę babcia. – Czasem w koszmarach sennych ciągle słyszę te krzyki. Tamtego dnia przestałam

wierzyć w Boga.

Chociaż „Göttingen” podpłynął do miejsca katastrofy najbliżej, jak się dało, udało się uratować zaledwie dwadzieścia osiem osób. Torpedowiec T36, który pierwszy się znalazł przy wraku, uratował pięćset sześćdziesiąt cztery osoby, wśród nich osiemnastoletniego młodszego stewarda Heinza Schöna. Torpedowiec „Löwe” wyłowił czterystu siedemdziesięciu dwóch rozbitków, przerobiony trałowiec M-387 dziewięćdziesiąt osiem osób, trałowiec M-375 – czterdzieści trzy, trałowiec M-341 – trzydzieści siedem, a ratownicza łódź torpedowa TF19 zaledwie siedem. Frachtowiec „Gotenland” uratował dwóch rozbitków. Łódź patrolowa V1703 znalazła wśród ciał na niemal zatopionej tratwie małego chłopczyka ściśle owiniętego kocami, który jakimś cudem nie umarł z zimna. Ponieważ nie wiadomo było, jak się to dziecko nazywa, ochrzczono je później nazwiskiem żołnierza, który je uratował.

Uratowany wówczas Heinz Schön większość życia potem poświęcił na próby ustalenia nazwisk wszystkich ofiar „Gustloff”. Tragedia dręczyła go aż do śmierci w 2013 roku; urnę z prochami, zgodnie z jego życzeniem, grupa nurków ułożyła na dnie morza w miejscu, gdzie nadal spoczywa wrak pechowego statku.

Wspominając tę rozmowę kilka lat później, przypomniałam sobie słowa babci, że krzyki matek, których dzieci pochłonęła woda, będą ją prześladowały do samej śmierci. Nadal trudno mi sobie wyobrazić tamto zatopienie statku. Choć miejsce i trasa były nieznane, chciałam się jak więcej dowiedzieć o tej tragedii, niemalże zapomnianej przez historię. Jakie były szanse na atak na bezmiarze otwartego morza? Przeczytałam, że operacja ratunkowa nosiła kryptonim „Hannibal”. Na mapie prześledziłam trasy. Flamastrami bratanicy pozaznaczałam zieloną linią drogę „Göttingen”, żółtą „Gustloff”, czerwoną okrętu Marinesko.

Na papierze bez trudu dawało się dostrzec, że ogromne, mało zwrotne niemieckie parowce stanowiły łatwy cel: narysowane trasy, chociaż wyobrażałam je sobie jako oddalone o wiele mil, niemal się nakładały. Półwysep Helski, wąski pas ziemi, przymyka Zatokę Gdańską. Osłona, jaką zapewnia w czasie pokoju, ogranicza trasy wyjścia na otwarte morze, co wystawiało statki na atak. Ostatecznym celem „Göttingen” było Świnoujście, „Gustloff” zaś płynął do Kilonii. Przez pewien etap podróży ich trasy się prawie pokrywały. Dopiero kiedy to narysowałam na mapie, uświadomiłam sobie, jak niewiele brakowało, by mojej rodzinie nie udało się zbiec.

Ostatnie dwie godziny podróży, z garstką rozbitków z „Gustloff” na pokładzie, musiały się Wiegantom dłużyć w nieskończoność. Mama opowiadała mi kiedyś, gdy byłam dzieckiem, że tamtej nocy włosy Friedy zaczęły siwieć. Chociaż bezpieczne schronienie było tak blisko, okręt podwodny Armii Czerwonej mógł

w kilka minut pogrążyć ich w lodowatych wodach Morza Bałtyckiego. I rzeczywiście, zaledwie trzy tygodnie później „Göttingen” podzielił los „Gustloff”. W dokumentach marynarki widnieje, że 23 lutego u wybrzeży Łotwy statek trafiła radziecka torpeda – zatonął szybko, zginęło pięćset osób.

Odłożyłam moją odręcznie naszkicowaną mapę i znów sięgnęłam do czarnego albumu babci, z sześcioma zdjęciami przedstawiającymi okruchy życia Wiegandtów w Królewcu. Zastanawiałam się, czy Frieda wybrała je w ten ostatni wieczór, gdy siedziała przy stole w jadalni? Przeczytałam wetknięty do albumu jako zakładka artykuł o zatopieniu „Gustloff”, upamiętniający tragedię pięćdziesiąt lat później, umieszczony obok zdjęć z życia, które musieli porzucić. Babcia opowiedziała mi w najdrobniejszych szczegółach o krzykach, zapachu, strachu tego przerażającego dnia, kiedy w ciągu kilku godzin stała się ateistką, którą znałam. Może wiedziała, że opowiada mi o tamtej nocy po raz ostatni, ponieważ nigdy więcej już o niej nie rozmawialiśmy.

Tamtego wieczoru w kuchni domu we Francji obie milczałyśmy, kiedy skończyła mówić. Nasłuchiwałyśmy odgłosów domu, przygotowań do kolacji, skwierczącej na patelni cebuli, brzęku sztućców wyciąganych z szuflady, szczekania psa, zwoływania wszystkich do stołu, żeby jedli, zanim wystygnie. W prozaiczności tej sceny było coś pocieszającego.

Oczywiście chciałam wiedzieć więcej, odkryć, czy trauma tamtej ucieczki tłumaczy jej późniejszą rezerwę, jaką zapamiętałam z dzieciństwa. Kiedy ją spytałam, czy tamten dzień, który tak wyraźnie utrwalił się w jej pamięci, był najstraszliwszy w jej młodości, odpowiedziała bez namysłu:

– Nie. Najgorsze przyszło później. Czasy w Niemczech krótko po zakończeniu wojny. Ale o tym ci nie opowiem. Jeszcze nie.

1. Rząd radziecki bronił decyzji o storpedowaniu statku tym, że nie było sposobu, aby stwierdzić, czy na pokładzie znajdują się cywile. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ostatnia wieczerza

Zapadał już zmrok, kiedy Wiegandtowie zeszli z pokładu w Świnoujściu, w przenikliwie, zimne popołudnie 31 stycznia 1945 roku. Port leżał na dwóch wyspach, Uznam na zachodzie i Wolin na wschodzie. Oddzielone wąziutkim przesmykiem wyspy leżą tak blisko lądu stałego, że gdy się patrzy na mapę, można je w pierwszej chwili wziąć za półwysep. To one były przystanią dla przybywających z Prus Wschodnich tysiący uchodźców, chociaż miały im dać tylko doraźne schronienie. Front coraz bardziej się zbliżał, wyspy zaś leżały zbyt blisko lądu, żeby Niemcy zdołali je utrzymać w obliczu postępującej Armii Czerwonej, jednak była to najdłuższa podróż, jaką statki typu „Göttingen” mogły zaryzykować z obawy przed storpedowaniem; poza tym na wybrzeżu w Prusach Wschodnich wciąż gromadziły się tłumy czekające na statek, który je zabierze z tego piekła.

Zejscie ze statku było niebezpieczne, schodziło się po prostu po wąskiej drabince na keję. Inge pomyślała, że ściskająca kurczowo szczelbę Frieda zaraz zemdleje. Ona sama, schodząc w dół, szczelbę po szczelbku, kurczowo przyciskała do siebie Beatrice. Mając wciąż świeżo w pamięci tragedię, jaka się rozegrała na ich oczach, Wiegandtowie myśleli tylko o tym, by poczuć twardy grunt pod nogami. Kilka poprzednich godzin spędzili na otwartym morzu, panicznie się bojąc ataku z powietrza lub z okrętu podwodnego czającego się pod powierzchnią. Przerażenie i szok nadały im ten charakterystyczny zmaltretowany wygląd osób w ucieczce, przedwcześnie postarzałe twarze, ubrania sztywne od potu i brudu. Inge szła przy rodzicach z córeczką w ramionach. Beatrice była już ciężka, a po cuchnącym cieple kabiny mróz sprawił, że stopy drętwiały jej z zimna. Dookoła płakali ludzie, z szoku i ulgi, ale ona czuła tylko odprężenie, jak gdyby sam akt przetrwania całkowicie wysuszył jej łyzy. Córka zaczęła popłakiwać, a Inge uświadomiła sobie, że od miski cienkiej zupy na statku wiele godzin temu nic nie jedli. Oficer marynarki o twarzy chłopca z podstawówki kierował ludzi na dworzec, skąd pociągami mieli przejechać przez most na stały ląd i dalej na zachód ¹.

Przez ostatnie kilka godzin Albert prawie się nie odzywał. Teraz przemówił z wyraźnym przymusem, trzymając obiema rękami dłoń żony, ale patrząc na Inge.

– Znam tu jedną kobietę. Przyjmie nas, jestem tego pewien. Mała jest wycieńczona. Twoja matka też dłużej tego nie znieś. Może zostaniemy tu kilka dni i odpoczniemy?

Ponieważ i tak nie znają nikogo na zachodzie, ciągnął, muszą się zastanowić, co dalej. Znał tę wyspę, był tu kilka razy w czasach, gdy co roku leczył reumatyzm w kolanie. Ta kobieta to wdowa po przyjacielu, którego tu poznał; ma dom w Międzyzdrojach, szesnaście kilometrów na wschód. Żywił nadzieję, że uda się odzyskać walizki, które przepadły w Królewcu.

Inge słuchała ojca z wahaniem. Instynkt podpowiadał jej, żeby się nie zatrzymywać, bo czasu jest mało. Wiedziała, że walizki nigdy nie dojadą, pewnie w ogóle nie opuściły Królewca. W ciągu jednej nocy stała się głową rodziny. Ale teraz, z ciężką jej w ramionach córką, zmęczona tak, że ledwo się trzymała na nogach, było jej wszystko jedno. Kiwnęła głową, powstrzymywane łzy wreszcie popłynęły. Toczyły się cicho po policzkach, kiedy patrzyła na ojca. Teraz przez kilka dni pozwoli sobie jeszcze raz na to, by być jego dzieckiem.

Nie tylko oni zdecydowali się zostać. Na Wolinie przebywało teraz mnóstwo rodzin, którym wyczerpanie i ulga, że znaleźli się na stałym lądzie, dały tymczasowe poczucie bezpieczeństwa. Dołączyli do grupy idącej z portu na dworzec, kilkaset metrów dalej, i wsiedli do pociągu, który powiózł ich na wschód do Międzyzdrojów. Było to nieduże miasteczko z kamiennymi domami pomalowanymi na pastelowe kolory, eleganckim moło i długą plażą z białym piaskiem. Albert pokazywał im po drodze kolejne atrakcje, jakby przyjechali tu na wakacje. Potem poprowadził ich brukowaną uliczką oddzieloną od brzegu wąskim pasem ogrodów obsadzonych wysokim brzoźami i zatrzymał się pod bramą willi. Inge zauważyła, że żelazna klamka miała kształt muszli.

Brama była otwarta. Powoli przeszli przez ogród do drzwi wejściowych. Inge nagle uderzyła myśl, jak wyglądają, w zaśnieżonych paltach, cuchnący podróżą. Zdjęła ciężki od biżuterii turban, poprawiła włosy, odwróciła się do matki i wetknęła jej z powrotem do koka kilka zwisających luźno pasm włosów. Zauważyła, że ojciec wygładził sobie palto i poprawił kołnierz. Drzwi otworzyły się prawie w tej samej chwili, gdy zabrzmiał dzwonek.

Na progu stanęła kobieta pod pięćdziesiątkę. Miała ciemnorude włosy i modną, elegancką sukienkę. Na widok Alberta aż westchnęła, jej twarz rozjaśnił uśmiech radości. Była piękna, pomyślała Inge, obserwując grę emocji na jej twarzy. Gdy zobaczyła Friedę i Inge, zamiast radości odmalował się niepokój, złagodzony, gdy spojrzała na dziecko w ramionach Inge. Zapanowała nad sobą i wpuściła ich do ciepłego holu. Albert wyjaśnił, że przyplłynęli statkiem i że nie

miał jak napisać. Inge patrzyła na matkę, która od czterdziestu godzin miała na sobie tę samą brudną suknię, na twarzy piętno lęku poprzedniej nocy i włosy posiwiłe na skroniach. Przesunęła delikatnie ręką przez jej czoło, jakby chciała wygładzić zmarszczki i zapewnić ochronę przed czymś, czego nie umiała wytłumaczyć.

Kobieta przedstawiła się jako Helene. Była wdową po zamożnym przedsiębiorcy ze Szczecina. W willi w Międzyzdrojach zwykle spędzali lato, ale teraz z obawy przed nalotami od dwóch lat mieszkała tu na stałe. Przywitała ich ciepło i szczerze, powiedziała, że mogą zostać, ile chcą, i uparcie twierdziła, że na wyspie jest bezpiecznie. Wobec Alberta zachowywała się grzecznie, prawie oficjalnie, chociaż raz czy dwa zwróciła się do niego na „ty”. Frieda, serdeczna i wdzięczna wszystkim, którzy byli dobrzy dla jej ukochanych, uznała ją za czarującą. Inge nie mogła się co do niej zdecydować, ale serce jej zmiękło, kiedy dostrzegła w oczach kobiety tęsknotę, gdy patrzyła na Beatrice.

Dom był duży, ciepły i wygodny. Inge dostała oddzielny pokój, z mosiężnym łóżkiem i łóżeczkiem dziecięcym misternie rzeźbionym i pomalowanym na biało. Helene powiedziała, że mąż kupił je w Pradze. Po krótkim milczeniu dodała, że ich dziecko umarło. Nie powiedziała, kiedy to się stało, a Inge nie spytała, ale to wyjaśniało czułość Helene wobec jej córki. Gdy wieczorem rozkoszowała się ciepłą kąpielą, rozmyślała o samotności gospodyni.

Zostali całe dwa tygodnie, prawie zapominając o rozgrywającym się wokół szaleństwie. Chociaż na Wolin przybyły tysiące uchodźców, życie w Międzyzdrojach toczyło się względnie spokojnie. Większość przybyszów schroniła się w szkole i ratuszu, część na łózkach polowych w Kurhausie, domu zdrojowym, gdzie Albert niegdyś leczył reumatyzm. Ku swemu zdumieniu Inge odkryła, że w sklepach akceptują jej talony, które zabrała bardziej odruchowo niż przewidującą. Zrealizowała wszystkie od razu, kupiła sobie grube marynarskie wełniane palto ze złotymi guzikami, ciepły sweter i czapkę dla córki. Od miesiący nie widziała Alberta tak szczęśliwego jak teraz z powodu tych zakupów.

– Widzisz, dobrze, że tu przyjechaliśmy.

Inge uśmiechnęła się na jego zachwyty.

– Tak, tato, miałeś rację.

Wiegandtowie wiedzieli, że nie mogą zostać na wyspie za długo. Siły radzieckie nadciągały. Albert usłyszał, że w Niemczech przeraźliwie brakuje jedzenia, a jeśli się nikogo tam nie zna, życie jest walką o przetrwanie. Straty Wehrmachtu na froncie zachodnim spowodowały odcięcie dostaw i braki wszystkiego zaczęły być dotkliwe. Wiegandtowie nie mieli na zachodzie rodziny, prawie nikogo nie znali. Christa z rodzicami przeprowadziła się do ciotki pod Monachium. Dawni kontrahenci Alberta z Hamburga dawno padli ofiarą

bombardowań, a Berlin w ogóle nie wchodził w grę, podejrzewali, że stolica długo się nie utrzyma.

Kiedy Wiegandtowie rozmyślali nad następnym krokiem, Winston Churchill, Franklin D. Roosevelt i Józef Stalin spotkali się w Jałcie, świadomi, że ich zwycięstwo w Europie jest przesądzone. Na tygodniowej konferencji, od 4 do 11 lutego, określili strefy okupacyjne, na które miały zostać podzielone powojenne Niemcy. Szczyt okrzyknięto zwycięstwem relacji radziecko-amerykańskich. Tymczasem Armia Czerwona szybko i nieprzerwanie parła na zachód. 13 lutego 1945 roku padł Budapeszt, a wojsko radzieckie koncentrowało się wzdłuż Odry, sto trzydzieści kilometrów od Berlina.

Inge znów napisała do Dorothei z informacją, gdzie obecnie przebywają, chociaż podejrzewała, że jej dawna opiekunka sama lada moment ucieknie i nigdy nie dostanie listu. Jakkolwiek naiwnie to brzmiało, Wiegandtowie rozmawiali nawet o wyjeździe do Anglii. Jeszcze nie dotarła do nich rzeczywistość, status wrogów i ciężar zbrodni narodu.

Ostatecznie Albert zasugerował Danię, gdzie, jak mówili ludzie, ciągle jest dość jedzenia. Chociaż Inge nigdy tam nie była, Dania wydawała jej się dziwnie znajoma. Wolfgang często opowiadał jej o wakacjach, które w dzieciństwie spędzał w posiadłości stryja, o pięknie krajobrazu i życzliwości ludzi. W liście spytała Dorotheę, czy nadal ma tam przyjaciół, którzy mogliby im pomóc. Były to bardzo mgliste założenia, ale wydawały się jedyną możliwością – ich życie, stosunki i wszystko, na czym mogli polegać, w jedną noc przepadło; nie zostało im nic.

Nie mieli nawet pojęcia, jak się tam dostać. Udali się do bazy wojskowej w Świnoujściu, gdzie się wyokrętowali. Pokazali wszystkie dokumenty, jakie im zostały, i spytali, czy mogą pojechać do Danii. Ponieważ państwo to, ciągle znajdowało się pod okupacją niemiecką, usłyszeli, że w zasadzie jest to możliwe. Pociąg odjeżdża następnego dnia, mogą nim pojechać do północnych Niemiec, a stamtąd do południowej Jutlandii. Oficer przeglądający ich dokumenty powiedział Inge, że mogą zabrać tylko po małej torbie na osobę, z jedną zmianą odzieży.

Po południu znów napisała do Dorothei, miała nadzieję, że jeśli będzie wysyłać listy raz po raz, któryś w końcu do niej dotrze. Teraz napisała krótko i śpiesznie. Przygotowują się do wyjazdu, wszyscy mają się dobrze, dziecko też. Dodała postscriptum z prośbą, żeby Dorothea wyruszyła w ich ślady do Danii, ponieważ na Wolinie krążyły pogłoski, że Armia Czerwona wkrótce opanuje niemiecką stolicę.

Tymczasem w domu Helene Inge z tęsknotą spoglądała na łóżko, w końcu jednak wzięła się do przygotowań. Gospodyni płakała w kuchni. Ona też

planowała wyjazd pod koniec miesiąca, miała się zatrzymać u kuzyna pod Heidelbergiem. Albert opowiedział w kuchni zabawną opowieść o tym, jak poznał Helene i jej męża, gdy również przyjechali do wód. Kobieta serdecznie się śmiała, co sprawiło, że mała Beatrice także się roześmiała, klaszcząc z zachwytu małymi rączkami. Frieda nigdy nie towarzyszyła Albertowi w tych zdrowotnych podróżach, a Inge, która wcześniej nie zadawała sobie o to pytania, teraz zaczęła się nad nimi zastanawiać.

Tamtego wieczora Helene powiedziała, że przygotują sobie ucztę na miarę przedwojennych czasów. W willi zapanowała świąteczna atmosfera, kiedy szykowali wszystko w kuchni, choć wiedzieli, że pewnie nigdy więcej się już nie spotkają. Helene rozłożyła obrus obsyty francuską koronką, kryształowe kieliszki i najlepszą dreźnieńską porcelanę. Ustawiła srebrne świeczniki, które dotąd poowijane w gazetę tkwiły w kufrze spakowanym na wyjazd. Wyjęła wszystkie starannie gromadzone wojenne zapasy jedzenia: prawdziwą kawę, dwa słoje marynowanych cytryn, puszkę brzoskwiń. Frieda upiekła ciasto z resztek cukru uchowanego przez Helene, dodając dla większej słodyczy plasterki suszonych jabłek. Z piwnicy przynieśli wino, zakurzone butelki stały rzędem przez całą długość kredensu. Helene uparła się, żeby Albert otworzył wszystkie – muszą chociaż spróbować je wypić, zanim zrobią to Rosjanie.

Inge na lata zapamiętała ten widok: złote brzegi delikatnej porcelany odbijały blask świateł; Helene w jasnoszarej jedwabnej sukni siedziała u szczytu stołu, uśmiechnięta, choć z policzkami mokrymi od łez. Kiedy ojciec nalewał wino, Inge zerknęła na etykietę z nazwiskiem „Wiegandt”. Jej wzrok wędrował z butelki na butelkę, każda opatrzona była naklejką z nazwą przedsiębiorstwa jej ojca. I nagle wszystko zrozumiała: niepokój i podejrzenie, którego nie mogła odpędzić, łączy Helene maskowane uśmiechem z powodu rychłego rozstania. Zerknęła na uśmiechniętą Friedę. Czy ona też wie?, zastanawiała się Inge. Czy po prostu stara się widzieć tylko to, co jej nie zrani? Ale zbrojna w tę nową wiedzę, czuła, że rezerwa topnieje; w jej sercu nie było miejsca na złość. Jakie to ma teraz znaczenie, myślała.

Następnego dnia rano wyszli na dworzec kolejowy. Każde niosło małą torbę ze zmianą bielizny i ręcznikiem; tyle pozwolono im wziąć. Inge upchnęła sobie w rękawie jedwabną suknię, którą zabrała z Królewca. Kiedy wychodzili, Helene wetknęła jej bochenek chleba.

– Dla małej – powiedziała.

Czekali dwadzieścia cztery godziny na pociąg, którym mieli pojechać przez północno-zachodnie Niemcy, a potem na północ, do Danii. Nie mieli jedzenia, więc oszczędnie skubali chleb. W końcu przyjechał skład: z wybitymi oknami, z dziurami pozatykanymi szmatami. Jechał wolno i często się zatrzymywał na

wojskowych punktach kontrolnych. Inge tuliła Beatrice, która wymiotowała i miała biegunkę. Dopiero wtedy z całą mocą uderzyła ją rzeczywistość nowej egzystencji, o której zdołała zapomnieć u Helene. Teraz naprawdę nie mieli domu.

We wrześniu 2018 roku, rok po śmierci babci, odbyłam sześciogodzinną podróż na zachód od ujścia Wisły, wzdłuż północnego wybrzeża Polski na wyspę Wolin – próbowałam odtworzyć drogą lądową podróż mojej rodziny morzem po opuszczeniu Królewca. Chciałam zobaczyć pierwsze schronienie Wiegandtów po tym, jak musieli porzucić dom. Podążałam zachodnim krańcem niegdysiejszego wybrzeża Prus Wschodnich, obecnie terytorium polskim. Historia regionu, pełna kontrastów, odsłaniała się sama po drodze; ponure drzewa Sztutowa, niegdyś Stutthofu, wąskie tory kolejowe przypominające, że niegdyś w tym lesie znajdował się obóz koncentracyjny. Od tego dręczącego przypomnienia zagłady do Gdańska, z eleganckimi osiemnastowiecznymi kupieckimi kamieniczkami, niegdyś zniszczonymi przez bomby, teraz przywróconymi do dawnej chwały.

Przez wieki Wolin znajdował się pod szwedzkim, duńskim, niemieckim i radzieckim panowaniem². To ziemia naznaczona cierpieniem. Polska doświadczyła wiele okrucieństwa z rąk Niemców, po czym kolejne cierpienia przyniosły jej lata władzy komunistycznej. Złożona przez Stalina w Jałcie w 1945 roku obietnica wolnych wyborów doprowadziła jedynie do stopniowego nasilania radzieckiej kontroli nad reżimem komunistycznym, który nie zamierzał zapewnić krajowi wywalczonej niepodległości.

W miarę jazdy krajobraz się zmieniał, pola stawały się mniejsze, ogrodzenia odcinały je od gęstwiny lasów, a wzgórza złagodziły surowe, bezmierne piękno wschodu. Wolin to wrota do zachodu Europy, tutaj linia brzegowa jest bardziej osłonięta, wiatr mniej dokuczliwy niż na długich, dzikich plażach Bałtyku. We wsiach nowe domy wznoszą się obok zabytkowych stodół, prostych, funkcjonalnych i nadgryzionych przez czas. Świnoujście, gdzie Wiegandtowie zeszli na ląd z „Göttingena”, to ruchliwe miasto, dwa razy dziennie przybija tu prom ze Szwecji. Tam zawróciłam i znów pojechałam na wschód wąską drogą do Międzyzdrojów.

Miasteczko poza sezonem jest ciche i wciąż nosi ślady pruskiego dziedzictwa. Granica z Niemcami znajduje się zaledwie dwadzieścia kilometrów stąd, a turyści, polscy i niemieccy, zjeżdżają tu tysiącami, żeby zobaczyć brukowane uliczki, kolorowe domy i ozdobne molo, które czyniły kurort tak popularnym w czasach Wiegandtów. Biuro Adler-Schiffe nie zważa na współczesne granice i organizuje wycieczki krajobrazowe, których trasa przebiega i po polskim, i po niemieckim terytorium – ze Świnoujścia do Bansin. Na głównym placu w Międzyzdrojach Berlin Döner Kebap oferuje specjalność ulubioną przez

większość Niemców, *currywurst*. Tę dualność widać tu na każdym kroku, od małego muzeum poświęconego niemieckiej broni odwetowej V3 po uliczki nazwane na cześć polskich bohaterów narodowych. Międzyzdroje radzą sobie ze skomplikowaną przeszłością, wkomponowując historię we wszystkie struktury miasta. Przecież ja to samo próbowałam właśnie zrobić: dowiedzieć się prawdy o historii rodzinnej, prześledzić jej zwroty, nadzieje, uchybienia, hybrydowość, która ukształtowała moją tożsamość.

Na ulicach rozpoznawałam elementy opisane przez babcię – rząd domów, szereg brzoź. Nie wiedziałam na pewno, która willa należała do Helene; być może ta wysoka, kremowa, ze zdobionymi oknami i zieloną okładziną, gdzie w oknie wisiała reklama pokoi, po polsku i po niemiecku.

W dniu mojego pobytu Morze Bałtyckie było spokojne. Poszłam na sam koniec mola, które, jak informował przewodnik, było najdłuższą przystanią morską w Polsce. Tutaj, mrużąc oczy od słońca, myślałam o tym postoju w podróży Wiegandtów, rodzinnej tułaczce w poszukiwaniu jedzenia i przyszłości, cienkiej, zamazanej linii horyzontu, czasie, o którym Inge rzuciła ledwie kilka luźnych refleksji. Przed śmiercią babcia zdradziła mi pilnie strzeżone sekrety, trudne przeżycia z pierwszych powojennych lat. Jednak w zwierzeniach zostało wiele luk.

Począwszy od pobytu w Danii, jej wspomnienia, przynajmniej te, którymi się ze mną dzieliła, były bardziej skąpe. Wiedziałam, że Wiegandtowie spędzili tam kilka miesięcy, dość długo, by mama nauczyła się mówić po duńsku. Tamten czas, jak sądziłam, musiał wywrzeć ogromny wpływ na Inge. Była młodą, dwudziestoletnią kobietą z małym dzieckiem i starszymi rodzicami, ani żoną, ani wdową, Niemką, a jednak bezpaństwową, ofiarą bez prawa do współczucia. Chciałam się dowiedzieć, co ją tak odmieniło.

Aby wypełnić luki we wspomnieniach Inge, wysłuchiwałam później tysięcy innych historii osób, które tak jak Wiegandtowie przybyły do Danii jako uchodźcy z Prus Wschodnich. Zastanawiałam się, jak ich przyjęto, żony i dzieci wroga szukające schronienia na duńskim wybrzeżu. Po straszliwych perypetiach związanych z podróżą dotarli tam między początkiem lutego a 5 maja, kiedy kraj wciąż się znajdował pod okupacją niemiecką. Po kilku tygodniach od ich przyjazdu kapitulacja Niemiec nagle zmieniła ich status.

Znalazłam stare artykuły o uchodźcach, pojedyncze wzmianki w książce, zwykle zawarte w rozdziale, który dotyczył różnych aspektów wojny. Słyszałam opowieści o złym traktowaniu, opowiadane przez dzieci innych, którzy też uciekli z Prus Wschodnich. Przyjaciółka, ze strony matki również pochodząca z Prus Wschodnich, opowiedziała mi o ciotce, która nigdy nie chciała opowiadać o tym, co ją spotkało w Danii, kiedy miała pięć lat. Gdy ktoś ją o to pytał, pokazywała

tylko lewą rękę, gdzie brakowało jej palca. Inne historie krążyły szeptem, przytłoczone uczuciem, którego nigdy nie udało się całkiem pozbyć: niemiecką winą.

Skłonność babci do przechodzenia od pełnego zaufania do rezerwy, nawet po tym, gdy nasza relacja się zmieniła, została jej do śmierci. Frustrowała mnie, ale kiedy się więcej o niej dowiedziałam, zaczęłam ją lepiej rozumieć. Inge nie miała czasu się pogodzić ze stratą: dzieciństwa, ambicji i miłości. Ucieczka pozbawia luksusu czasu i nie pozwala na refleksje. Podejrzewam, że miała tylko dwa wyjścia: dać upust emocjom i albo się poddać, albo zostawić przeszłość za sobą i pójść do przodu. Ta postawa ukształtowała jej przyszłą osobowość: zdolną do przetrwania, zawsze podążającą do przodu i nigdy niepatrzącą wstecz.

1. Kilka miesięcy później, w kwietniu 1945 roku, Wehrmacht wysadził most zwodzony w Karninie, łączący wyspę Uznam z lądem, żeby utrudnić postęp Armii Czerwonej. [\[wróć\]](#)
2. Wolin wrócił do Polski w 1945 roku, po zakończeniu wojny. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Grzechy ojców

Dziwnie jest myśleć o Niemcach jako o uchodźcach, tak bardzo określał ich ciężar zbrodni popełnionych przez naród niemiecki, ale z taką właśnie rzeczywistością przyszło się zmierzyć członkom mojej rodziny, kiedy się stali bezdomni i nie mieli do kogo się zwrócić.

Do Danii przybyli pod koniec lutego 1945 roku, kilka tygodni przed zakończeniem wojny, jako jedna z ćwierć miliona rodzin niemieckich z Prus Wschodnich, szukających jedzenia i schronienia na wybrzeżu tego kraju. Uchodźcy napłynęli wówczas tak licznie, że stanowili aż pięć procent całej ludności Danii. W zdecydowanej większości (osiemdziesiąt pięć procent) były to kobiety i dzieci, jedna trzecia z nich miała mniej niż piętnaście lat. Niemal wszystkich przybyłych internowano w obozach, skąd w listopadzie 1946 roku zostali repatriowani do Niemiec.

Deutsches Konsulat
Apenrade
(Ausstellende Behörde)

Hilfspass Nr. 15/45.
(Ausweis für Flüchtlinge)

Familienname: Wiegandt
Rufname: Ingeborg Gertrud
Beruf: Architekturstudierende
Geburtsort: Königsberg O/Pr.
Geburtstag: 24.7.1924
Wohnort: Königsberg O/Pr.
Gestalt: mittel
Gesicht: oval
Farbe der Augen: blau
Farbe des Haares: schwarz
Besondere Kennzeichen: keine
Staatsangehörigkeit: Deutsch.

Gültig für Dänemark
und für die Rückkehr nach Deutschland.

Königsberg O/Pr.

Ingeborg Wiegandt
Unterschrift des Inhabers

Der Ausweis wird ungültig am 31. Dezember 1945.

Ausgestellt auf Grund der Kennkarte
nach eigenen Angaben

Es wird hiermit bescheinigt, dass der Inhaber die durch das obenstehende Lichtbild dargestellte Person ist und die darunter befindliche Unterschrift eigenhändig vollzogen hat.

Apenrade den 17. April 1945.

Deutsches Konsulat
Apenrade
Unterschrift der Behörde
H. S.

Dowód tożsamości Inge

Chociaż Inge opowiedziała mi tylko kilka epizodów z życia Wiegandtów w Danii, wiedziałam, że przez jakiś czas liczyli na to, że zostaną tam na zawsze. Przeżycie wysiedlenia, tuż przed końcem wojny, było kluczowym elementem w scalaniu opowieści o najbardziej traumatycznych miesiącach w życiu mojej babci, więc w 2018 roku poleciałam do Kopenhagi, żeby odkryć dlaczego.

*

W dżdżysty, zimny marcowy poranek pojechałam z Kopenhagi na południe, do Sønderborga, żeby zobaczyć miasto, do którego dotarła wtedy moja rodzina. Nie miałam za wiele wskazówek. Zniszczony tekturowy dokument, złożony na dwoje, z wydrukowanym u góry nagłówkiem *Hilfspass Ausweis für Flüchtlinge* – dokument tożsamości dla uchodźców, ostemplowany w kwietniu 1945 roku, kilka tygodni przed zakończeniem wojny, w niemieckim konsulacie w małym miasteczku Aabenraa, wówczas znanym pod niemiecką nazwą Apenrade. Kiedyś babcia wspomniała mimochodem o koszarach marynarki, dokąd ich zabrano zaraz po

przybyciu, tak blisko morza, że dało się słyszeć szum fal. I była jeszcze opowieść o wdowie po nauczycielu, z którą się zaprzyjaźnili.

Sønderborg leży ponad trzy godziny jazdy od Kopenhagi i prawie każdy Duńczyk, z którym rozmawiałam, uważał, że wyjazd tam w marcu to szaleństwo. To letnia miejscowość, tłumaczyli, radzili mi jechać w lepszą pogodę. Ale kiedy patrzyłam na deszcz ze śniegiem siekący w przednią szybę wynajętego samochodu, pomyślałam, że Wiegandtowie musieli się tu znaleźć w dzień taki jak ten, pod koniec lutego. Zapewne pierwszy raz ujrzeli Danię spowitą deszczem i szarą mgłą. Droga wiodła przez uporządkowany pejzaż rolniczy usiany małymi, czystymi miasteczkami, aż do najdalej wysuniętego na południe krańca Półwyspu Jutlandzkiego.

Jutlandia ma skomplikowaną historię. Przez wieki zamieszkiwała ją etniczna ludność zarówno duńska, jak i niemiecka. Początkowo lenno duńskie, w wojnie w 1864 roku przeszła pod panowanie niemieckie, a potem w 1920 roku po plebiscycie ponownie zjednoczyła się z Danią¹. Nawet dziś te związki z Niemcami pozostają wciąż silne.

Dojechałam wczesnym popołudniem, deszcz ze śniegiem przeszedł w śnieg, mimo to powędrowałam na sam koniec portu, gdzie statek wpłynął do zatoki. Domy w Sønderborgu rozrzucone są po obu stronach wąskiej cieśniny, stare miasto leży na wyspie Als, a jego nowsze przedmieścia ciągną się w stronę Jutlandii. Dwunastowieczna twierdza z czerwonej cegły strzeże wejścia do portu, pamiątka po dawnych czasach i częstych atakach z morza. Smętne, marcowe światło osnuwało wakacyjny kurort posezonową burością. Plaża była pusta, lodziarnia zamknięta na głucho. Nawet stare domy nad zatoką, pomalowane na zielono, pomarańczowo i kremowo, straciły jaskrawość.

Za twierdzą port otwierał się na zatokę, przeszukałam wzrokiem horyzont w poszukiwaniu dawnych koszar. Wypatrzyłam je prawie od razu: okazałe budynki z czerwonej cegły w stylu wojskowym, duże, ponure, kanciaste, z ciemnymi oknami. Wybudowano je w czasach niemieckich w 1906 roku, a wtedy, kiedy przybyli Wiegandtowie, gdy Dania znajdowała się jeszcze pod okupacją niemiecką, wykorzystywano je jako ośrodek szkoleniowy dla marynarki niemieckiej. W obliczu potrzeby natychmiastowego zakwaterowania tysięcy uchodźców ze wschodu armia przekazała na ten cel wszystkie dostępne budynki – uczelnie, szkoły, ratusze i hotele².

Gmach nie wygląda na używany, z wyjątkiem kilku samochodów na przyległym parkingu. Brama główna jest zamknięta na łańcuch z kłódką. Większość okien zostało zabitych deskami, więc wchodzę na skrzynię, żeby spojrzeć za mur, prawie nadeptując na martwego szczura złapanego w pułapkę. Brama prowadzi na kwadratowy dziedziniec obstawiony budynkami. Na oko mieści się w nich

kilkaset pomieszczeń. Pamiętam, jak babcia opowiadała, że zebrali ich na dziedzińcu z innymi rodzinami, gdzie czekali na przydział miejsca do spania. Potem skierowano ich do wielkiej sali, gdzie niektórzy mimo oczekiwania położyli się spać. Uchodźcom mieli pomagać młodzi oficerowie, niektórzy mający ledwo po kilkanaście lat; widząc, jak wiele jest kobiet z dziećmi, do tego chorych wskutek niebezpieczeństw podróży, poczuli się przytłoczeni. Chłopak przydzielony Wiegandtom był synem lekarza, przedstawił się jako oficer De Jong. Inge nie pamiętała, jak miał na imię.

– Miał miłe, brązowe oczy – wspominała, opowiadając mi o przesiedleniu. – Chciał mnie zabrać na kolację i tańce. Wszystkich wysłali na front zachodni... jego też. Parę tygodni przed końcem wojny, ale on skończył jak inni. Jako mięso armatnie.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że poszłam na te tańce. Nie miałam gdzie mieszkać, a moje dziecko było chore. Ale w takich okolicznościach człowiek nie zachowuje się racjonalnie.

Przypomniały mi się jej słowa, kiedy patrzyłam na stare budynki. Chociaż teraz były opuszczone, nosiły ślady niedawnego użytkowania. Niezabezpieczone okno do pomieszczenia na parterze ukazywało kuchnię, a następne kilka pryczy z pościelą. Później ustaliłam, że koszary zostały zamknięte w 2013 roku w związku z cięciami budżetu na obronę. W 2014 roku użyto ich jako tymczasowego schronienia dla trzystu Syryjczyków, którzy także, tyle że kilkadziesiąt lat później, uciekli przed wojną. Ich przybycie wywołało rozdźwięk w miejscowej społeczności, a trzydzieści pięć tysięcy ludzi starających się o azyl w regionie niektórzy politycy nazywali „niepowstrzymaną falą”. Zastanawiałam się, z jakim przyjęciem spotkali się Wiegandtowie, gdy pod koniec wojny Dania odzyskała wolność: czworo ludzi z ćwierć miliona przybyszów siłą rzuconych do świeżo oswobodzonego kraju. Lecz kiedy patrzyłam na ascetyczny dziedziniec i jego więzienny wygląd, wydał mi się wyjątkowo niegościnnie, raczej miejsce niedostatku niż obfitości. Położyłam rękę na ceglany murze i poczułam chłód pod palcami.

Jest coś niezwyklego w fizycznym odwiedzaniu miejsc, które objaśniają minioną rzeczywistość. Kiedy odchodziłam od koszar, uświadomiłam sobie, że nigdy nie zrozumieć w pełni, co znaczy być wysiedlonym. Widok tych gołych murów pokazał mi w jakiś sposób, jak to musi być, gdy trzeba porzucić dom i wszystko, co się kocha, a potem zaczynać zupełnie od nowa, nie mając wytyczonej drogi ani konkretnego planu, napotykając przy tym nienawiść ludzi, u których się szuka schronienia. Były to chaotyczne i nieprzyjemne myśli. Moje własne istnienie zależało od tej chwili ucieczki, którą od niepowodzenia dzielił zaledwie włos, a którą przez te wszystkie lata traktowałam jako rzecz oczywistą.

Tak oto problem z dokopywaniem się do przeszłości sprawia, że człowiek zaczyna kwestionować własną teraźniejszość.

Młodziutki oficer, który zajął się Wiegandtami, zaczerwienił się po uszy, kiedy Frieda go spytała o wiek. „Siedemnaście w zeszłym miesiącu”, odparł. Zaczerwienił się również później, kiedy spytał Inge, czy pójdzie z nim wieczorem na tańce do mesy oficerskiej. Zaskoczona, zgodziła się bez namysłu, chociaż cała była zeszywniała po nocy spędzonej na cienkim sienniku na podłodze koszar, wyczerpana po podróży i rozpaczliwie zmartwiona o córeczkę, która wciąż źle się czuła.

Wieczorek taneczny miał się odbyć w koszarach szkoleniowych, dokąd na samym początku skierowano Wiegandtów. Jego pomysłodawcą był dowódca, zapewne chciał dostarczyć kilku godzin przyjemności chłopakom skazanym na śmierć, o czym wiedział, i uchodźcom, którzy stracili wszystko. Było to osobliwe zgromadzenie, chłopcy o dziecinnych twarzach i wycieńczone dziewczyny w zniszczonych sukienkach. Mała orkiestra muzyków po sześćdziesiątce, za starych, żeby iść do wojska, grała taneczne melodie. Większość dziewcząt tańczyła w zimowych butach, jedynych, jakie miały. Nosiły pożyczone, niedopasowane sukienki – własne, lepsze porzuciły dawno temu.

Muzycy przestali grać po półgodzinie i ktoś przyniósł gramofon. Inge zamarła, kiedy się rozległa piosenka, do której często tańczyli z Wolfgangiem. Chłopak, jej towarzysz, stał obok wyczekująco, ale w ogóle zapomniała o jego istnieniu. Któryś z żołnierzy krzyknął z radości, że to jego ulubiony przebój: zabrzmiał jak podekscytowane dziecko, pomyślała. Rozejrzyjcie się, miała ochotę wykrzyknąć, spójrzcie na tych chłopców, spójrzcie na twarze kobiet, spójrzcie na nasze ubrania i podeszwy butów. Zostało coś, o co warto walczyć?



Paszportowe zdjęcie Inge

Mogła powiedzieć to wszystko na głos, gdyby partner nie spytał jej, czy zechce zatańczyć. Oto stał przed nią młodziutki chłopak, który powinien mieć całe życie przed sobą. Spojrzała na jego wyczekującą twarz i nie miała serca odmówić. Zmusiła się do uśmiechu, po czym chwyciła jego wyciągniętą rękę i tańczyła przez prawie całą noc, śmiejąc się, kiedy jej mówił, że jest piękna. Zgodziła się, gdy spytał, czy może do niej napisać, chociaż nie miała żadnego adresu, który mogłaby mu podać. Następnego dnia wieczorem poszła na kolację – z nim i kilkoma jego kolegami, którzy jeszcze byli na miejscu. Potem złościła się na siebie za to wszystko, za tę frywolność nie na miejscu. A przecież chciała tylko przez kilka godzin znów się poczuć normalnie.

Następnego dnia chłopak wyjechał na front, a dwa tygodnie później dowiedziała się, że zginął.

Kilka dni po przyjeździe Wiegandtowie przenieśli się z koszar do szkoły, gdzie w auli rozstawiono łóżka dla uchodźców. Dzień w dzień nadciągali kolejni ludzie szukający schronienia – chorzy, zmęczeni, głodni – i sala wkrótce się wypełniła. Ci, którzy mieli więcej szczęścia, dostali przydział do niemieckich rodzin

zamieszkałych w regionie, ale ludzie nadciągali taką nawałą, że z minuty na minutę robiło się to coraz trudniejsze. Aby nie dopuścić do chaosu, wojsko pilnie ich strzegło. Każdy musiał się zarejestrować i miał zakaz wychodzenia. Jakie to miało znaczenie, kiedy nikt i tak nie miał gdzie pójść?

Wiegandtowie mieli szczęście, dostali miejsce w rogu. Przysunęli łóżka do ściany i dzięki temu zyskali iluzję prywatności. Nikt im nie powiedział, jak długo mają tu zostać ani dlaczego. Dopóki nie znajdzie się dla nich kwatera na stałe, usłyszeli, nie wolno im nigdzie wychodzić. Inge patrzyła, jak jej córeczka siedzi na łóżku i rozgląda się dookoła. Była zbyt spokojna jak na dziecko w jej wieku. W miarę jak napływało coraz więcej uchodźców, jedzenie, zupę ziemniaczaną lub wodnisty kleik, wydzielano im coraz oszczędniej. Tłok ogrzewał pomieszczenie, w którym unosił się wilgotny odór potu. Wielu przybyszów miało gorączkę, a w sali raz po raz rozbrzmiewał kaszel, odgłosy chorób po wielu dniach, czasem tygodniach, podróży na dotkliwym zimnie odbijały się echem przez całą noc.

Coraz bardziej chorowała też Beatrice. Cierpiała wskutek biegunki, na którą narzekała już w podróży. Nie jadła od dwóch dni i kiedy Inge lub Frieda próbowały ją nakarmić zupą lub dodawaną do niej kromką chleba, odwracała głowę. Inge ustawicznie czuwała nad śpiącym dzieckiem. Dziewczynka szybko traciła na wadze, jej ciało pokrywały kropelki potu, a skóra przybrała żółtawy odcień. Oczy straciły wesołość. Jasne włosy, przyklejone do czoła, zeszywniały i zmatowiały. Inge usłyszała, jak jakaś kobieta, patrząc na próby nakarmienia córki, powiedziała, że w zeszłym tygodniu jej dziecko umarło. Strach uderzył ją lodowatym bólem w pierś i zakradł się do serca.

Co godzinę Frieda zmuszała małą do wypicia choć odrobiny wody. Inge nie mogła patrzeć na matkę i ojca, widziała bowiem w ich oczach swój własny lęk. Trzymała córeczkę za rękę, kościste paluszki wydawały się takie drobne i delikatne w jej dłoni. Szybko zjawił się niemiecki lekarz, żeby zbadać dziecko, ale tylko delikatnie potrząsnął głową – nic nie mógł zrobić. Widywał już takie przypadki. Nie da się zachować higieny w warunkach, gdy tyle osób potrzebuje schronienia. Dzieci, osłabione trudami ucieczki i zimmem, zawsze chorowały pierwsze.

– Proszę jej podawać dużo wody i trzymać w cieple – powiedział.

– To dziecko umrze, jeśli nic pan nie zrobi! – krzyknął Albert.

Lekarz próbował go uspokoić. Wszystkie dzieci na tej sali muszą to przetrwać. Poza tym i tak nie miał żadnych lekarstw. Albert siedział przy dziewczynce przez wiele godzin, z całej siły pragnął, by odzyskała siły. Dwa razy dziennie błagał komendanta, żeby ich przeniósł gdzie indziej, prosił o leki. Odpowiedź, choć przekazywana w życzliwy sposób, brzmiała: nic nie da się zrobić.

Ratunek nadszedł nieoczekiwanie. Znalazło się dla nich miejsce w Apenrade, lokalna mieszkanka zgodziła się przyjąć do siebie rodzinę z dzieckiem. Kobieta przyjechała ich odebrać. Była miłą Dunką, wdową w średnim wieku z posiwiałymi włosami, przedstawiła się jako Hanne. Jej mąż był etnicznym Niemcem, którego rodzina od zawsze mieszkała w Danii, i Hanne zaproponowała, że przyjmie pod swój dach rodzinę uchodźców, gdy tylko się dowiedziała, że zaczynają napływać. Duże, brązowe oczy kobiety wyrażały współczucie i pociechę. Kiedy zobaczyła Inge z bezwładną Beatrice w ramionach, położyła jej rękę na ramieniu.

– Zadbamy o nią – oznajmiła.

Inge stłumiła szloch ulgi. Wyruszyli od razu. Hanne powiedziała, że jedzie się do niej godzinę. Inge trzymała dziecko całą podróż.

– Teraz wszystko będzie dobrze – szeptała, tuląc dziewczynkę i głaszcząc po włosach. – Poczekaj jeszcze trochę.

Apenrade okazało się małym, cichym miasteczkiem. Hanne mieszkała na przedmieściach w ładnej dzielnicy z rzędami schludnych, drewnianych domów i zadbanych ogródków. Jak bardzo to miejsce nie przypominało zasypanych gruzem ulic i zniszczeń, jakie Wiegandtowie zostawili za sobą w Królewcu. Dom był niebieski z czerwonym dachem – zwykły, prosty dom, ale Inge poczuła się jak w raju.

Zaraz po przyjeździe Hanne zagotowała wodę. Wzięła Beatrice od Inge i owinęła ją szalem. Rozpuściła w gorącej wodzie miód i łyżeczką napoiła dziecko. Na początku ledwo zwilżała jej usta, po godzinie mała poczuła słodycz i poprosiła o więcej. Frieda i Inge spojrzwały na siebie. Dziewczynka odezwała się po raz pierwszy od dwóch dni. Hanne uśmiechnęła się i podała jej więcej płynu.

Pod czujnym okiem gospodyni Beatrice szybko wracała do zdrowia. Po dwóch dniach usiadła i zjadła zupę, którą Hanne dla niej ugotowała. Pod koniec tygodnia jadła kaszę manną, a po trzech nadrobiła utraconą wagę i zaczęła biegać dookoła domu z dziećmi z sąsiedztwa. Codziennie Hanne piekła dla Inge na śniadanie *Sandkuchen* – niemiecki odpowiednik babki piaskowej – i zmuszała ją do jedzenia.

Hanne traktowała Wiegandtów jak rodzinę i w miarę jak mijały miesiące, nawiązała się między nimi więź, jakby się znali od lat. Co wieczór siadały z Friedą i rozmawiały nad szyciem, śmiejąc się z Inge, która nienawidziła robótek. Pogawędki dotyczyły spraw domowych, sąsiedztwa i mieszkańców – w czasie pokoju Inge uznałaby je za nudne, ale teraz przysłuchiwała się z przyjemnością. Rutyna i normalność były wtedy dobrem luksusowym. Polubiła rytm tego spokojnego życia i wytchnienie, jakiego tu zaznała po lękach i obawach podczas ucieczki. Beatrice w pełni wróciła do zdrowia. Buzia jej się znów zaokrągliła,

a kiedy się uśmiechała, w policzkach pojawiały się dołeczki. Blond włosy błyszcząły, jakby ciągle padało na nie słońce. Popołudnia spędzała z dziećmi sąsiadów: biegali, skakali, bawili się w berka, a wkrótce zaczęła mówić po duńsku. Hanne wydziergała jej na drutach niebieski sweterek, dziewczynka życzyła go sobie wkładać codziennie.

Kilka tygodni później Inge wdała się z sąsiadką w rozmowę, pilnując bawiącej się w ogrodzie Beatrice, gdy na ulicy rozległy się krzyki. Podbiegły do bramy. Ulicą pędziła rozgorączkowana dziewczyna, z czerwonymi policzkami i błyszczącymi oczami.

– To koniec! – krzyknęła. – Koniec wojny. Niemcy skapitulowały.

Inge z sąsiadką zaczęły się śmiać i płakać z ulgi. Inge marzyła o pokoju już od tak dawna, iż chwilami zdawało jej się, że już się go nie doczeka. Wbiegła do domu, żeby przekazać nowinę Hanne i rodzicom. Frieda mocno uściskała Hanne. Ale w spojrzeniu, jakie rzuciła na Inge, pojawiła się nowa obawa. Wiedziała, że są tu obcy, związani z państwem, którego świat nienawidził, państwem, którego zbrodnie teraz w pełni wyjdą na jaw.

W następnych dniach Inge czuła na sobie spojrzenia mieszkańców, czasem, gdy przechodziła, nawet mali chłopcy przezywali ją na ulicy. Narastało ciche, wolno pogłębiające się napięcie; rysowała się jeszcze niewypowiedziana potrzeba wymazania niesprawiedliwości i trudów lat okupacji. Tylko Beatrice pozostała nieświadoma i radośnie paplała po duńsku z córką sąsiadów.

Hanne uspokajała ich, powtarzała, że dom jest wystarczająco duży, by pomieścić ich wszystkich. Prosiła, żeby zostali tak długo, jak chcą. Inge nawiązała przyjaźnię w tej małej społeczności, a Frieda i Albert byli zawsze ciepło witani. Ale wiedzieli, że to długo nie potrwa. Pewnego dnia rano późnym latem zaprzyjaźniona Dunka podjechała do Inge rowerem i powiedziała jej, że kilka ulic dalej władze zabrały z domu Niemkę z dzieckiem.

Rozeszła się pogłoska, że niemieccy uchodźcy są odsyłani do obozów i że duńscy obywatele nie mogą im dalej dawać u siebie schronienia. Policja zaczęła sprawdzać domy i wyłapywać wszystkich Niemców. Przyjaciółka ostrzegła Inge, że musi szybko wyjechać z rodzicami albo zostaną internowani. Inge słyszała o obozach, gdzie podobno panowały straszne warunki. Kiedy się raz zostało internowanym, nie było możliwości się stamtąd wydostać. Inge popatrzyła na córeczkę, znów w doskonałej formie, i przypomniała sobie jej nienaturalną cichość sprzed kilku miesięcy, bladą, chudziutką twarz, matowe włosy i nieruchome spojrzenie istoty, która wymykała się życiu. Poczowała ucisk w żołądku, strach chwycił ją za gardło. Nie chciała, żeby jej dziecko znów się znalazło na krawędzi śmierci. Wiedziała, że muszą wyjechać z Danii. Nie musiała przekonywać rodziców. W szaleńczym pośpiechu Inge zaczęła się pakować,

wrzuciła do torby sweterek wydziergany przez Hanne i rzeczy, które dostała od sąsiadów, życzliwych do tej pory, ale wiedziała, że to się w każdej chwili może zmienić.

Wyjazd nie był prostą sprawą. Wojsko brytyjskie kontrolujące Szlezwik-Holsztyn, niemiecką prowincję przy granicy z Danią, nie wpuszczało niemieckich uchodźców ze wschodu, ponieważ kurczące się zapasy żywności osiągnęły dramatycznie niski poziom. Zrozpaczona Inge zwróciła się do znajomej Dunki, która miała chłopaka w armii brytyjskiej. Ten zgodził się ich przeszmugłować do Niemiec na pokładzie trałowca, który miał wypłynąć do Kilonii. Przyjaciółka przyprowadziła Wiegandtom rowery, którymi mieli pojechać do portu. Inge jechała z Beatrice na kierownicy, a Frieda chwiała się na swoim przez całą drogę – wcześniej jechała na rowerze tylko raz w życiu.

Hanne strasznie płakała, kiedy wyjeżdżali. To było trudne rozstanie. Przez te ostatnie, spokojne miesiące stracili chęć do wyjazdu, myśleli, żeby tu zostać i spróbować się odnaleźć. Ale teraz się okazało, że nikt ich nie chce, nawet Niemcy.

Ludziom takim jak ja, którzy nie doświadczyli wojny, trudno pojąć, jak bardzo przetrwanie zależy od przypadku. Dorastałam, słuchając opowieści pokolenia moich dziadków o trudach, konflikcie, horrorze, ale zahaczały one o odległą przeszłość. Widziałam z bliska wojnę w Afganistanie jako dziennikarka. Czułam ciekawość i współczucie, zawsze jednak podszyte chłodnym profesjonalizmem. Wojna nie poruszała we mnie żadnych osobistych strun, dopóki nie zaczęłam tropić rodzinnej historii. Nigdy wcześniej nie myślałam o tym, że Wiegandtowie uciekli cudem, jak szczęśliwie się dla nich ułożył łańcuch okoliczności, że w ogóle udało im się wyjechać z Królewca. Inge mogła nie spotkać tamtego dnia sąsiada na schodach albo nie dostać numeru telefonu do mężczyzny, dzięki czemu dostali się na statek, który ich wywiózł z niebezpiecznego miejsca. Mogło im się nie udać uniknąć radzieckiej torpedy. Mogli się nie spotkać z Hanne, która uratowała życie mojej matce. I mimo tych wszystkich zbiegów okoliczności Albert, Frieda, Inge i moja mama wciąż mogli łatwo zginąć. Późniejsze pokolenia – ja, mój brat, moje bratanice – mogliśmy w ogóle nie zaistnieć.

Jak się później, po opowieściach Inge, dowiedziałam, moja rodzina miała nadzwyczajne szczęście, że udało jej się w ostatniej chwili zbiec z Danii. Pięć lat niemieckiej okupacji zmieniło w oczach większości Duńczyków wszystkich Niemców, nawet przesiedlone kobiety i dzieci, w obiekty nienawiści. Wprowadzenie przez Niemców stanu wojennego w sierpniu 1943 roku, żeby jeszcze bardziej zacieśnić kontrolę nad Danią, zrzuciło na ludność pełny ciężar okupacji. Opornych spotykał brutalny odwet: aresztowania i egzekucje. Skutkiem

tego całą powojenną Europą zawładnęło pragnienie rozrachunku, a Dania nie stanowiła wyjątku.

Zanim zaczęłam śledzić historię rodziny, zawsze uważałam Danię za jeden z tych nielicznych krajów, który może trzymać głowę wysoko, z przekonaniem, że zawsze postępował właściwie. Ocalił większość swej żydowskiej ludności, mimo nazistowskiej okupacji. Ponad siedem tysięcy ludzi ukrywało się lub przepłynęło morzem do bezpiecznej Szwecji; dzięki tej akcji z Zagłady ocalało dziewięćdziesiąt osiem procent duńskich Żydów^{k33}. Jednak dokładniejsze badania prawie zawsze niosą pewne niuanse. Właśnie miałam się dowiedzieć, że w tych ostatnich miesiącach wojny nawet Duńczycy przeszli na ciemną stronę.

Los mieszkańców Prus Wschodnich, którzy przyjechali do Danii, to historia mało znana i słabo udokumentowana. Niewiele pozostało z obozów, w których nigdy ich umieszczono, chociaż okres okupacji jest jednym z najlepiej zbadanych. Zachowała się pewna znacząca pamiątka na południowo-zachodnim krańcu kopenhaskiego Vestre Kirkegård, ogromnego cmentarza zajmującego pięćdziesiąt cztery hektary. Z dala od szerokich alej, obramowanych eleganckimi dębami i zadbanymi kwietnikami, znajduje się zapomniany zakątek usiany setkami identycznych szarych, kamiennych krzyży, małych i uderzająco prostych. Na każdym widnieje tabliczka z wieloma nazwiskami. To masowe groby uchodźców z Prus Wschodnich.

Tramwajem, a potem autobusem podjeżdżam do parku, gdzie w kopenhaskiej dzielnicy Kongens Enghave mieści się cmentarz. Wiedziałam, czego szukam, ale nie do końca zdawałam sobie sprawę, gdzie to znaleźć. Chodziłam po cmentarzu przez ponad godzinę i zaczęło już zmierzchać, gdy wreszcie znalazłam miejsce, w którym Duńczycy pochowali Niemców. Na ziemi ciągle jeszcze leżał śnieg i martwiłam się, że zrobi się ciemno, zanim znajdę drogę do wyjścia. Nad kwaterą dominował wysoki żelazny krzyż z datą, która nie wymagała szerszych objaśnień: 1939–1945. U jego stóp leżał duży wieniec, nadal zielony, złożony najwyraźniej podczas oficjalnej ceremonii, przyozdobiony wstążkami w kolorach niemieckiej flagi. Ktoś próbował oddać hołd, ale surowość krzyża kontrastowała z sąsiednimi okazałymi pomnikami.

O niemieckim cmentarzu w Kopenhadze przeczytałam przypadkiem w artykule w niemieckim czasopiśmie. Wówczas nie znałam historii uchodźców z Prus Wschodnich. Po opowieści babci o ucieczce szukałam najdrobniejszych szczegółów o „Gustloffie”, o innych zatopionych statkach i o losie tysięcy ludzi, którzy zginęli, zanim nawet dotarli na brzeg morza, z powodu niebezpieczeństw czyhających po drodze. Zakładałam, że jeśli uchodźcy przetrwali tę podróż, najgorsze mieli za sobą. Myliłam się jednak. Zastanawiałam się, dlaczego tak

wielu z nich zmarło w Danii, w tej bezpiecznej przystani, do której docierali z tak wielką nadzieją.

Na Vestre Kirkegård pochowano około dziesięciu tysięcy Niemców. Część z nich to żołnierze, którzy zginęli w ostatnich tygodniach wojny, w większości młodzi, szesnasto-, siedemnastoletni chłopcy. Ale ponad połowę z nich stanowili uchodźcy z Prus Wschodnich, głównie kobiety i dzieci, które szukały w Danii schronienia. Większość osłabiła podróż podjęta w koszmarną zimę, bez jedzenia, odpowiedniego schronienia, przy ciągłej groźbie ataku.

Zrobiło się jeszcze zimniej. Dreptałam w miejscu, żeby rozgrzać stopy, i zacierałam dłonie, bo zaczynały mi już drętwieć palce. Odgarnęłam śnieg z jednego krzyża i z dużej tablicy nad ziemią odczytałam nazwiska: Peter, Adelheid, Christa, Gisela i kilka osób bezimiennych, podpisanych tylko *Kind*, „dziecko”. Na kilku krzyżach widniała data z lutego lub marca 1945 roku, krótko przed kapitulacją Niemiec, ale od kwietnia zgony stały się jeszcze liczniejsze. Większość pochowanych miała mniej niż trzy lata, dzieci, których imiona wypisano zbiorowo, bez podawania dokładnej daty narodzin. Kąt niemiecki, jak nazywali go miejscowi, był cmentarzem przeważnie dzieci.

Zatrzymałam się przy innej zbiorowej mogile, podpisanej tylko „nieznany niemiecki uchodźca”, a poniżej imię dziewczynki, Elsbeth Damaschke, urodzonej 10 maja 1943 roku, zmarłej 27 lipca 1945 roku. Miała tylko dwa lata, dwa miesiące mniej niż moja matka, kiedy przybyła do tego kraju. Przyklękłam na śniegu przy krzyżu, chociaż zimno i wilgoć przenikały mi przez ubranie. Żałowałam, że nie wzięłam nic, co mogłabym złożyć na grobie ku pamięci tego dzieciątka pogrzebanego samotnie, bez matki, u boku uchodźcy, którego nazwiska nigdy nie poznamy. Nie udało mi się powstrzymać łez. Nadal nie jestem pewna, co poruszyło mnie najbardziej, czy ten nagły smutek z powodu faktu, że się za to wstydziłam; czy niestosowność tego, by nawet po tylu latach płakać nad Niemcem, choćby i dzieckiem, w grobie z czasu drugiej wojny światowej. Nie potrafiłam tak po prostu odejść, więc napisałam na śniegu słowa *in Erinnerung*, ku pamięci.

Duńczycy mieli choć tyle przyzwoitości, by pochować potomstwo wroga w poświęconej ziemi, ale później się dowiedziałam, że to niemiecka społeczność w latach sześćdziesiątych zebrała pieniądze i ustawiła te krzyże. Dalsze badania losów wysiedlonych z Prus Wschodnich dzieci przyniosły statystyki, które stanowiły dość ponurą lekturę. Ponad jedna piąta tych, które w 1945 roku wylądowały na duńskim brzegu, zmarła w ciągu roku, ginęły tysiącami w ciągu kilku miesięcy od przybycia. Miały za sobą często kilkudniową podróż, podczas której mogły zamarznąć na ponaddwudziestostopniowym mrozie. Uniknęły Armii Czerwonej, nie zginęły od bomb ani torped. Ostatecznie zabił je głód i najzwyczajniejszy brak opieki.



Vestre Kirkegård

Nie były to po prostu ofiary ucieczki. Lakoniczne oświadczenie, jakie w marcu 1945 roku złożyło duńskie towarzystwo medyczne, w pewnym stopniu daje wyjaśnienie: „Ze względu na okoliczności uważamy, że nie jesteśmy w stanie zapewnić żadnej pomocy medycznej niemieckim cywilom”. Stanowiska tego wprawdzie nie powtórzono po niemieckiej kapitulacji w maju, ale z wciąż żywymi wspomnieniami prześladowań w czasie okupacji niemieckiej większość duńskich lekarzy nadal się do niego stosowała i wstrzymywała od leczenia. Nawet Czerwony Krzyż aż do 1949 roku nie zapewniał wsparcia medycznego wysiedlonym z Prus Wschodnich, chociaż szacuje się, że w pierwszym roku od przybycia zmarło siedem tysięcy dzieci. Tę liczbę opinii publicznej ujawniła Kirsten Lylloff, emerytowana immunolożka, a ustaliła ją po zbadaniu losu niemieckich uchodźców w Danii.

Umówiłam się na spotkanie z Kirsten, gdy przeczytałam o jej badaniach nad wschodniopruskimi uchodźcami w Danii. Gdy wyjaśniłam jej moje związki z ich

historią, zgodziła się ze mną spotkać w Kopenhadze. Kirsten była miłą, siwowłosą Dunką po siedemdziesiątce, która na emeryturze postanowiła dokończyć doktorat z historii. Na historię duńskiego kryzysu ze wschodniopruskimi uchodźcami natknęła się przypadkiem. W dzieciństwie słyszała wiele opowieści o trudach życia pod okupacją i na początku zajęła się tym tematem z okresu drugiej wojny światowej; myślała, że usłyszała wystarczająco dużo. Ale ciekawość historyka i uważność naukowca doprowadziły ją do niezwykłego odkrycia. Nad filiżanką kawy w kopenhaskiej Bibliotece Królewskiej opowiedziała mi, jak znalazła groby niemieckich dzieci w Aalborgu na północy Jutlandii, gdzie przez wiele lat mieszkała i pracowała. Postanowiła sprawdzić akta kościelne, żeby poznać dokładne liczby i przyczyny śmierci z aktów zgonu. To, co znalazła, ją przeraziło.

Patrząc na liczby zmarłych dzieci, Kirsten założyła, że musiała wybuchnąć jakaś niezdiagnozowana epidemia, ale akty zgonów opowiedziały jej inną historię. Wymienione tam przyczyny obejmowały odrę, biegunkę, zapalenie płuc, a w przypadku dzieci poniżej roku – głównie niedożywienie. Wszystkie te choroby są uleczalne. Co więcej, wyjaśniła mi, w Danii nigdy nie zabrakło jedzenia, nawet w latach wojny. Problem tkwił w racjach przyznanych uchodźcom. Każdy dorosły człowiek dostawał dzienny przydział do dwóch tysięcy kalorii, dostatecznie dużo dla jednej osoby. Ale dzieciom poniżej ósmego roku życia – czyli większości wysiedlonych – przysługiwała zaledwie jedna trzecia tego. Dawało to średnio sześćset sześćdziesiąt pięć kalorii dziennie, o wiele za mało dla dzieci w tym wieku. No i jeszcze kwestia jakości samego jedzenia: żytni chleb, ziemniaki, dwadzieścia gramów masła i ser. Brakowało składników odżywczych i różnorodności potrzebnych dzieciom. Niemowlęta dostawały tylko pół litra mleka.

– Jeśli tylko tyle można dać dziecku, to ono umrze – podsumowała Kirsten.

Szczególnie zagrożone były dzieci poniżej piątego roku życia. Niedożywione i mieszkające w zatłoczonych kwaterach, często zapadały na różne choroby, była to kwestia miesięcy lub tygodni. Tutaj wyłania się najbardziej szokujący aspekt tej historii. Kirsten znalazła potwierdzenie w źródłach, że duńscy lekarze po prostu odmawiali leczenia wygłodniałych, chorych dzieci w obozach. Tych, którzy się wyłamywali, czekał publiczny ostracyzm. Wyniki badań Kirsten są niepodważalne: dzieci umierały wskutek zaniedbania.

– Dla wielu Duńczyków Niemcy nadal byli wrogami – powiedziała – nawet ci skrajnie chorzy, czyli najczęściej najmniejsze dzieci.

Z tym aspektem historii Kirsten, sama również lekarka, nadal nie potrafi się uporać.

– Po wojnie Duńczycy chcieli po prostu zapomnieć o tych dwustu pięćdziesięciu tysiącach ludzi, którzy szukali u nas schronienia. Nikt ich nie chciał. Potem, kiedy historycy opracowywali ten epizod, wygładzali go i wygładzali, aż w końcu zmienił się w opowieść o tym, jak to Duńczycy uratowali tych Niemców. Wstyd został po prostu wymazany. Historię tych dzieci i ich matek trzeba stale opowiadać i przypominać.

Następnego dnia rozmyślałam nad tym, co opowiedziała mi Kirsten. Moje poszukiwania przygotowały mnie na trudną prawdę, na moralne uchybienia, w tym te, których dopuścili się moi krewni. Zamiast tego jednak odkryłam historię ofiar niemieckich, tragedię zagubioną w morzu większych zbrodni popełnionych przez ich kraj. Nie jestem pewna, co było trudniej sobie przyswoić – ogrom nienawiści odczuwanej wobec tych Niemców czy fakt, że mimo wszystko nie tak trudno ją było zrozumieć. Chyba właśnie to ludzie mają na myśli, mówiąc o grzechach ojców, które nawiedzają ich potomstwo, gdy każą niemieckim dzieciom, takim jak moja matka, dźwigać ciężar tożsamości, czyniącej z nich pariasów z samej tylko racji urodzenia.

1. Plebiscyt zorganizowano zgodnie z ustaleniami traktatu wersalskiego. [\[wróć\]](#)
2. Późniejszych przybyszów kierowano prosto do Kopenhagi i obozów dla internowanych. [\[wróć\]](#)

**CZĘŚĆ
CZWARTA**

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Rok zero

We wspomnieniach babci była luka, pustka w czasie, który nazywała „najgorszym ze wszystkich”, w tych pierwszych latach po wojnie. Kiedy próbowałam rozmawiać z nią o tym roku czy dwóch bezpośrednio po przybyciu Wiegandtów do północnych Niemiec, jej odpowiedzi stawały się jeszcze bardziej lakoniczne, niż kiedy rozmawialiśmy o pobycie w Danii; wyglądało to tak, jakby się coś w niej zamykało. Z tamtego okresu pozostało bardzo niewiele materialnych śladów. Przepadły, jak podejrzewam, a może zostały celowo zniszczone, niemile widziane wspomnienia o tym, o czym tak usilnie próbowała zapomnieć.

Zacząłam uważać tamte lata za coś, czego babcia raczej nie pamięta. Zwróciłam się więc do matki i próbowałam odtworzyć obraz tego okresu i zebrać nieco faktów. Im bardziej wnikałam w historię babci, tym więcej miałam pytań. Chciałam wiedzieć, jak wyglądał ów czas dla Alberta, dla Friedy, dla mojej wówczas malutkiej matki. W dzieciństwie mama opowiadała mi różne historyjki o dziadkach, szczególnie o Friedzie. Ale to nie historyjek teraz pragnęłam. Pytałam, czy pamięta światło, zapachy, co jadła, czym się bawiła. Te drobne, dawno zapomniane detale, nieznaczące same w sobie, ale tak istotne dla mnie w kontekście tej opowieści, wracały do niej przebłyskami, często niespodziewanie: kiedy piłyśmy kawę, kiedy obserwowałyśmy jej wnuczki, na ulicy, na widok dziewczynki, która chwyciła dziadka za rękę. Jej wspomnienia są w najlepszym razie mgliste, migawki ze świata oglądanego oczami małego dziecka – miała zaledwie trzy, cztery lata. Próbowała sobie przypominać, ile mogła, z lat, do których rozpamiętywania nie była zachęcana.



Inge i Beatrice

– Pamiętam niski budynek na końcu alejki – mówiła. – Pamiętam matkę szczotkującą mi włosy, i że spałyśmy w jednym łóżku. Trzymałam dziadka za rękę, kiedy wychodziliśmy zbierać liście i jagody. Potrzebowałam ich dla skóry – miałam rany. Mówili, że to od złego odżywiania. Pamiętam, że wiecznie było zimno.

Gdy te szczegóły do niej wracały, myślałam o własnych wspomnieniach z podobnego okresu. Pierwszy dzień w przedszkolu, spojrzenie na najlepszego przyjaciela, który stał na pudle w rogu klasy i knuł naszą ucieczkę, dodatkowy wzrost dawał mu większy autorytet. Jak niosłam kwiaty na ślubie ciotki, miękkość różanych płatków między palcami; kroczyłam nawą tak długą, że wydawała się nie mieć końca; wspomnienia z życia wśród przywilejów i obfitości. Wspomnienia mojej matki opowiadały zupełnie inną historię. Przypominała sobie drapiącą, szorstką wełnę pończoch, wspólne łóżko z matką w długim, niskim

wiejskim domu na końcu alejki, zabawę, w którą bawiła się z Friedą, nazywały ją „Grand Hotel”.

Wyobraziłam sobie tę scenę na podstawie jej opisu. W mrocznym pokoju Frieda nachyla się nad małą blondyneczką, która siedzi poważnie nad pustym talerzem przy zwykłym stole kuchennym. Dokoła rozłożono dwanaście sztuców nie od kompletu, chusteczka rozłożona na kolanach zastępuje serwetkę. W czasie tej zabawy Frieda uczyła wnuczkę zachowania przy stole. Nóż do ryb zaginął, zastępowała go drewniana klamerka do bielizny.

Gdy coraz głębiej grzebałam w rodzinnej historii, byłam przez chwilę opętana wszystkim, co wschodniopruskie. Pragnęłam uchwycić sens poza wspomnieniami babki i szukałam szczegółów, które mogłyby mi pomóc zrozumieć utracone życie mojej rodziny. Kiedy jeszcze studiowałam, matka dała mi zaczytany egzemplarz *Doennigs Kochbuch*, biblii każdej wschodniopruskiej *Hausfrau*. Gruba, licząca sześćset czterdzieści stron bez ilustracji, to książka kucharska z czasów, zanim stały się one błyszczącymi podręcznikami stylu życia. Na wyklejce cienkim pismem wypisano „Frieda Wiegandt”. Przepisy są dziwne, tak mocno przywiązują nas do przeszłości. Podróżnicy i uciekinierzy na równi przenosili je przez wieki, odtwarzając w smakach wspomnienie miejsca, które nazywali niegdyś domem.

Było to niepozorne wydanie oprawione w czerwień, bez obwoluty; zwykło się otwierać na najczęściej używanych stronach, gdzie plamy świadczyły o latach intensywnego korzystania. Tekst powstał w 1899 roku i nigdy nie został zaktualizowany. Frieda musiała kupić ten egzemplarz długo po tym, jak Wiegandowie opuścili Królewiec, żeby zastąpić egzemplarz, który zostawiła; przypomnienie o czasach, kiedy zatrudniała kucharkę i mogła planować posiłki, nie poświęcając wiele uwagi kupowaniu mięsa i masła.

Po rozmowach z matką wyjęłam książkę, żeby podjąć próbę zrozumienia Friedy. Kartkowanie *Doennigs Kochbuch* przywracało, na przykład, zapachy i smaki mojego własnego dzieciństwa. *Rote Grütze*, kisiel z czerwonych owoców podawany z bitą śmietaną; *Mohnrouladen*, maślane zawijane bułeczki wypełnione marcepanem i makiem; *Kohlrouladen*, zwinięte liście kapusty nadziane cebulą i mieloną wołowiną, których zapach snuł się po naszym domu całymi dniami.

Mój wzrok przyciągnął przepis podkreślony ołówkiem: *Ragout von Hasen, Reh oder Hirsch*, ragout z zająca, sarny lub jelenia w sosie grzybowym, porcja na osiem osób; obok pismem Friedy dopisek *sehr gut*. Przeczytałam składniki, zauważyłam, że mimo pochwały Friedy strona jest czysta, najwyraźniej nietknięta zatłuszczoną ręką kucharki:

1 zając lub 1,5 kg sarniny
120 g palonego masła
Sól
Cebula
4 jagody jałowca
Warzywa na bulion
Woda
Czerwone wino

Na sos:
50 g masła
90 g mąki
Sok z cytryny
10 pieczarek
6–8 moreli
Pieprz cayenne
125 g mielonego mięsa na klopsy
Szpece

Były to składniki typowe dla tej książki, przeznaczone dla bogatej diety, w której koszty czerwonego mięsa, cukru, masła, śmietany, wina i brandy nie miały znaczenia. Jednak w tamtych powojennych latach, przynajmniej do połowy 1948 roku, kiedy wprowadzenie nowej waluty położyło kres czarnemu rynkowi i zaprowadziło pozory normalności w niemieckich sklepach – mięso i śmietana należały do rzadkich luksusów. Nawet jeśli przez lata trudna sytuacja Wiegandtów się poprawiła, prawie na pewno ragout z zająca z grzybami, porcja dla ośmiu osób, nie występowało w ich jadłospisie. Czy Frieda, gdy robiła notatki w biednych powojennych latach, przywoływała we wspomnieniach szczęśliwsze czasy w kraju i utracone życie?

A potem przypomniałam sobie inną opowieść mamy, z okresu, gdy nie miała jeszcze czterech lat. Dostała skądś królika, ukochanego, brązowego, ze zwisającymi, długimi uszami i wielkimi, wilgotnymi, ciemnymi oczami. Mieszkał na tyłach ogrodu. Nazwała go Peter, a on chodził za nią jak pies. Codziennie z Albertem wyruszała na poszukiwanie jagód, które uzupełniłyby skąpe posiłki, w drodze do domu zaś zrywała liście mlecza dla królika. Pewnego dnia zbierała z ojcem specjalne liście, które miały ją uleczyć ze szkorbutu, powszechnego wśród niedożywionych dzieci. Zerwała cały mlecz, jaki znalazła, ale po powrocie do domu nie mogła odszukać królika i nikt nie potrafił jej powiedzieć, co się z nim stało. Los zwierzaka zrozumiała dopiero, gdy tamtego wieczoru podano kolację.

Chociaż ich sytuacja materialna radykalnie się zmieniła, Wiegandtowie mieli względne szczęście, gdyż w przeciwieństwie do wielu wysiedlonych rodzin w tamtym czasie nie zostali rozdzieleni. Jak się później dowiedziałam, wynajmowali dwa pokoje w wiejskim domu w Blumenthalu, niewielkim miasteczku nieopodal Kilonii. Tylko na tyle było ich stać po sprzedaniu biżuterii przeszmuglowanej z Królewca w turbanach. Albert próbował znaleźć pracę, ale oferowano niewiele stanowisk i nikt nie chciał zatrudnić starszego, utykającego mężczyzny.

Sądząc po wspomnieniach matki, nadal się bardzo kochali, pomimo ubóstwa. Ale podczas wielu naszych rozmów zauważyłam, że to raczej Frieda, a nie Inge, zajmuje centralne miejsce w jej opowieściach. To rezolutna, wesoła Frieda, zawsze zdolna dostrzec pozytywną stronę sytuacji, opowiadała jej o życiu sprzed ucieczki, i to Frieda uczyła ją manier stosownych dla ludzi o wyższej pozycji. Kontrastowało to z wieloma wspomnieniami babci o czasach w Królewcu, kiedy była młodą matką, czule zajmującą się dzieckiem. Jej opowieści o uroczych zwyczajach mojej matki, jej pierwszych krokach i anegdoty, jak ta o zabawie kluczami z szafki Alberta, sugerowały bliską więź. Pomyślałam o lęku Inge o córkę, gdy leżały bliskie śmierci w szkolnej auli w Danii, o jej determinacji, by nie dać się internować w duńskim obozie. I nie mogłam się przestać dziwić, co sprawiło, że Inge znalazła się w tle życia córki. Próbowałam znaleźć praktyczne wyjaśnienie. Inge była młodsza, sprawniejsza, obrotniejsza. Jak wiele kobiet w jej sytuacji musiała stać się głównym zaopatrzeniowcem w rodzinie. Naturalnie przebywała więc dużo poza domem, wymieniając rzeczy za jedzenie, które powiększało ich skąpe racje. Wychowanie mojej matki spadło więc na Friedę, która stała się dominującą postacią w jej najwcześniejszych wspomnieniach. Mimo to byłam pewna, że kryje się za tym coś jeszcze i żeby to zrozumieć, musiałam lepiej zrozumieć świat, w którym się znalazły zaraz potem, jak wróciły z Danii.

Niemcy, do których Wiegandtom udało się przemknąć jesienią 1945 roku, nie przypominały miejsca, w którym wymarzyli sobie lepszą przyszłość. Była to ziemia niczyja, pełna głodnych, osieroconych i wysiedlonych ludzi. Bombardowania niemieckich miast na wielką skalę podczas wojny pozostawiły miliony bezdomnych i setki tysięcy dzieci bez rodziców, którzy by się nimi opiekowali. Większość infrastruktury i linii zaopatrzeniowych uległa zniszczeniu, co wywołało problemy z zaopatrzeniem w żywność, które szybko się przekształciły w kryzys. Nawet przed wojną zachodnie Niemcy produkowały zaledwie około czterdziestu procent potrzebnej żywności; podczas wojny nazistowskie błędy w zarządzaniu sprawiły, że kraj niemal całkowicie poległ na

importancie żywności z Belgii, Danii, Holandii i Francji. Potem, w czasie pokoju, zdany był wyłącznie na to, co przywieźli alianci; wkrótce nastał głód, a czarny rynek rozkwitł.

Niemcy podzielono na cztery strefy: brytyjską, amerykańską, radziecką i francuską. Trałowiec, na który Wiegandtowie wsiedli w Danii, dowiózł ich do Kilonii w strefie brytyjskiej. Przyjaciółka Friedy z Królewca, mieszkająca na przedmieściu z kuzynką, zaoferowała im mieszkanie na kilka tygodni. Kilonia, ruchliwy port, była wówczas mocno zniszczona, pocerniałe fasady budynków straszyły nierównymi szczerbami od bomb, które niemal je zrujnowały. Większość starego centrum zrównano z ziemią, po obu stronach ulic leżały hałdy gruzu. O świcie i o zmierzchu, kiedy prawdopodobieństwo aresztowania za plądrowanie było najmniejsze, ludzie przetrząsali ruiny w poszukiwaniu parapetów, ołowianych rur i odzieży. Kiedy człowiek nie ma nic, wszystko ma swoją wartość.

Większość rodzin żyła w głębokiej nędzy, utraciwszy domy, a często też mężczyzn, jedynych żywicieli. Największym problemem był brak jedzenia, te niedostatki utrzymywały się aż do 1948 roku. Chociaż racjonowanie było powszechne w wielu krajach w Europie, średnie spożycie wśród niemieckich cywilów jesienią 1945 roku wynosiło zaledwie tysiąc dwieście kalorii dziennie, mniej niż połowę średniej w Wielkiej Brytanii^{k34}. Surowa zima 1946 roku obniżyła racje w strefie brytyjskiej do poziomu głodowego. Inną kwestię stanowiło ogrzewanie. Zniszczenie infrastruktury i brak siły roboczej doprowadziły do poważnych niedoborów węgla, więc ludzie palili wszystkim, co im wpadło w ręce. Albert nabawił się kaszlu, którego nie mógł się pozbyć. Mama pamięta, jak chodziła z nim wolno, ponieważ nie nadążał za jej trzyletnimi nóżkami. Dla tych, którzy stracili domy i przedsiębiorstwa, dostępne były rekompensaty, ale to wymagało dokumentów, a Alberta okradziono na nabrzeżu w Królewcu, gdy zniknęła jego skórzana torba. Przy braku dokumentów należało przedstawić świadków. Być może znalazłby jakichś, ale stracił wolę walki.

Głód i brak podstawowych artykułów nie były jednak ich największymi problemami. Stanęli w obliczu bardziej podstępnej przeszkody, trudniejszej do zdefiniowania, chociaż myśleli, że została za nimi, gdy postanowili opuścić Danię. Wiegandtowie byli Niemcami z pochodzenia i obywatelstwa, ale także Prusakami, a więc w czasie, gdy ludzie ledwie mogli się zająć swoją najbliższą rodziną, byli uchodźcami z miejsca, do którego mieli nigdy nie wrócić, w kraju, który ich nie chciał. Napływ wysiedleńców ze wschodu do Niemiec doprowadził prawie do załamania i tak już trudnej sytuacji i ich obecność budziła niechęć. Ich kultura i akcent nieznacznie się różniły od języka reszty rodaków, ale to wystarczało, żeby ich izolować.

Niemcy cierpiały na kryzys własnej tożsamości. Cały świat poznał realia Holokaustu i grozę obozów. Trudno określić moment, kiedy zagłada Żydów i Romów, osób z niepełnosprawnościami, homoseksualnych i innych grup niepasujących do nazistowskiej ideologii, przestały być tajemnicą poliszynela. Między rokiem 1945 a 1946 publiczności we wszystkich czterech strefach okupacyjnych pokazywano dziesięć filmów, opartych na dokumentalnych ujęciach z obozów. Najczęściej wyświetlanym był amerykański dokument *Die Todesmühlen*, czyli „Młyny śmierci”. Przeprowadzane potem badania wskazują, że wbrew oczekiwaniom filmy te wcale nie doprowadziły z dnia na dzień do masowej skruchy. Wielu ukrywało się za zdaniem: „Nie miałem pojęcia”.

Historyczka Ulrike Weckel twierdzi, że wstyd z trudem torował sobie drogę. Te ankiety, uważa, pozwalają wyciągnąć tylko jeden pewny wniosek: nikt nie sugerował, że okropności pokazane w filmach nie były prawdziwe. To pokazuje, że Niemcy albo już podejrzewali istnienie tych zbrodni, albo co najmniej uważali reżim za zdolny do ich popełnienia ^{k35}.

Nie wiem, czy Albert, Frieda lub Inge kiedykolwiek widzieli te filmy. Matka powiedziała mi, że pierwszy film dokumentalny o obozach, konkretnie o Dachau, zobaczyła szesnaście lat później we francuskiej telewizji. Przez wiele dni nie mogła spać.

W oczach świata Niemcy były pariasem, państwem, którego obywatele stracili prawo nazywania się ludźmi. Pokój, narzucony przez siły alianckie oszołomionej ludności o wypranych mózgach, wielu mógł przynieść ulgę, ale mimo to nie wszystkim odpowiadał. Władze alianckie uważały, że trudności życia codziennego mogą wśród społeczeństwa poddawanego indoktrynacji przez ponad dziesięć lat stać się potencjalną pożywką dla odrodzenia ekstremizmu, a tego chcieli uniknąć za wszelką cenę. Tymczasem stosunki między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim, napięte już w czasie wojny, szybko się pogarszały. Główną przyczyną były przeciwstawne ideologie: Stalin postrzegał interwencję Ameryki w Europie jako próbę rozszerzenia jej kapitalistycznych rynków, z kolei Stany Zjednoczone uważały radzieckie dążenia do rozszerzenia komunizmu na resztę Europy za zagrożenie dla demokracji. Pod koniec 1945 roku nacisk, przynajmniej w strefach amerykańskiej i brytyjskiej, przeniesiono na odbudowę. Dla Brytyjczyków oznaczało to „wykorzystywanie pokoju”, dla Amerykanów zaś powstrzymanie ekspansji komunizmu.

W niemieckim społeczeństwie ówczesnie dominowały kobiety, to od nich w największym stopniu zależało codzienne przetrwanie rodziny. Wynikało to z konieczności. Ludność, zdziesiątkowana przez wojnę, była wtedy zdecydowanie żeńska: w 1946 roku liczba kobiet między dwudziestym a dwudziestym dziewiątym rokiem życia przewyższała liczbę mężczyzn w tym samym przedziale

wiekowym w stosunku niemal dwa do jednego^{k36}. Taka sama zmiana zaszła w domu Wiegandtów. Zdrowie Alberta tak się pogorszyło, że troska o jedzenie, mieszkanie i opał spadła na Friedę i Inge. Mężczyźni, którzy przeżyli wojnę, często wracali okaleczeni fizycznie i psychicznie, co oznaczało, że mieli problemy w codziennym życiu. Wzięci do niewoli przez Związek Radziecki wciąż nie odzyskali wolności. Wielu z tych żołnierzy wróciło w 1946 roku, ale prawie dziesięć tysięcy wypuszczono dopiero pod koniec 1955 roku^{k37}.

Jednak kobiety, które tworzyły podstawę powojennych Niemiec, często zmagaly się z własnymi traumami; ukrywały je przez dziesięciolecia i żyły z bliznami. Podczas ofensywy radzieckiej w Prusach Wschodnich i natarcia na Berlin około dwóch milionów Niemek zostało zgwałconych, często wielokrotnie, bez względu na wiek^{k38}. Najstarsza znana ofiara miała osiemdziesiąt pięć lat, najmłodsza – zaledwie siedem.

Trudno oszacować liczbę dzieci urodzonych z tych gwałtów, o pochodzeniu skrywanym ze wstydu. Philipp Kuwert, badacz traum i szef oddziału psychiatrii i psychoterapii szpitala uniwersyteckiego w Greifswaldzie w północno-wschodnich Niemczech, który prowadził badania wpływu wojennych gwałtów na Niemki, ocenia tę liczbę na dwieście tysięcy^{k39}. Prusy Wschodnie, pierwszy region Niemiec, który wpadł w ręce Rosjan, doświadczył najbrutalniejszej fali tego odwetu. Trwała ona po zdobyciu Berlina przez siły radzieckie i pod ich okupacją. Napędzała ją przede wszystkim żądza zemsty za gwałty i inne okrucieństwa, jakich wojska niemieckie dopuszczały się na radzieckich cywilach, i za przemoc seksualną w obozach albo na terytoriach okupowanych. Jednak ponownie zapłaciły za to kobiety, a nie sprawcy. Kobiety odhumanizowane w ten sposób nie były tylko etnicznymi Niemkami, chociaż stanowiły zdecydowaną większość. Niepohamowana przemoc dotknęła również Żydówki, Polki i Rosjanki niedawno wyzwolone z obozów. Napaści seksualne zawsze jest trudno policzyć. Niektórzy lekarze zajmujący się ofiarami twierdzą, że nawet dziesięć procent nie przeżyło męczarni; tym, które przetrwały, kazano zapomnieć^{k40}.

Milczenie zawsze dominowało w kobiecym doświadczeniu wojny. Zapewniało przetrwanie rodziny i utrzymanie pozorów normalnego społeczeństwa, nawet jeśli dotkniętego okrucieństwami. W powojennych Niemczech milczenie, które krępowało te kobiety przez dziesięciolecia, nie wynikało z trudów wojny, ale z wymogów pokoju, podczas którego swoją rolę odgrywały wstyd, społeczne tabu i powojenna niechęć do rozwodzenia się nad niemieckimi ofiarami wojny.

Gwałty pozostawały tematem tabu przez dziesięciolecia. Kuwert w ramach badań odszukał niektóre ofiary i skłonił je do podzielenia się swoimi historiami. Była wśród nich m.in. Ruth Schumacher, zaledwie jedenastoletnia w kwietniu

1945 roku, kiedy grupa radzieckich żołnierzy znalazła ją w kryjówce w piwnicy zbombardowanego domu w Halle-Bruckdorf na wschodzie Niemiec i wielokrotnie zgwałciła. Przez te wszystkie lata zwierzyła się z tego jedynie swojemu mężowi ^{k41}.

Ponad sześćdziesiąt lat później nadal wyraźnie pamięta ból i twarze napastników. „Wspomnienia wciąż do mnie wracają”, powiedziała. „Czego takiego nigdy nie zapomnisz. Czasem, kiedy o tym mówię, budzę się w nocy zapłakana, z krzykiem. Nigdy, przenigdy tego nie zapomnisz”.

Po napaści Ruth nie mogła mieć dzieci. Wiele jej przyjaciółek także zostało zgwałconych. Ale w następnych miesiącach i latach nigdy o tym nie mówiły. Opisała to jako „kodeks milczenia”, cenę, jaką Niemki czuły się zobowiązane zapłacić za zbrodnie swojego narodu.

„Moje sumienie było wystarczająco obciążone”, wyjaśnia. „Nie chciałam tego pogorszyć”.

Nic nie ilustruje tego lepiej niż dziennik dziennikarki Marty Hillers z życia pod radziecką okupacją, *Kobieta w Berlinie*, i publiczna reakcja na jego wydanie ^{k42}. Autorka do końca życia żałowała decyzji o anonimowej publikacji w 1953 roku. Dziennik opisuje przeżycia kobiety podczas fali seksualnej przemocy, która dotknęła Berlin wiosną 1945 roku, i po raz pierwszy ukazał się w angielskim przekładzie. Po niemiecku wydano go w Szwajcarii w 1959 roku. Opisuje on liczne gwałty, których świadkiem była autorka, i te, których ofiarą padła ona sama tuż po zwycięskiej ofensywie radzieckiej. Bez uciekania się do stereotypów odmalowuje bardzo ludzki obraz zarówno sprawcy, jak i ofiary. Z konieczności ofiara nawiązuje relację z radzieckim majorem, sprzedając ciało za jedzenie i ochronę. Major, chociaż akceptuje transakcję, wciąż jest ukazywany jako przyzwoity człowiek, w przeciwieństwie do wielu swoich towarzyszy.

Hillers opisuje, jak podczas tamtych miesięcy kryzysu kobiety znosiły gwałt jako codzienne doświadczenie, traumę, o której mówiły i z którą próbowały sobie nawzajem poradzić ^{k43}. Jednak kiedy zapanował pokój i żołnierze wrócili z wojny, rozmowy ustały, a cierpienie kobiet skazano na zapomnienie. W Niemczech w 1959 roku dziennik napiętnowano jako oczerniający honor niemieckich kobiet; anonimową autorkę krytycy oskarżali o bezwstydną i niemoralną, a Hillers poprosiła, by za jej życia więcej nie wydawano dziennika. Książkę wznowiono ponownie dopiero dwa lata po jej śmierci w 2003 roku, tym razem ku powszechnemu uznaniu; wreszcie też ujawniono tożsamość autorki. Chociaż niektórzy powątpiewali, czy dziennik mówi prawdę o jej osobistych doświadczeniach albo czy nie został miejscami zbeletryzowany, prawdziwości tematu nigdy nie podważano.

Chociaż gwałty ustały, gdy sytuacja w kraju się ustabilizowała, nie ustało seksualne wykorzystywanie, aczkolwiek niekoniecznie przemocą. Na kwitjącym czarnym rynku, nie mając środków na zakup żywności dla siebie lub najbliższych, kobiety płaciły swoimi ciałami. W ówczesnym społeczeństwie ludzie żyli dzięki rozsądkowi i przeżywali dzięki swojemu charakterowi. Bez wsparcia systemu, do którego mogli się odwołać, milczenie stało się strategią przetrwania.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Fałszywi przyjaciele

Nowe życie Wiegandtów w Niemczech naznaczały potrzeby. Ulice Kilonii i Hamburga, miast, najbliżej których mieszkali, okalały starannie usypane hałdy gruzu, jakby dla powstrzymania destrukcji. Przypominały o wojennych nalotach, które spadały na ludność jak wyrok, ale także o nowych zwyczajach, które się z owych gruzów zrodziły. Do codzienności należały ubóstwo i wysiedlenie; dzieci uczono poszukiwać jedzenia, starannie też gromadzono kawałki węgla, a prowizorki okazywały się trwałe. Stałym towarzyszem był głód, nękał ludzi podczas ich codziennych obowiązków i nie opuszczał nawet we śnie, gdy śnili o posiłkach sprzed wojny.

Adaptacja do tego nowego życia była walką, którą Wiegandtowie z trudem by przetrwali, gdyby nie nieoczekiwana pomoc. Kilka tygodni po ich przybyciu do Niemiec jesienią 1945 roku za pośrednictwem Czerwonego Krzyża dotarł do nich list od Dorothei. Zaadresowany był do Inge. Dorothea próbowała dowiedzieć się o ich losach, odkąd odebrała list Inge wysłany z Danii, jedyny, który do niej doszedł. Było to utęsknione przypomnienie, że nie są całkowicie pozbawieni przyjaciół; list oferował też bardziej praktyczną pomoc, gdyż zawierał dziesięć tysięcy marek.

„Daj te pieniądze ojcu”, pisała Dorothea. „Pomogą mu stanąć na nogi”.

Dla Wiegandtów, znajdujących się w obliczu kompletnej nędzy, dar Dorothei był kołem ratunkowym. Nie wiedzieli, że posłała im prawie wszystkie pieniądze, jakie jej w ogóle zostały.

Albert, Frieda, Inge i Beatrice nie spędzili osobno nawet jednego dnia, odkąd Inge wróciła do rodziców z Berlina niemal cztery lata wcześniej. Jest więc ironią losu, że ów niespodziewany dar od Dorothei stał się przyczyną rozstania i rozpoczął najtrudniejszy rozdział w życiu Inge.

Szczodrość Dorothei dała Albertowi szansę na odbudowanie choć w pewnym stopniu statusu i majątku, jaki straciła rodzina. Jego stary przyjaciel zastanawiał się nad otwarciem nowej gorzelni na południu Niemiec. Napisał do Alberta z propozycją stanowiska dyrektora w zamian za zainwestowanie

w przedsięwzięcie, niestety, ta szansa pozostawała poza jego zasięgiem. Jednak z pieniędzmi Dorothei Albert znów nabrał nadziei i ponownie napisał do przyjaciela. Kilka dni później otrzymał odpowiedź i zaproszenie, by wraz z Friedą odwiedził potencjalne siedziby w Nadrenii i Frankfurcie; podróż miała im zająć ponad cztery miesiące. Wiegandtowie nie mogli sobie pozwolić na odrzucenie takiej propozycji i z nowym optymizmem wyruszyli w drogę, zostawiając córkę z dzieckiem w pokojach wynajętych w Blumenthal.

Tamte miesiące okazały się dla Inge bardzo trudne. Została całkiem sama z małą córeczką, mając do towarzystwa jedynie żonę gospodarza. Mimo że ludzie kładli się wtedy spać wcześniej, żeby oszukać zimno, w ciemne, zimowe wieczory samotność szczególnie im dokuczała. Bez przyjaciół, do których mogłaby się zwrócić o pomoc, walczyła z trudnościami wychowywania małego dziecka przy tak skąpych zasobach, pogarszanych przez nasilający się niedostatek jedzenia. Inge często myślała o Dorothei. List wysłany do Wiegandtów za pośrednictwem Czerwonego Krzyża zawierał adres w Ahrensburgu, miasteczku leżącym niedaleko rodowej siedziby von Schimmelmannów, gdzie Dorothea mieszkała na początku pierwszego małżeństwa. Ahrensburg, podobnie jak Blumenthal, leżał w strefie brytyjskiej, chociaż po przeciwnej stronie Hamburga, o trzy godziny drogi od niego. Inge wciąż na nowo odczytywała list, owładnięta pragnieniem zobaczenia starej przyjaciółki. Kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem 1945 roku znów napisała do Dorothei, żeby powiedzieć jej, jak bardzo chciałyby przyjechać i się z nią zobaczyć. Po trzech dniach odebrała zachęcającą odpowiedź: „Moje najdroższe dziecko, przyjeżdżaj jak najszybciej. Twoja Mütterchen”.

Drugie małżeństwo, dla którego Dorothea tyle zaryzykowała, nie przetrwało wojny. Jej obawy związane z Wolfgangiem okazały się uzasadnione, co ją zdruzgotało. Jakiś czas po klęsce pod Stalingradem – nie zachowały się żadne świadectwa kiedy dokładnie – został uznany za zaginionego. Najpierw myślała, że zginął, ale otrzymała wiadomość, że jest w radzieckiej niewoli. Informacja ta przyniosła jej ulgę – przynajmniej syn żył – ale sprawiła, że Dorothea głośniej niż zwykle zaczęła krytykować rząd. Podczas gdy Kurtowi udawało się ignorować brutalność nazistów, niedyskrecja i coraz częstsze publiczne wypowiedzi żony stawiały go w trudnym położeniu. Wkrótce stali się tematem biurowych plotek i koledzy z rządu po cichu ostrzegali Kurta, że jego żona powinna trzymać język za zębami.

W miarę jak rosło osamotnienie Dorothei, zaczęły się nasilać ataki depresji. Była kobietą niezwykle uczuciową, która potrzebowała kogoś kochać. Jej najstarszy syn nie żył, Wolfgang przebywał w radzieckiej niewoli, a Gisela, niedługo po wyjeździe Inge odesłana do ojca, do Monachium, żeby uchronić ją

przed nalotami, mieszkała daleko. Rozdzielona z dziećmi i z coraz bardziej obojętnym Kurtem, Dorothea przelała wszystkie uczucia na psy, dwa dogi niemieckie, które chodziły za nią krok w krok i warczały na Kurta, jak tylko się zbliżył.

Związek Kurta i Dorothei rozpadł się nieodwołalnie w marcu 1945 roku, kilka tygodni przed końcem wojny. Wówczas wszyscy członkowie rządu prywatnie uznawali, że Berlin musi upaść, chociaż Hitler wciąż był pewny siebie. Żywili nadzieję, że Amerykanie, których zemsty bali się mniej niż odwetu Rosjan, dotrą do niemieckiej stolicy przed Armią Czerwoną. Radzieckie dowództwo było jednak zdeterminowane, by tak się nie stało. Szanse na zwycięstwo Rosjan wzrastały z godziny na godzinę. Podobnie jak w Królewcu, cywilom nie pozwolono wyjechać, ale kluczowy personel administracyjny, włącznie z Kurtem, przeniesiono do Monachium, by nie wpadł w ręce Rosjan.

Pewnego wieczoru Kurt powiedział Dorothei, żeby się spakowała do wyjazdu następnego dnia rano. Świadoma, że jako arystokratyczna żona nazistowskiego urzędnika nie zostanie oszczędzona, przygotowała się do drogi. Kurt przy tym podkreślił, że pod żadnym pozorem nie może wziąć psów. Postawiona przed wyborem między dogami a mężczyzną, którego już nie kochała, kategorycznie odmówiła opuszczenia miasta. To przeważało szalę. Na początku kwietnia, nawet nie obejrzawszy się na żonę, Kurt wyjechał na południe, do Monachium, a Dorothea pozostała w Dahlem. Następnego ranka włożyła najcenniejsze futro, zapakowała psy na tylne siedzenie służbowego mercedesa i ruszyła na północny wschód, do Ahrensburga.

Cel wydawał się zaskakujący jak na kobietę, która opuściła swój dawny dom w atmosferze skandalu, chociaż jej motywy były łatwe do zrozumienia. Zakończenie związku z Kurtem kazało jej z nostalgią myśleć o pierwszych latach małżeństwa z Carlem-Ottonem. Zapomniała o jego skłonności do hazardu i długach, przytłaczających zasadach i osądach, przez które czuła się jak w pułapce, i wspominała tylko szczęśliwe chwile z przeszłości. Dzięki selektywnej pamięci uważała tamte lata za prostsze, z miłym mężem, długimi konnymi przejażdżkami i grupą bliskich przyjaciół. Carl-Otto ożenił się ponownie wiele lat temu i mieszkał teraz w Monachium z nową żoną i Gisłą, jednak ich starzy znajomi pozostali na miejscu, w wiejskich domach i rezydencjach, które od pokoleń zamieszkiwali.

Można uznać za naturalne, że zwróciła się o pomoc do przyjaciół z przeszłości. Nie przewidziała wszakże, że te same więzi i tradycje, które niegdyś ją z nimi łączyły, teraz ich rozdziela. Początkowo jechała bez przeszkód – jakimś cudem żaden funkcjonariusz jej nie zatrzymał, by zapytać o cel podróży – ale ludzie, na których pomoc liczyła, zaoferowali jedynie wzgardę. Oczekiwała, że znajdzie

schronienie w domu któregoś z nich, w Szlezwiku-Holsztynie, gdzie żyła z Carlem-Ottonem, i wystarczająco daleko na zachodzie, by nie groziła jej Armia Czerwona. Pewna kobieta, niegdyś jej bliska przyjaciółka, powiedziała, że nie mogą jej przyjąć, bo się szykują do wyjazdu, choć nigdzie nie było śladów pakowania. Starsza kuzynka okazała się nieco miłsza; zgodziła się ją przenocować, ale nalegała, by Dorothea wyjechała o poranku.

Życie w mieście tak wielkim i zróżnicowanym jak Berlin pozwoliło Dorothei zostawić za sobą rozwodowy skandal, ale w wąskich kręgach, do których ponownie próbowała wejść, ta sprawa wciąż się za nią ciągnęła. Dziś wydaje się niezwykle, że kobieta uciekająca samotnie w kraju na krawędzi upadku nie spotkała się ze współczuciem tylko dlatego, że piętnaście lat wcześniej popełniła towarzyskie faux pas, ale z taką właśnie rzeczywistością musiała się zmierzyć. Gdy jechała coraz dalej na zachód, wciąż zastawała zamknięte drzwi przyjaciół. Kiedy w mercedesie skończyła się benzyna, ruszyła pieszo, niosąc ciężkie futro, z wiernymi psami u boku. Postanowiła dotrzeć do Ahrensburga na własną rękę. Nie umiała wymyśleć innego celu. Miała nadzieję, że tam przynajmniej Wolfgang będzie w stanie ją znaleźć, o ile kiedykolwiek powróci.

Przybyła do miasteczka o świcie wyczerpana po całonocnym marszu. I tu wreszcie spotkała się z życzliwością, nie ze strony zamożnych znajomych, ale zwykłych mieszkańców, którzy ją pamiętali. Córka starego lekarza, wdowa, która wróciła w czasie wojny, zaproponowała jej pokój. Dorothea przeżyła w nim ostatnie tygodnie wojny i obserwowała brytyjskich żołnierzy wkraczających do miasta, podczas gdy Berlin zajmowali Rosjanie. Słyszała, że Kurt sam się oddał w Monachium w ręce Amerykanów. Przez kilka tygodni przetrzymywano go wraz z innymi nazistowskimi urzędnikami, ale nie skontaktował się z żoną. Wolfgang wciąż przebywał w niewoli. Dorothea pisała listy do brytyjskich wojskowych, którzy nadzorowali region, do Czerwonego Krzyża i do przyjaciół, którzy niegdyś mogliby pomóc, błagając o wieści o jego zwolnieniu, niestety, nikt nie odpisywał. Tymczasem musiała sprzedać psy jakiemuś rolnikowi, ponieważ nie mogła ich już wyżywić. Chociaż pogardę dawnych przyjaciół zniosła z podniesioną głową, utrata tych najwierniejszych towarzyszy niemal złamała jej serce.

Kiedy Inge przyjechała do Dorothei zimą 1945 roku, przyjaciółka była zgaszona. Podróż okazała się długa, Inge kilka razy przesiadała się z autobusu do autobusu; wyruszyła bardzo wczesnym rankiem. Gdy ucałowała ręce starszej kobiety, zauważyła, jak spuchnięte są od częstych ataków artretyzmu, które niekiedy całkowicie ją unieruchamiały. Choć Dorothea miała zaledwie czterdzieści siedem lat, była cieniem tej pięknej, energicznej kobiety, którą Inge знаła w Berlinie. Spotkanie przypomniało im obu, ile straciły. Wróciła jednak dawna bliskość,

którą odnalazły niemal natychmiast, mimo długiego rozstania. Inge przywiozła Beatrice, wnuczkę, której Dorothea dotąd nie знаła. Obserwowała, jak kobieta przysiada, żeby pogłaskać jasne włosy dziewczynki, tak bardzo podobne do jej własnych, choć zmagająca się z bólem, jaki wywołało przykucnięcie.

W czasie tamtej mroźnej zimy Inge co tydzień wyruszała do Dorothei po pokrytych lodem drogach, ledwo przejezdnych od wojennych zniszczeń. Dorothea czekała przy oknie na jej przyjazd, wypatrując momentu, kiedy wyjdzie zza rogu i wkroczy w brukowaną ulicę. Córka lekarza powiedziała Inge, że Dorothea czasem czeka na nią już od świtu. Spędzały wesoło czas, szczególnie kiedy śmiech wnuczki przywracał do życia część dawnej Dorothei. Niekiedy jednak Inge zastawała tę nową, bardziej samotną duszę, gnębianą przez depresję, do której zawsze miała skłonności. Gisela, jak dowiedziała się Inge, wciąż przebywała w Monachium, gdyż postanowiła zostać z Carlem-Ottonem, który kupił jej ładne mieszkanie. Rzadko widywała matkę, której to decyzji Inge nie potrafiła zrozumieć.

Dorothea tymczasem powitała Inge jak dawno utraconą córkę. Widząc jej skromną sytuację, Inge zaproponowała, że zwróci dawnej opiekunce część pieniędzy przesłanych Wiegandtowi, ale Dorothea odmówiła. Inge dowiedziała się później od córki lekarza, że suma pochodziła ze sprzedaży futra. W chwilach lepszego nastroju Dorothea wspominała o ziemi, którą wciąż posiadała, a która należała do niej od czasów dzieciństwa. Małżeństwo z Carlem-Ottonem oznaczało, że ziemia przeszła na niego, chociaż prawnie wciąż była jej własnością; napisała w tej sprawie do prawnika Schimmelmanna z żądaniem zwrotu i snuła plany wybudowania domu, w którym ona, Inge, Beatrice, Albert i Frieda mogliby razem zamieszkać.

A chociaż Dorothea snuła marzenia, Inge widziała, że jej stan nie jest dobry. Próbowwała jej pomagać w miarę możliwości, ale rozumiała, że depresja w każdej chwili może uderzyć, zdarzało się to często po ataku artretyzmu. Dorothea najbardziej potrzebowała ulgi w bólu. Stary lekarz powiedział Inge, że zanim czasy się zmieniły, sugerowałby morfinę. Obecnie jednak równie dobrze mógłby przepisywać księżyc, ponieważ nie da się zdobyć morfiny legalnie. Oczywiście, dodał, są inne sposoby.

Od razu zrozumiała, co miał na myśli. Jak większość Niemców w powojennych latach Inge zmuszona była zaopatrywać się na czarnym rynku, by uzupełniać drastycznie zmniejszone racje żywnościowe, które, gdyby pozostawać tylko przy nich, skazałyby ją i dziecko na śmierć głodową. Rolnik, u którego mieszkała, pokazał jej, co robić, z kim handlować, kogo unikać. Znał dobrze rynek, ponieważ masło było cenionym towarem, a ser luksusem. System opierał się głównie na wymianie, gdyż reichsmarek używano tylko przy transakcjach z wielkimi rabatami.

Niezwykle poszukiwane były papierosy jako narkotyk i środek pomagający uśmierzyć skurcze głodowe; stały się obiegową walutą – nie psuły się i bez trudu dawały się przenosić. Niemieckie marki takie jak Nordland czy Bosco pozwalały na zakup mniejszej ilości towarów niż amerykańskie, które szczególnie ceniono ¹. Inge dostała kiedyś od brytyjskiego żołnierza paczkę lucky strike'ów i kupiła za nią kawałek boczku i cały kilogram mąki ^{k44}.

Żona gospodarza, której żał było Inge, czasem dawała jej trochę masła w zamian za pomoc w pracach domowych. Inge zwykle wymieniała je na kilka gramów kawy. Spinki do włosów, szale i pończochy również miały swą wartość, chociaż często sprzedawano je przez pośredników, którzy pobierali prowizję za zawiezenie ich do Hamburga, gdzie rynek na takie dobra był lepszy. Lekarstwa, zwłaszcza morfina, należały do innej kategorii. Przy tak wielkiej liczbie mężczyzn cierpiących wskutek wojennych ran, popyt na środki uśmierzające ból był szczególnie wysoki i lokalne rynki w Blumenthalu i Ahrensburgu, gdzie wymieniano się masłem albo pończochami, nie były w stanie zaopatrzyć Dorothei.

Pewnego dnia Inge, wyczerpana szczególnie trudną podróżą z Ahrensburga, rozplakała się, opowiadając żonie gospodarza o cierpieniach Dorothei. Kobieta powiedziała, że zna kogoś, kto mógłby pomóc; opisała go jako człowieka „wtajemniczonego”. Inge słyszała o nim wcześniej. Był właścicielem sklepu spożywczego w sąsiednim mieście i grubą rybą czarnego rynku w okolicy. Gospodyni zabrała Inge do jego sklepu. Po tym, jak zostały powitane, Inge podejrzewała, że znajoma już wiele razy robiła z nim interesy.

Niski, przysadzisty mężczyzna był starszy od niej o ponad dwadzieścia lat. Znany był ze swych kontaktów z brytyjskimi żołnierzami, których żonom pomagał zaopatrywać się w futra i inne luksusowe dobra. W zamian ich mężowie przymykali oczy na transakcje, które odbywały się na zapleczu jego sklepu. Interes kwitł.

Inge spodziewała się, że handlarz będzie opryskliwy, a może nawet groźny, ale okazał się miły i pełen zrozumienia. Poczęstował ją nawet kawą – w owym czasie luksusem, i wysłuchał cierpliwie, co próbuje kupić i po co. Poklepał ją po ręce, nazwał dobrą dziewczyną i spytał, ile jej córka ma lat. Zachowywał się tak uprzejmie, że przez chwilę przypominał jej ojca, który wciąż podróżował po południowej części kraju.

Wziął oprawioną w srebro szczotkę do włosów Dorothei, którą przyniosła Inge. Następnego dnia przyjechał do gospodarstwa, by obejrzeć resztę rzeczy, które dała jej na wymianę Mütterchen: kilka par jedwabnych pończoch, szal, broszkę – pamiątki po jej dawnym życiu. Gdy wychodził, wcisnął Inge w rękę parę nylonowych pończoch, mrugnął i powiedział, że to „mały podarek dla dobrej dziewczynki”.

Przywiózł dość morfiny, by wystarczyła na miesiąc ataków, oraz ziołową nalewkę łagodzącą sztywnienie stawów. Chociaż Inge chciała pomóc swej przyjaciółce, nie przewidziała efektów ubocznych leku. Dorothea wkrótce się uzależniła, więc Inge nie wiedziała już, co gorsze: jej potrzeba narkotyku czy ból podczas ataków artretyzmu. Niekiedy było tak źle, że Dorothea błagała Inge, by skróciła jej męki. Dziewczyna co tydzień wracała do sklepu spożywczego z rzeczami, które Dorothea oddawała na wymianę za morfinę. Jednego dnia był to naszyjnik, innego kilka pojedynczych pereł.

Sklepikarz zaczął ją zniecacka obsypywać drobnymi prezentami, dawał torebkę cukru albo pół puszki kawy. Pewnego wieczoru, po długiej podróży z Ahrensburga, Inge wróciła do domu zziębnięta i głodna i zobaczyła, że jej córeczka bawi się drewnianą zabawką. Żona gospodarza, cała promieniejąca, powiedziała, że handlarz przyjechał po południu i przywiózł każdej z nich po kostce mydła. Raz czy dwa Inge próbowała zwrócić prezenty, ale mężczyzna tak gorąco nalegał, żeby je zatrzymała, że nie miała serca ich oddawać. Nie była naiwna, zauważyła, jak kupiec na nią patrzy. Jednak z wolna zaczęła mu ufać. Życie samotnej matki, bez bliskich, głodnej i niemal bez środków do życia, przedstawiało nie lada ciężar. Wyczerpana doglądaniem Dorothei i zajmowaniem się dzieckiem, postanowiła przyjmować prezenty jako oznakę przyjaźni.

Jedzenia nigdy nie było dość. Głód i napięcie zszarpały Inge nerwy, a jej walka o przetrwanie każdego dnia zaczynała się od nowa. Nocami śniła o niegdysiejszym życiu. Sny były tak realistyczne, że szok przebudzenia odczuwała jak ponowną utratę tamtego życia. Pewnej nocy śniła, że tańczy w Berlinie w swej pięknej niebieskiej sukience, a Wolfgang ciasno ją obejmuje. Jednak przede wszystkim śniła o dawnych posiłkach i budziła się z brzuchem burczącym z głodu. Nie miała też z kim rozmawiać. Zmartwienie i napięcie rosły w niej tak, że pewnego razu chciała zacząć krzyczeć i nigdy nie przestać.

To takiego właśnie dnia poszła do sklepu spożywczego z płonąca twarzą. Masło okazało się zjełczałe i musiała znaleźć coś innego, żeby nakarmić dziecko. Ale gdzie? I jak? Właściciel dostrzegł ją, podszedł do drzwi i zawołał po imieniu. Zatrzymała się, a on się uśmiechnął. To miły uśmiech, pomyślała.

– Dziecko – powiedział – wyglądasz na głodną. Najpierw coś zjedz, potem porozmawiamy.

Poszedł do magazynku na zapleczu i wrócił ze szklanką wina. Inge była tak spragniona, że wypijała je niemalże haustem. Mężczyzna się zaśmiał i przyniósł drugą szklankę.

– Jest tego więcej tam, skąd je biorę – rzekł, gdy ponownie napełniał jej szklankę. A potem świat zapadł się w pustkę.

1. Mieszanka tytoni w amerykańskich papierosach skuteczniej pozwalała zagłuszać głód. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Ostatni list Dorothei

Inge, tak jak wiele kobiet w tamtym czasie, uważała milczenie w równym stopniu za torturę, co azyl. Wybrała je od chwili, gdy podniosła się z podłogi magazynu, poprawiła ubranie i przygładziła włosy. Milczała dalej po powrocie do gospodarstwa, gdy powiedziała gospodyni, że przenocowała u starej przyjaciółki. Początkowo ją przytłaczało. Czuła jego ciężar, kiedy oczy właścicielki spoczęły na dziurze w jej pończosze, gdy pomagała tamtego ranka w pracach domowych, nie gawędząc jak zazwyczaj.

Dlaczego nie powiedziała: „Spójrz, co mi zrobił ten człowiek, z którym kazałaś mi się zaprzyjaźnić, ten, którego uprzejmość tak wychwalałaś”. Otworzyła usta, żeby to wykrzyknąć, ale nie potrafiła wydobyć z siebie dźwięku.

„Wypiłaś jego wino”, mówił głos w jej głowie. „Widziano cię, jak z nim rozmawiasz. Czasem nawet razem spacerowaliście. Co ty sobie wyobrażałaś? Na świecie nie ma nic za darmo”. Mocno zacisnęła usta, przełknęła krzyk. Nalała wody do czajnika i postawiła na kuchni, żeby się zagrzała, parząc się zapałką, kiedy rozpałała pod płytą. Napełniła żelazną wanienkę wodą i tarła skórę, aż zapiekła. Nigdy o tym nie powie. Milczenie, pomyślała, milczenie jest najbezpieczniejsze. Nie wiedziała, że trauma tego jednego wieczoru uruchomiła łańcuch wydarzeń, które nawiedzać ją będą do końca życia.

Tamtego wieczoru weszła do swojego pokoju i zauważyła, że jej ubranie jest uprane i złożone starannie w nogach łóżka, rozdarta pończocha zacerowana. Wiedziała, że zrobiła to gospodyni. Życzliwość tego gestu, to ciche wsparcie, wreszcie ją złamało. Chwyciła córkę w objęcia, położyła na łóżku i zapłakała.

– Musiał coś dodać do wina – powiedziała mi babcia. – Głowa zrobiła mi się ciężka, nogi i ręce zdrętwiały. Ciągłe mi dolewał. Pamiętam, że zanim straciłam przytomność, kręciło mi się w głowie. Nie pamiętam, co się potem działo. Ocknęłam się w magazynie, na plecach. Wiedziałam, co się stało. Byłam taką łatwą ofiarą.

Nie musiała używać słowa gwałt. Leżało ciężko między nami w ciszy, która nastąpiła, blokując wszystko. Wydawało się, że cały pokój wstrzymał oddech; nawet stary zegar kuchenny przestał tykać. Tak mocno ścisnęła palce, że pobieleły jej knykcie. Delikatnie położyłam ręce na jej dłoniach, czując, jak drżą pod dotykiem. Nie chciałam znać żadnych dodatkowych szczegółów; nie spytałam nawet, jak miał na imię. Nie zniósłabym myśli o nim jak o człowieku.

Kiedy po raz pierwszy spytałam o jej przeszłość, liczyłam na anegdoty o tworzeniu, o triumfie nad trudnościami. Bałam się, że mogę napotkać ślady czynów czy poglądów, które trudno mi będzie wybaczyć. Nie targowałam się o tę brzydszą prawdę. A teraz poznałam powód, dla którego babcia stworzyła tarczę, za którą się starannie skrywała. Dzięki wytrwałości przebiłam się przez jej milczenie, ale w tamtym momencie przyniosło mi to jedynie poczucie winy. Kopiając w poszukiwaniu odpowiedzi, zapomniałam zapytać siebie, czy nie lepiej pewne prawdy zostawić ukryte.

Nigdy mi nie powiedziała dokładnie, kiedy doszło do gwałtu. Wydedukowałam, że był to rok 1946, gdy jej rodzice wciąż przebywali na południu. Nikomu o tym nie powiedziała ani tamtej nocy, ani następnego dnia, a w miarę upływu czasu pograżała się w milczeniu jak wiele kobiet przed nią. Nie było sensu mówić. Jej życie było wystarczająco trudne bez dokładania sobie osądów i niedowierzania.

Minęła chwila, zanim się znów odezwała, patrząc w przestrzeń. Wypowiedziała słowa, których pełny sens pojęłam dużo później: „Wydaje się, że wszystko stało się naraz. Magazyn. Mütterchen. Wiadomość, że nie umarł. Że wróci”.

– Wolfgang? – spytałam. – To wtedy wrócił?

Nie spojrzała na mnie. Nie byłam pewna, czy w ogóle usłyszała. I tak naprawdę nie zrozumiałam, co powiedziała potem.

– Sprawy nie potoczyły się tak, jak liczyła Mütterchen. List, który napisała, złamał mi serce.

Nie było sensu dopytywać; wiedziałam, że tamte miesiące zwały się w jedną straszliwą otchłań, ten czas, który nazwała najgorszym ze wszystkiego. A więc, pomyślałam, tak było, kiedy Wolfgang, którego tak długo uważała za zmarłego, wreszcie wrócił z martwych.

Pytałam ponownie, kiedy się dokładnie to wydarzyło, ale nie potrafiła albo nie chciała powiedzieć. Trudno pamiętać dokładne daty z okresu, który się chciało zapomnieć. Ale z naszej rozmowy, z luźnych wzmianek, anegdot i wspomnień innych zrozumiałam dość, by zestawić łańcuch wydarzeń i próbować pojąć, co się wówczas między nimi stało.

W tygodniach, kiedy Dorothea żyła między gorączkowymi stanami, jakie sprowadzała morfina, a bólami artretycznymi, los po raz kolejny okazał się dla niej łaskawy. Odzyskała młodszego syna. Nie jestem pewna dokładnej daty jego zwolnienia – nastąpiło to gdzieś w pierwszych miesiącach 1946 roku. Wolfgang należał do szczęśliwców spośród trzech milionów niemieckich żołnierzy więzionych w radzieckich obozach. Tylko jedna trzecia z nich miała wrócić do domów, i to dopiero po wielu latach; niektórych przetrzymywano aż do 1956 roku. Nie mam pojęcia, czy Dorothea wiedziała, że syn wraca do domu, czy dowiedziała się o tym dopiero, kiedy stanął na progu. Część rodzin dostawała list z Czerwonego Krzyża, ale krewnych, którzy zmienili adres, tacy jak Dorothea, trudniej było namierzyć. Czy podążał śladem matki od domu w Berlinie, oddanego wówczas armii amerykańskiej, do Ahrensburga swego dzieciństwa? Czy poznała go od razu, położyła obolałe ręce na twarzy swojego chłopca, uznała, że okropnie się garbi i tak schudł, że jego rysy straciły wszelkie oznaki młodości? Widział śmierć i cierpienie, był bity i maltretowany, stale głodował, obserwował śmierć przyjaciół na ziemi zbyt zmarzniętej, by ich pochować. Zastał matkę mocno postarzałą, opuszczoną przez jej dawny świat i niezdolną do poradzenia sobie z nowym. Czy wziął jej opuchnięte dłonie w swoje i zapłakał wraz z nią nad tym, co oboje utracili?

Jak Inge, już tak bardzo doświadczona przez los, zareagowała na powrót utraconego ukochanego, chłopca, którego kochała, a który potem ją zdradził, ojca jej córki, bez którego nauczyła się żyć? Wyobrażałam sobie nadejście listu, pisanego przez Dorotheę, z literami rozmazanymi i drżącymi z ekscytacji, a może telegramu z wiadomością, że Wolfgang powrócił. Niemal widziałam, jak go trzyma trzęsącymi się dłońmi, odczytując słowa: „Przyjedź, moje dziecko, mój syn wrócił!”.

Wyobrażałam sobie, jak otwiera listu w domu, z twarzą stężoną od wstrząsu, z ręką na kuchennym stole, by się uspokoić i powstrzymać uginające się kolana. Czy usiadła, wierząc w marzenia Dorothei o szczęściu do grobowej deski, o życiu razem w domu, który wybudowała dla nich w podsycanych morfiną snach? Było to przed gwałtem czy po? Czy była już wtedy zbyt straumatyzowana, by wrócić do uczucia, które żywiła w przeszłości? I co się naprawdę stało, kiedy się wreszcie ponownie spotkali?

Pomyślałam też o innej rzeczy, którą powiedziała mi babcia, o sprawach, które nie poszły tak, jak miała nadzieję Mütterchen. I o liście, który napisała. Czy mogło to być wskazówką, co się stało z Wolfgangiem?

Dużo później, po śmierci babci, gdy już wiedziałam o gwałcie i o tym, jak zbiegł się z powrotem Wolfganga, próbowałam stworzyć jaśniejszy obraz tego, do czego

właściwie doszło między nimi. Uważałam, że nie powinnam o to pytać w dniach po wyznaniu; jej ból był zbyt mocny, zbyt widoczny. Miałyśmy rozmawiać jeszcze wiele razy, co ujawniło mi więcej momentów z jej życia. Ale nadal umykało mi to, co się dokładnie zdarzyło.

Przez lata matka powiedziała mi o Wolfgangu tylko kilka rzeczy, sama nie wiedziała zbyt wiele. Skontaktowała się z nim kilka lat przed jego śmiercią, najpierw listownie, potem kilka razy się spotkali; zmarł w 2004 roku, zanim mój brat i ja mogliśmy go poznać. Nie było go w jej życiu przez całe dziesięciolecie; czekała wiele lat, nim nawiązała z nim kontakt, w obawie, że zrani swego ojczyrna, Vatiego. Zawsze natomiast była blisko z ciotką Gisela, która przed śmiercią w wieku czterdziestu paru lat opowiedziała jej to i owo o Wolfgangu. Gisela mówiła o bracie jak o kimś, kto odsunął się od świata i przez jakiś czas niemal się nie odzywał. Po zwolnieniu spędził w Ahrensburgu krótki czas z Dorotheą. Chore płuca zmusiły go do kilkutygodniowej kuracji w szpitalu.

Wciąż najtrudniej było się dowiedzieć czegokolwiek z okresu bezpośrednio po powrocie Wolfganga. Wiedziałam, że spotkali się wtedy i że spotkanie skończyło się rozstaniem. Nadal nie wiedziałam, jak zareagowała Dorothea. Czy próbowała wesprzeć Inge? A może babcia jej się wcale nie zwierzyła? Po tym, jak opowiedziała mi o gwałcie, wszelkie wzmianki o Dorothei, kobiecie, którą uważała za swą pokrewną duszę, ustały; jej historia rozwiązała się w nicość. Wiedziałam, rzecz jasna, że umarła, chociaż nie miałam pojęcia kiedy. Podczas wcześniejszej rozmowy wspomniała o napisanym przez Dorotheę liście, który złamał jej serce. Dała go potem matce. Nie drążyłam wtedy głębiej; znaczenie daty śmierci Dorothei, jej nieobecność w kluczowej części opowieści umykały mi, aż było za późno, by spytać.

Wkrótce po moim powrocie z Danii, a rok po śmierci babki, przeszukiwałam dokumenty, rodzinne albumy, stare papiery, przeczesywałam archiwa w poszukiwaniu śladów kobiety, którą babcia tak niegdyś kochała. Odwracałam fotografie w nadziei znalezienia daty. Znalazłam piękny portret Giseli z profilu. Ale żadnego śladu po Dorothei. Matka w ogóle jej nie pamiętała.

– Ale na pewno masz po niej jedną pamiątkę?

– Nie – odparła po głębszym namyśle. – Znałam ją tylko z fotografii.

Powiedziałam o liście, który wspomniała babcia. Mama zamilkła, grzebiąc w pamięci.

– Mama przekazała mi kilka rzeczy, które dała jej Dorothea. Broszkę z brylantami. Kilka listów. Pamiętam je, bo jednego nie mogłam odczytać, był pisany dawnym pismem.

– Gdzie on teraz jest?

Po usłyszeniu odpowiedzi serce mi podskoczyło.

– Gdzieś na strychu.

Matka nie wiedziała, co było napisane w liście, ale uważała, że powstał po wojnie. Data napełniła mnie nadzieją. Liczyłam, że będzie zawierał odpowiedzi na moje pytania. Niestety, organizacja to nie jest najmocniejszy punkt matki. Pamiętała, że włożyła go do zielonego pudełka, ale chociaż usilnie próbowała, nie mogła sobie przypomnieć, gdzie je postawiła.

Znalezienie pudełka okazało się prawdziwym wyzwaniem. Strych naszego rodzinnego domu był czymś w rodzaju czarnej dziury. Zawierał rupiecie gromadzone przez całe dziesięciolecia, zbiór pamiątek i wspomnień, których nikt nigdy nie miał serca wyrzucić. Wspięłam się po stromych schodach na podest i nad stosem porzuconych poduszek na krzesła przedostałam się do drzwi; musiałam się schylić, żeby przez nie przejść. Gdy się tam wreszcie dostałam, uderzyła mnie ciemność; oczy stopniowo przyzwyczajały się do mroku, gdyż jedyna lampa rzucała tylko słabe światło. Na strychu mieściło się całe dzieciństwo moje i mojego brata, hobby namiętnie uprawiane, a potem porzucane, różne szpargały. Kiedyś znajdował się tam nasz pokój zabaw; w rogu dostrzegłam wieżę kontroli lotów z klocków Lego, którą wybudowaliśmy wraz z bratem, zdalnie sterowany samolot, który pomogłam mu kupić. Teraz pod ścianami piętrzyły się skrzynki i stare walizki. Pośrodku tłoczyły się plastikowe pojemniki pełne starych ubrań, resztki modelarskiego warsztatu brata i wielkie kosze zabawek.

Szukałam wiele godzin, brodząc po kolana w pamiątkach z własnej przeszłości: starych segregatorach, workach i papierach, niezliczonych albumach ze zdjęciami z wakacji. Na strychu brakowało powietrza, śmierdziało też naftaliną. Spostrzegłam w małym okienku, że zapadła noc. Już chciałam się poddać, kiedy je wreszcie dostrzegłam – nieduże, zielone pudełko po butach, które wyslizgnęło się z jakiegoś kufra.

W pudełku znajdowały się dwa listy i dwie fotografie, obie czarno-białe i mocno wyblakłe. Jedna ewidentnie przedstawiała Wolfganga w mundurze. Zgadywałam, że pochodziła z początków służby, być może z pierwszego dnia, ponieważ jego okrągły podbródek nie wyglądał jak u człowieka, który ucierpiał na wojnie. Druga przedstawiała przystojną blondynkę w średnim wieku, z półprofilu. Odebrało mi dech, ponieważ czoło, oczy i nos równie dobrze mogły należeć do matki. Z tyłu wyblakłej odbitki ktoś napisał ołówkiem „Dorothea, luty 1946”.



Gisela jako dorosła kobieta

Listy były w zwykłej niepodpisanej kopercie. Pierwszy napisano na grubym, eleganckim, białym papierze z wytłoczonym u góry „Gisela, grafini Schimmelman”. Dołączono do niego pukiel blond włosów z pasemkiem siwizny; nosił datę 5 kwietnia 1946 roku. „Kochana Püñktchen”, zaczynał się od przydomka, jakim von Schimmelmanowie nazywali babcię. „Mütterchen opuściła nas dwa dni temu”. Ale żal przebijał z tego listu też na inne sposoby, z okrągłego i nieco dziecinnego pisma, z kleksów i przekreślonych słów, które znaczyły jego strony. Czas i liczne wstrząsy zmieniły przyjaźń między babką a Giselą, ale w swym smutku Gisela wspominała bliskość, która łączyła je w dawnych dniach w Berlinie. List nie mówił, jak Dorothea zmarła. Babka miała się dowiedzieć wszystkiego z załączonej notatki. Oczywiście o Wolfgangu nie było ani słowa.



Dorothea pod koniec życia

Drugi list napisano na żółtawym papierze, cieńszym i tańszym, z postrzępionym dolnym brzegiem, gdzie go wyrwano z bloku. Nie było adresu, tylko data, 2 kwietnia 1946 roku. Pismo ozdobne, ledwo czytelne. Od razu wiedziałam, że to list, którego szukałam. Napisano go pismem Sütterlina, używanym niegdyś przez wykształconych Niemców. Potrafiłam odcyfrować tylko pierwszą linijkę, „Moje ukochane, dobre dziecko”, i podpis „Mütterchen”. Podkreślonego zdania w ogóle nie umiałam odczytać. List leżał w tym pudełku, nieprzeczytany, od dziesięcioleci i zastanawiałam się, czy sądząc po dacie, nie był to ostatni list, jaki Dorothea kiedykolwiek skreśliła.



Wolfgang w wojsku

Zwróciłam się do starego przyjaciela, historyka znającego niemiecki, o pomoc. Poprosił o kopię. Jego odpowiedź, godzinę później, była zniechęcająca: nie mógł się w tym połapać. Spróbuj u antykwariusza, poradził. Katalog znawców dawnych manuskryptów w Niemczech skierował mnie do kobiety zamieszkującej niedaleko Rostocku. Wysłałam jej e-mail ze skanem listu i następnego ranka dostałam odpowiedź. Może to dla mnie przetranskrybować za opłatą. Od razu odpisałam, żeby zaczynała, nawet nie spytałam o cenę. Po paru godzinach dostałam transkrypcję i rachunek. Wydrukowałam tekst i położyłam na stole obok oryginału, z rachunkiem na wierzchu. Odkrycie tajemnicy pisma kosztowało mnie piętnaście euro i trzydzieści sześć centów.

Moje ukochane, dobre dziecko

Pozwól, że jeszcze raz podziękuję Ci z całego, całego serca za całą tę wielką miłość, jaką mnie obdarzyłeś w najsmutniejszym okresie mojego życia.

Miłość, którą dałeś, mimo iż nie zasługiwałam na nią, ponieważ, tak jak wszyscy inni, nie traktowałam Cię, moje biedactwo, tak, jak na to zasługiwałeś.

Twoje zmartwienia i twoje starania, czuła, dziecinna i wielka miłość, którą mnie obdarzyłeś, są ostatnimi przebłyskami światła w moim życiu, ostatnimi promieniami słońca.

Niech Bóg odpłaci Ci w Twoich dzieciach za dobro, które mi dałeś, kiedy wszyscy inni mnie opuścili.

I niech Bóg Ci wynagrodzi, moje serce, ponieważ jest sprawiedliwy i mądry, a ja rozumiem, teraz, gdy muszę odejść, całe zło, jakie Mu wyrządziłam, gdy odeszłam od Carla-Ottona, który zawsze był dla mnie dobry. Ten krok pociągnął za sobą to, że jestem tak samotna, że nie mogę tego znieść.

Gdyby mój ukochany Buschi był kiedykolwiek tak samotny, proszę Cię z całego serca, żebyś się nim zajęła. Ma nadmiernie miękkie, dobre i wielkie serce, co tak doskonale ukrywa za szorstkością.

Dziękuję Ci raz jeszcze, posyłam wyrazy miłości Twoim uroczym rodzicom, malutką całuję i ściskam, a Ciebie całuję z czułą wdzięcznością.

Twoja tak straszliwie samotna Mütterchen

List, który leżał zapomniany w pudełku po butach, był pożegnaniem Dorothei.

2.4.46.

Mein geliebtes gutes Kind!
 Hoff dir noch ein mal von ganzem, ganzem
 Herzen Dank für all die guten Liebe, die du mir
 in der sonderlichen Zeit meines Lebens geschenkt!
 Das war ein wunderbares Gefühl, denn ich
 sah sie alle die besten, nicht gut die du mich
 immer geliebt hast.
 Die Sorgen und Mühen um mich, die
 zähe Arbeit, große Liebe die du mich hast,
 das, sind die besten Geschenke in meinem
 Leben, die dich das können danken.
 Gott möge es dir in diesem Leben helfen
 was du ein Verfassener bist und bist
 das du und es dir Leben mein ganzes
 ist ich ganz mit mir, und ich habe mich
 in jeder Hinsicht mit mir in jeder Hinsicht
 geschenkt hat alle in Carl. Das ist das, das mich
 gibt in mich ganzem Herzen. Das ist das, das mich
 alle besten Dinge folgen für mich was ich
 ganzem dir habe mich in jeder Hinsicht
 sein, was ich nicht mehr.
 Mein meine geliebte gute ganz mein mal
 sein falls, so bist ich dir ganzem Herzen.

Einmal dich ein ich für dich mich viel zu
 wissen, gut, ganzes Herz, das ist das
 das ist was ich kann. Ich kann
 kann.
 Ich habe dir noch mehr, ganzes
 Leben leben die Liebe dich in
 und immer und dich. Ich
 in dankbarer Liebe
 dein so liebste Mutter Mithras

Ostatni list Dorothei

Poczucie niestosownego wtargnięcia w czyjaś prywatność, jakiego doświadczyłam, kiedy wiele lat temu babcia opowiedziała mi o gwałcie, pojawiło się ponownie, gdy przeczytałam pożegnalny list Dorothei. Czułam się winna z powodu ciekawości i założenia, że mam prawo do nie swojej przeszłości. Odczytując rozpacz z tych linijek, czułam się jak podglądacz szpiegujący cudze pożegnania, wściubiający nos w serce innej kobiety. Jakie miałam prawo zakłócać ten prywatny żal, odkrywać i rozwierać siłą historię innej osoby? Napisała to do babci, która przyjaźniła się z nią aż do końca, a nie do mnie, bym czytała to dwa pokolenia później.

Sam list nasuwał więcej pytań, niż dawał odpowiedzi. Dlaczego Dorothea, wiedząc, że syn do niej wrócił, mimo to zdecydowała się odebrać sobie życie? Gdy pisała o swym „Buschim”, jak go nazywała, jego „nadmiernie miękkim, dobrym i wielkim sercu”, które ukrywał za szorstkością, zdawała się przyznawać, że jej syn wrócił jako złamany człowiek. Ale błagała też babcię, żeby się nim zajęła; dlaczego więc dziadkowie woleli się rozstać?

Mimo całego dyskomfortu i przemyśleń, jakie wywołał, ostatni list Dorothei przywrócił mi ją do życia. Opłakiwałam kobietę, która odeszła w cieniu młodości

pozostawionej za sobą, wiecznie nękana pamięcią o wyborach, które doprowadziły ją do upadku. W pamięci utkwiło mi zdanie babki, kiedy pierwszy raz opisywała jej urodę: „Kochała mężczyzn, nadludzko. To była jej największa słabość”.

A potem ten wers w liście Dorothei: „*Miłość, którą dałaś, mimo iż nie zasługiwałam na nią*, ponieważ, tak jak wszyscy inni, nie traktowałam Cię, moje biedactwo, tak, jak zasługiwałam”.

Pomyślałam o ciąży Inge i o Wolfgangu niezdolnym do dotrzymania przyrzeczeń. O smutku jego matki z tego powodu, że nie potrafiła przeciwstawić się wpływowi, jaki jej eksmąż wciąż wywierał na syna. Pomyślałam, że rozumiem, co próbowała przekazać Inge. Dorothea w ostatnich godzinach życia chciała przekazać babci, iż wreszcie zrozumiała, jak mocno zdrada Wolfganga zaciążyła na jej losie.

Obie żyły w okrutnym czasie, gdy miłość była słabością. Ale to cudze osądy, a nie miłość, sprawiły, że w wieku czterdziestu siedmiu lat Dorothea uznała, że nie warto już żyć. W towarzystwie, które straciło zdolność współczucia, w zniszczonym świecie, który uparcie trwał przy moralnych wyrokach, Dorothea i babka, jak wiele innych kobiet, zapłaciły cenę za miłość. Moje poczucie winy zmieniło się w gniew i łzy wściekłości. Zapłakałam nad nimi obiema.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Tajemnica Inge

Gdy pokazałam matce list Dorothei, opowiedziała mi o czasie, kiedy jej rodzice znów się spotkali – miała może trzy lub cztery lata, nie wiedziała dokładnie ile. Babcia, którą czasami pytała o to jako dziecko, nigdy jej nie opowiedziała tego ze szczegółami. Tyle tylko, że miała na sobie znoszoną niebieską sukienkę i nieumalowane usta. I że on był chudy i wymizerowany. Nie czuł się dobrze.

W szufladzie podczas poszukiwania dalszych zaginionych elementów znalazłam plik fotografii starszej pary, które Wolfgang przysłał swej córce po ich drugim spotkaniu w 2001 roku, niemal sześćdziesiąt lat później, wraz z listem. Przypomniawszy w nim, że pamięta, jak nie chciała jeść warzyw w białym sosie. To go rozśmieszyło. Taki drobiazg, a zapamiętał go na całe życie.

Tak sobie wyobrażam spotkanie Inge i Wolfganga.

Umówili się w porze obiadu w restauracji w Hamburgu, takiej, na którą nie było go stać. Zajął cichy stolik w kącie, na tyłach; z tego miejsca nie widział wejścia. Przy stoliku obok kelner upuszcza widelec i Wolfgang podskakuje na brzęk metalu na płytkach. Nie znosi hałasów.

Inge stoi przed restauracją, trzyma dziecko za rękę, sprawdza swój wygląd w kieszonkowym lusterku. W rogu jest pęknięte, musi się więc wysilić, by się obejrzeć. Uszmiłowała usta o poranku, ale teraz starła pomadkę, bo uznała, że ją postarza, choć miała zaledwie dwadzieścia dwa lata. W prawym kącie ust została smużka czerwieni. Ściera ją.

Ma na sobie jedyną przyzwoitą sukienkę, tę znoszoną niebieską. Materiał zbyt często cerowano, jeden rękaw jest postrzępiony, ale Inge ma nadzieję, że Wolfgang tego nie zauważy. Beatrice ma ciasno splecione włosy – żeby wyglądać ładnie, powiedziała jej Inge, dla taty, którego nigdy nie spotkała. Zastanawiała się przez chwilę, czy powinna przyprowadzić córkę. Teraz, cała zdenerwowana, ma nadzieję, że obecność dziecka pomoże przełamać lody.

Dostrzega go zaraz po wejściu do restauracji, chociaż musi spojrzeć drugi raz, by się upewnić. Czy to on, ten wychudły, małowówny mężczyzna w kącie,

nerwowo mnący w palcach obrus? Pamiętała dwudziestotrzylatka. A tam siedzi ktoś starszy co najmniej o dziesięć lat. Tak, to jego rysy, a raczej ich zmatowiały, zniekształcony cień. To jego niebieskie oczy, teraz zapadnięte. Skóra ciasno opina kości policzkowe, zniknęła miękkość twarzy. Włosy, które pamiętała jako długie, noszone tak na przekór językom członków Hitlerjugend, ma krótko obcięte.

Zatopiony w myślach, nie zauważa jej od razu i to ją cieszy; nie słyszy westchnienia na jego widok. Kiedy Wolfgang dostrzega Inge, podrywa się z krzesła; marynarka wisi mu luźno na przygarbionych ramionach. Witają się z uśmiechem; jej jest nerwowo i blady, jego niepewny; oddech wciąż ma płytki z powodu choroby płuc. Przykuca, żeby przywitać się z córką, która nieśmiało się trzyma z tyłu. Wolfgang poważnie wyciąga rękę, a Beatrice ściska ją tak uroczyście, że wywołuje to jego uśmiech. Siadają i zamawiają obiad, próbując wspominać dawne czasy. Inge nie może przestać myśleć o tym, jak bardzo wojna go zmieniła, i martwi się, że ten szok odmalowuje się na jej twarzy. Tęskni za jego śmiechem; dawny Wolfgang, który ją porzucił, chętnie się śmiał, ale ten – zmartwychwstały – ledwie się uśmiecha. Przyjechał z radzieckiego obozu, zniszczony człowiek, który wrócił do zniszczonego kraju, rodziny w zamęcie i świata radykalnie odmiennego od tego, który zostawił za sobą.

Rozmawiają chwilę o pogrzebie jego matki, w którym na jego prośbę uczestniczyli tylko on i Gisela. Odrzucił ofertę pomocy finansowej ze strony ojca, chociaż nie bardzo miał czym zapłacić za ceremonię. Głosem pełnym wyrzutów sumienia opisuje tanią sosnową trumnę, w której pochowali Dorotheę. Inge widzi, że zbiera mu się na płacz, i nieśmiało dotyka jego ręki. Wolfgang lekko podskakuje i chociaż nie cofa dłoni, nie oddaje uścisku. Po chwili Inge zabiera rękę. Wolfgang wpatruje się w talerz, jakby nie chciał na nią patrzeć. Oboje milczą, każda minuta pogłębia przepaść, jaka się między nimi rozwarła. Ciszę przerywa jęk ich córki; odsuwa z obrzydzeniem talerz, odmawiając zjedzenia warzyw w białym sosie.

Nigdy się nie dowiem, jak dokładnie przebiegło to spotkanie ani czy w ogóle do niego doszło. Czy to Wolfgang zasugerował je w liście, czy Inge? Czy on wybrał termin i miejsce? Wiem tylko, że nie było filmowego zakończenia, w którym kochankowie obejmują się po długim rozstaniu. Rzeczywistość jest brutalniejsza niż fikcja, a historie miłosne rzadko znoszą takie zmiany, jakie dotknęły tych dwoje. Chłopak i dziewczyna, którzy zakochali się w sobie cztery lata wcześniej, już nie istnieli. Zamiast nich byli mężczyzna i kobieta, którzy przetrwali wbrew wszystkiemu, zahartowani przez doświadczenie, których stary świat zniknął całkowicie, grzebiąc wraz ze sobą ich miłość.

To, że widział się z matką przed jej śmiercią, wynikało z pożegnalnego listu Dorothei. Ona też dostrzegła w nim wielkie zmiany. Pisząc ostatnią prośbę do babki, by się zajęła Wolfgangiem, i wskazując na szorstkość, pod którą ukrywał wrażliwe serce, chciała, jak się wydaje, przygotować ją na trudne spotkanie, jakie miało nastąpić. Być może widok spustoszeń, jakich wojna dokonała w jej synu, również się przyczynił do jej dramatycznej decyzji.

Co mogła znaczyć dla niego miłość zakorzeniona w innym życiu? Niektórzy widzieliby w niej szansę na odnalezienie wspomnień minionego szczęścia albo sposób na zbudowanie czegoś nowego dzięki ojcostwu. Dla Wolfganga jednak widok utraconej ukochanej stanowił przypomnienie o jego dawnej zdradzie i przeszłości, której i tak nigdy by nie odzyskał. Własna córka się go wstydziła, a chociaż uległ jej czarowi, dla niego należała do świata, który mógłby istnieć, gdyby nie wybuchła wojna, i który teraz wydawał się nierealny.

A jak czuła się Inge, gdy zobaczyła go ponownie tamtego dnia? Gorycz, zapewne, na widok człowieka, który tyle obiecał, którego kochała i który ją zdradził, porzucając w hańbie pozamałżeńskiej ciąży, macierzyństwa, zmuszając, by zadbała sama o siebie wśród trudów ucieczki. Wybaczenie wiele by ją kosztowało, nawet gdyby już nie wypracowała w sobie obojętności, która cechowała ją w późniejszym życiu. A może po prostu czuła litość, gdy patrzyła na jego zmienioną twarz? Zastanawiam się, co dla nich obojga byłoby trudniejsze do zniesienia – jej współczucie czy jej gniew. Już tylko to by wystarczyło, by dziadkowie postanowili pójść każde swoją drogą, on do ojca na południu, ona z powrotem do rodziców. Ze wszystkich wyjaśnień, jakie rodzina podawała mi przez lata, to pasowało najlepiej, to o zauroczeniu, które zbladło, o kochankach zbyt straumatyzowanych przez to, co przeszli, by spróbować ponownie, jeden z wielu romansów, który padł ofiarą wojny. Wiedziałam, że nigdy się już nie spotkali. A jednak teraz, gdy wiedziałam więcej, to wyjaśnienie mi nie wystarczało. Mieli dziecko, które mogło ich związać, a przynajmniej zachęcić do próby. Babka nie miała środków do życia. Poza tym wiedziałam ze sposobu, w jaki mówiła o Wolfgangu w późniejszych latach, że wciąż go kochała. Pamiętałam jej słowa, kiedy mówiła o jego zdradzie: „Wciąż nie rozumiem”. Było to zmieszanie, niezrozumienie u kogoś, kto nie przestał tęsknić za dawnym uczuciem.

We wszystkich opisach Wolfgang występował jako cichy, uprzejmy mężczyzna, który większość późniejszego życia spędził samotnie. Tamten wers w ostatnim liście Dorothei, błagający Inge, by zajęła się jej synem, uderzył mnie jako apel, by uwzględniła sytuację i dała jej synowi szansę. Dlaczego więc nie postarała się bardziej, by go odzyskać?

To ona, ostatecznie, podsunęła mi brakujący kawałek układanki. Nie przyniosło to triumfu odkrycia, wybuchając, jak mają w zwyczaju takie sensacje, w przeddzień rodzinnego ślubu i grożąc przez chwilę tak głębokim zniszczeniem mojej rodziny, że zapytywałam siebie, po co w ogóle zaczęłam szukać. Była to tajemnica od dawna ukryta, którą Inge nosiła ze sobą przez ponad sześćdziesiąt lat, zakopana w traumie i wstydzie.

Dzień przed ślubem kuzynki w maju 2013 roku postanowiłam odpuścić sobie rodzinny obiad, by skończyć tort weselny. Moja babcia, która znów przyjechała z Niemiec, uznała, że nie chce się zmęczyć przed jutrzejszą ceremonią, i dołączyła do mnie w kuchni naszego domu we Francji. Usiadła przy stole, na którego drugim końcu zmagalam się z moim zadaniem. Minęło kilka miesięcy od naszej rozmowy, w której opowiedziała o gwałcie. Przyjechałam dopiero tamtego ranka i jeszcze nie miałam okazji zobaczyć się z nią sam na sam. Miała na sobie niebieski kaszmirowy kardigan zapinany pod szyję, chociaż był niezwykle ciepły wieczór jak na koniec maja, a rozgrzany piekarnik podnosił temperaturę w kuchni. Jej ręce, ze zwyczajowymi czerwonymi paznokciami, spoczywały na stole złożone jedna na drugiej, makijaż i fryzura były nieskazitelne. Zapach waniliowego biszkoptu, truskawek i kremu wypełniał powietrze z niemal mdlącą intensywnością.

Podczas pracy na czole perlił mi się pot. Moja kuzynka, maskując rosnący niepokój pozorem wymuszonej radości, dzwoniła już dwa razy, żeby zapytać, jak mi idzie z tortem. Zaczęłam się obawiać, że moja entuzjastyczna oferta, że go przygotuję, złożona rok wcześniej przy okazji jej zaręczyn, była pomyłką. Próbowałam nie panikować, starannie składałam warstwy ciasta i kremu, rozmieszczałam wsporniki i modliłam się, żeby krem nie rozpuścił się w ciepłej kuchni.

– Mütterchen zmarła, zanim się dowiedziała.

Babcia powiedziała to bez żadnego wstępu. Nie zrozumiałam w pierwszej chwili, zajęta ciastem nie skupiałam się na jej słowach. Nawet na nią nie patrzyłam, gdy słuchałam opowieści o miesiącach przed śmiercią Dorothei, a potem o tęsknocie za nią. Zaczęłam ugniatać lukier, czując jak białko i cukier miękły mi w rękach.

– Może tak było lepiej.

Zerknęłam na babcię. Wpatrywała się w dal.

– Nie mogłam mówić o tym, co się stało ze mną i tamtym mężczyzną, o jego dziecku, które bez przerwy płakało. Dziecku, którego nie umiałam pokochać.

Lukier zastygł mi w rękach, lepka masa przeciekała przez palce ściśnięte w szoku. Podkopywałam mur jej rezerwy, aż w końcu runął i z pełną siłą wyskoczyła zza niego tajemnica babci. Głos zaczął się jej trząść, a ja usiadłam

obok niej z rękami w lukrze, nie miałam czasu ich wytrzeć. Powiedziałam, że wszyscy ją kochamy, że może nam wszystko powiedzieć, myśląc cały czas „O Boże, co ja narobiłam”, świadoma, że do jej pocieszenia nie wystarczą słowa.

Potem w kolejnych miesiącach ujawniała nowe szczegóły. Na początku ciąży stanęła przed gwałcicielem. Jej ojciec wrócił z Frankfurtu wyczerpany. Inwestycja w gorzelnię upadła, a tego kolejnego pecha jego osłabione serce nie mogło znieść. Podupadał na zdrowiu. Frieda odprowadziła ją pod drzwi sklepu, trzymając za rękę dla otuchy. Nie sądzę, by Inge kiedykolwiek jej opowiedziała o tym, co się stało, gdyby nie zmusiła jej do tego ciąży. Frieda, podejrzewam, odgadła resztę. Inge miała na sobie codzienne ubranie, żeby wizyta nie wyglądała niezwykle. Zanim weszła do środka, matka ścisnęła jej palce i powiedziała, że poczeka na zewnątrz. Inge chciała z nim porozmawiać sama.

Była już prawie pora zamknięcia. Właściciel zachowywał się uprzejmie, rozmawiał z nią niemal jak z klientką, podsunął krzesło. Oparł łokcie na ladzie i spytał, w czym może pomóc. Inge wzięła głęboki oddech i wyrzuciła to z siebie.

Powiedziała, że nosi jego dziecko. Nie była w stanie powiedzieć słowa „gwałt”, choć świetnie wiedziała, że właśnie do tego doszło.

Mężczyzna milczał, a potem się roześmiał niskim, krótkim chichotem. Wie, że smakowało jej wino. Słyszał, że widziała się z dawnym narzeczonym, który był w Rosji.

– Skąd mam wiedzieć – powiedział, patrząc na nią – że nie chcesz mi wcisnąć jego dziecka?

Bez słowa odpowiedziała mu spojrzeniem, chociaż patrzenie na jego twarz wyzuło ją z resztek sił. Potem bez słowa wstała, odwróciła się i wyszła. Nie miała przeciwko niemu żadnej broni, ponieważ jej własny wstyd i ciężar osądu innych dawał całą siłę jemu, nic nie zostawiając dla niej.

Gdy patrzyłam wstecz, na te wszystkie późniejsze lata, próbując zestawić ostatnie fragmenty opowieści o moich dziadkach, myślałam o tym, ile siły psychicznej wymagała od niej ta konfrontacja. Wspominałam słowa Ruth Schumacher, innej ofiary przemocy seksualnej: „Nigdy, przenigdy tego nie zapomnisz”. Czy moja babcia myślała o tym w następnych miesiącach i latach? Czy pamiętała jego twarz? Czy wchodziła do sklepu, przyjmowała wino, szła sama ulicą, a za nią podążał cień strachu i wstydu? Myślałam o tym, ile ją kosztowało spojrzenie tamtemu mężczyźnie w oczy, powiedzenie mu, że jest jej winien jakieś odszkodowanie, zażądanie, by wziął odpowiedzialność za swój czyn. Przyszło mi do głowy, że przez całe dzieciństwo widziałam trudniejszą stronę determinacji babci. Teraz dostrzegałam jedynie odwagę.

Po tej konfrontacji babcia wróciła do domu, żeby pielęgnować umierającego ojca. To wtedy jej umysł się zatrzasnął, wola walki zniknęła. Przez chwilę rozważała aborcję, ale musiała myśleć o mojej matce, a ryzyko związane z zabiegiem wydawało się zbyt duże. Nigdy nie powiedziała o tym Wolfgangowi, nie miała siły.

Urodziła córeczkę i pielęgnowała ją przez kilka miesięcy, póki nie udało się załatwić adopcji. W następnych rozmowach nigdy nie zdradziła mi imienia dziecka, a ja nie pytałam. Jednym zdaniem ujawniła, co leżało za latami milczenia. Noworodek płakał nieustannie, a ona się od niego odwracała, niezdolna pokochać dziecko, w którym widziała twarz gwałciciela. Mogła znieść piętno niezamężnej matki. Nie mogła jednak znieść klęski miłości na żądanie, dostosowania się do tego, czego od niej jako od matki oczekiwano.

Po oddaniu dziecka przez dziesięciolecia zachowywała tajemnicę, budowała nowe życie i pełne miłości małżeństwo. Miała też kolejne dziecko, moją ciotkę Conny. I nadal ukrywała istnienie tamtej córki. Odkryłam nieco z jej historii, też niełatwej do wysłuchania. Według wszelkich relacji jej życie również było trudne. Swoją biologiczną matkę odnalazła wiele lat później, pełna urazy i gniewu. Ich spotkanie nie było radosne i babcia po raz kolejny wolała zachować je w sekrecie. Ale nie do mnie należy pisanie historii straconej córki.

Żałuję, że nie znalazłam lepszych słów, by powiedzieć babci, że to, co się stało, nie było jej winą, że to ona była ofiarą. Że traumatyczne doświadczenia osnute milczeniem musiały znaleźć ujście, jak boleśnie przekonało się wiele kobiet wcześniej i później. Że jej uczucie obojętności stanowiło sposób, jedyny, jaki znał jej umysł, na poradzenie sobie z nim. Że nieliczni dziś mogliby ją osądzać. Że ją podziwiałam i kochałam bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Ale mogłam jedynie wtedy ją objąć i mówić, że ją kocham, z rękami pełnymi lukru, w niewygodnym uścisku, podczas gdy ona zeszywniała, wciąż zagubiona w przeszłości. Tak rzadko znajduje się słowa, gdy są najbardziej potrzebne. Jedyne, co mogę zrobić, to je teraz zapisać.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Prawda i jej konsekwencje

Przeszłości, raz zakłóconej, nie da się już porzucić. Przebiła się przez ścianę milczenia, która oddzielała babcię od jej sekretów przez dziesięciolecia. Chociaż słowa wypowiedziane po upływie takiego czasu miały mniejszy ciężar, ich echo rozbrzmiewało w naszej rodzinie przez wiele następnych tygodni, miesięcy i lat. Obserwowałam, jak wstrząsają prawdami, wśród których wyrosliśmy, pełna poczucia winy z powodu tego, co bezmyślnie rozpętałam, niestety, było za późno, by się wycofać.

Życie ma swoje metody, by się uporać z wydarzeniami, które w innym przypadku by nas zmiażdżyły. Po opowiedzeniu mi swojej historii babcia się położyła. Dokończyłam tort. Krem nie popłynął, warstwy się trzymały, lukier zastygł. Wesele przebiegało, jakby się nic nie stało, podczas gdy ja ze wszystkich sił próbowałam wyrzucić z myśli wiedzę o ukrywanym dziecku.

Burza, której się obawiała, wybuchła kilka tygodni później, kiedy matka i ciotka Conny odwiedziły babcię w Kilonii. Wieczorem przed ich powrotem opowiedziała im o siostrze, której istnienia nawet nie podejrzewały. Mama zareagowała powściągliwie. Starła się nie osądzać matki i ostrożnie dobierała słowa. Wiedziała o trudnościach lat powojennych, chociaż była za mała, by pamiętać cokolwiek z drugiej ciąży matki albo noworodka. Psycholodzy mówią, że większość naszych dziecięcych wspomnień formuje się dopiero około czwartego roku życia. Trudniej było jej przetworzyć związek tajemnicy z nią samą. Była tak spokojna, że zastanawiałam się, czy w ogóle to wszystko do niej dotarło: te daty, przyczyny i ich związki z historią rodziców. Pomyślałam, że ten spokój to jedyny sposób, w jaki mogła zareagować bez przeskoczenia do wniosków, bez osądzania swej matki. Może czuła się też winna, że była dzieckiem miłości, pielęgnowanym wśród trudności, w przeciwieństwie do nieznanej siostry. Po tej rozmowie niemal nie wspominała o sprawie. Wydawało się, że wypchnęła całą historię z pamięci, jakby wydarzyła się komuś innemu.

Conny zareagowała gwałtowniej, rozplakała się z gniewu. Nic w sobie nie tłumiała i obszernie opowiadała o wszystkim przyjacielom. Chociaż uznałam jej

złość za przesadną, lepiej ją rozumiałam; była bliższa sposobowi, w jaki ja sama bym sobie radziła na jej miejscu. Najbardziej zranił ją brak szczerości ze strony matki, która zawsze podkreślała wartość prawdy.

Gdy obserwowałam, jak świat mamy i ciotki wywraca się do góry nogami, dotarło do mnie, że nigdy się nie zatrzymałam, by pomyśleć o konsekwencjach mojego zdeterminowanego poszukiwania odpowiedzi, ani się nie zastanowiłam, jak może wpłynąć na moich najbliższych. Z komfortowej pozycji następnego pokolenia uznałam, że przeszłość jest zbyt odległa, by wciąż mogła ranić. Mieszałam, pytałam, ubłociłam wszystkie zworniki, które spajały nas jako rodzinę, do głębi wstrząsnęłam mamą i ciotką. Uważały się za dwuosobową drużynę, a to okazało się nieprawdą. Kiedy odkrywasz, że coś tak zasadniczego nigdy nie było prawdą, zaczynają się chwiać same fundamenty twojego dzieciństwa. Prawda wcale ich nie uwolniła, tylko usunęła im grunt spod nóg i je zaniepokoiła, a ja zastanawiałam się przez chwilę, czy w ogóle powinna zostać wypowiedziana.

Reakcje babci były trudniejsze do zmierzenia. Jej talent do okazywania rezerwy sprawiał, że emocje rzadko przebijały się na powierzchnię. Wciąż ubierała się elegancko jak wcześniej, a chociaż z racji wieku stawała się coraz słabsza, znów rozmawialiśmy, jakby nie było tego momentu, kiedy trzymałam jej drżące dłonie przy stole w kuchni. Nigdy więcej nie wspominałyśmy ukrywanego dziecka. Gdzieś jednak dostrzegłam tkwiący w niej ciężar. W następnych miesiącach zwierzyła się po raz pierwszy kobiecie, która u niej sprzątała i z którą przez lata się zaprzyjaźniła. Użyła słowa „gwałt”, czego by wcześniej nie zrobiła, i mówiła otwarcie i bez ogródek o tamtych ciężkich czasach i dylemacie, przed jakim stanęła. Przywołała swoją historię. Pieczęć milczenia została wreszcie złamana i babcia znów była wolna. I tak, kiedy moja rodzina próbowała pogodzić się z nową wiedzą, babcia po prostu przewróciła stronę. Nie rozmyślała, tylko zrobiła to, co przedtem: przeprowadziła się. Tym razem w dość dramatyczny sposób, w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat porzucając dom, w którym mieszkała od prawie siedemdziesięciu lat, i przenosząc się na wschód.

Jej decyzja, chociaż wydaje się nadzwyczajna, była tyleż emocjonalna, co praktyczna. Nie chciała zostawiać domu, więc musieliśmy znajdować kolejnych opiekunów, by się nią zajmowali. Stosunki z nimi różnie się jej układały, zwykle były pełne dystansu, w najlepszym razie profesjonalne. I wtedy w jej życie wkroczyła Christina. Dawna polska nauczycielka w średnim wieku, wysoka i szczupła, o łagodnym głosie, w wielkich okularach i długich, powiewnych spódnicach – początkowo nie była dla niej partnerką. Jej wątył niemiecki skłaniał

babcię, by jej nieco dokuczać. Christina jednak okazała się łagodna i cierpliwa, więc wkrótce połączył je wzajemny szacunek i czułość.

W 2016 roku, rok po pojawieniu się Christiny, babcia oświadczyła, że wyjeżdża na Boże Narodzenie do Polski, by spędzić z nią i jej rodziną święta w gospodarstwie w wiosce położonej kilka godzin jazdy od Warszawy. Była szczęśliwa i ożywiona. Kiedy wspomnieliśmy o Wigilii, powiedziała, że mąż Christiny i jej troje dzieci spędzają zimowe wieczory przy ogniu, śpiewając i grając na gitarze. To było, powiedziała mi, „jak w dawnych czasach”. Tak ją ujęło to wiejskie życie w Polsce, że po świętach postanowiła, że w ogóle nie chce wracać do Kilonii.

Wróciła tam tylko raz, żeby się spakować. Skupiła się na ubraniach i kosmetykach, wzięła eleganckie futro, czerwony lakier do paznokci i ulubione sukienki. Zabrała niewiele pamiątek: książkę czy dwie, a poza jednym albumem również niewiele zdjęć. Zostawiłaby nawet fotografię Vatiego w srebrnej ramce, która stała na jej nocnym stoliku, gdyby mama i Conny nie włożyły jej do walizki.

Po jej wyjeździe z Niemiec od czasu do czasu rozmawialiśmy przez telefon, ale coraz gorzej rozpoznawała ludzi tylko po głosie, więc za każdym razem miałam wrażenie, że babcia odpływa w dal.

Na początku września 2017 roku bawiłam na wakacjach we Francji, kiedy dotarła wiadomość, której się i bałam, i której oczekiwałam. Usłyszałam w słuchawce zapłakany głos mamy. „Odeszła”, powiedziała. „Zmarła we śnie”. Składałam koszulę, gdy odebrałam telefon. Kiedy się rozłączyłam, spojrzałam na podwórko z lipą, pod której gałęziami obie z babcią tak często chroniliśmy się przed słońcem, by porozmawiać. Smutek, który odczuwałam, zabarwiało poczucie winy. Powinnam ją była odwiedzić, ale praca, zajęcia sprawiały, że stale to przekładałam. A teraz już było za późno.

Taką śmierć nazywa się dobrą, taką, która przychodzi cicho po tygodniach coraz większej słabości. Nie wiedzieć czemu wydawało się, że nastąpiło to wiele miesięcy temu. W wieku dziewięćdziesięciu trzech lat czekała na śmierć bez strachu, ale było w tym coś jeszcze. Wiedziałam, że w dniu, w którym przeniosła się do Polski, już nas zostawiła, pożegnała się ze swym dawnym życiem i naszym światem, by wyruszyć we własną podróż na parę miesięcy. Stałam tak długo, z koszulą wciąż w rękach, spoglądając na lipę. Wyrosła bez przeszkód mimo zmian, śmierci, złamanych serc i radości, które przeżywałam, i w tej stałości było coś kojącego.

Wyszłam na dwór i położyłam się pod drzewem, spoglądając w koronę, na słońce rzucające blaski przez liście, na gałęzie, coraz dłuższe i grubsze wraz z upływem czasu, przesłaniające wszystko inne w serdecznym uścisku.

CZEŚĆ PIĄTA

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Gospodarstwo w Polsce

Las tworzył rozległą, niedostępną gęstwinę, która zaczynała się na tyłach ogrodu. Wieś, przez którą tu przyjechaliśmy, była zaledwie skupiskiem paru domów z górującym nad nimi ogromnym kościołem z czerwonej cegły, zupełnie zwyczajnym, jeśli nie liczyć rozmiaru. Teraz widziałam tylko czubek iglicy, resztę wchłonęła ciemna masa drzew.

Stałam na ganku polskiego gospodarstwa, w którym przez kilka ostatnich miesięcy życia mieszkała babcia. Drewniana balustrada pokryta złuszczoną jasnozieloną farbą cicho zatrzeszczała, kiedy się o nią oparłam. Gospodarstwo było małe, leżało na uboczu i niewiele osób w ogóle o nim wiedziało. Przyjechałam tu z rodziną rano, żeby wziąć udział w pogrzebie babci, a Christina z mężem zaprosili nas do siebie na obiad.

Dom był niewielki, prosty, z beżowym tynkiem, ze starą, kamienną, krytą strzechą stodołą po drugiej stronie podwórza, na którym ziemię dziobało kilka kur. Słyszałam głosy rodziny rozmawiającej przy stole w jadalni. Wykręciłam się potrzebą wyjścia na świeże powietrze, ponieważ chciałam przez chwilę pobyć sama. Rozejrzałam się po nieznanym miejscu i pomyślałam o ludziach, z którymi właśnie jadłam przy jednym stole; mimo życzliwości i zainteresowania, ostatecznie byli nam całkowicie obcy. Zastanawiałam się, co tak naprawdę kierowało moją babcią, żeby tu zamieszkać.

Rodzina Christiny powitała moją babcie jak swoją własną. Dostała najlepszy pokój w domu, z widokiem na zadbany ogród od frontu. Chociaż był już koniec września i w wietrze dało się wyczuć jesienną ostrość, ogród ciągle mienił się jaskrawym różem i fioletem ostatnich letnich łubinów na wędnącej rabacie. Wyobraziłam sobie, jak to wszystko wygląda zimą, wąska droga zasypana śniegiem, horyzont zasłonięty czubkami drzew, bezmiar bieli przynoszący miesiące nieubłaganego zimna. Natura jest bezlitosna. Czułam się tu obco, ten wschód był dość przerażający, monotony i surowy, z nieograniczonym horyzontem. Nie było tu nic z łagodności zachodu, ogrzewanych słońcem wzgórz mojej rodzinnej Francji, przytulnej miejskiej schludności Kilonii. Było dziko,

bezwzględnie, tak jak setki lat temu, jednak w jakiś sposób niosło babci ukojenie. Przez krótką chwilę patrzyłam na las jej oczami. Na krajobraz jej dzieciństwa.

Rano syn Christiny zawiózł nas do miejskiego krematorium, dużego budynku praktycznie zaprojektowanego, o niskim suficie i jaskrawym oświetleniu. Zaraz po naszym przyjeździe poważny urzędnik dał nam dokumenty do wypełnienia. Miejsce było bezosobowe, niestosowne jak ślub w ratuszu, w którym trwa codzienna krzątania, formalność, przez którą trzeba przejść, żeby wreszcie móc udać się na zaplanowane na potem przyjęcie. Rodzina Christiny wszystko zorganizowała, więc kierowaliśmy się ich wskazówkami, cisi i oszołomieni, jak turyści na wycieczce z przewodnikiem. W tym obcym miejscu uderzyły nas skutki narzuconej samej sobie przez babcię rezerwy. Czułam się prawie jak na ceremonii pogrzebowej obcej osoby.

Leżała w otwartej trumnie w sali, gdzie wszystko było zrobione z drewna sosnowego. Krzesła stały w równych rzędach, a w powietrzu unosił się zapach płynu do polerowania mebli. Usiedliśmy z przodu, Christina z rodziną ustawiła się z drugiej strony obok księdza, którego czarna sutanna kłóciła się z nowoczesnym, funkcjonalnym wnętrzem. Babcia wyglądała drobno i krucho na posłaniu z białej satyny, trumnę zrobili jej za długą o jakieś trzydzieści centymetrów. Ubrana była w czarną aksamitną sukienkę z białym kołnierzykiem. Ktoś wykonał jej staranny makijaż. Podeszliśmy do trumny, żeby ją pożegnać. Z wahaniem, jakbym się bała, że ją obudzę, dotknęłam jej zimnej ręki. Na kilka sekund umysł przeniósł mnie do chwili sprzed dziesięciu lat, do łóża śmierci mojego ojca. Jego ręka była jeszcze wtedy ciepła i wraz z tym wspomnieniem poczucie straty niemal mnie przytłoczyło.

Siedziałam i czekałam, aż ksiądz skończy się modlić po polsku. Moja matka wpatrywała się przed siebie, nieprzenikniona, chociaż zwykle uczucia miała wypisane na twarzy. Poczulałam pilną potrzebę, żeby przemówić, przywrócić babcię jako jedną z nas. Włożyłam rękę do kieszeni i namacałam złożoną, przygotowaną wcześniej kartkę z kilkoma zdaniem. Wstałam i zrobiłam krok, ale wtedy najstarsza córka Christiny podeszła do trumny z długą mową, wydrukowaną i starannie zalaminowaną. Ona i reszta jej rodziny otwarcie płakali, nasz cichy smutek musiał wyglądać na tym tle tak chłodno. Usiadłam z powrotem, moje słowa pozostały niewypowiedziane, a ceremonia dobiegła końca. Zazdrość, jaką poczułam, była niewdzięcznością, ale pozwoliłam jej się przeze mnie przetoczyć.

Do sali wszedł inny urzędnik, mniej zasadniczy niż pierwszy, i zabrał nas na zewnątrz, tłumacząc, że kremacja odbywa się bez obecności rodziny. Zerknęłam na zegarek. Całość trwała dwadzieścia pięć minut.

Wszyscy zostali w środku przy stole, a po dobiegających okrzykach zorientowałam się, że ktoś przyniósł więcej wódki. Jedzenia było na pięćdziesiąt osób; Christina musiała gotować kilka dni. Kiedy weszłam z powrotem do domu i szłam przez nieduży hol, pierwszą rzeczą, która przyciągnęła moją uwagę, był współczesny obraz Matki Boskiej przywieziony z Rzymu przez najstarszą córkę. W jadalni z tyłu domu na stole stały świece i najlepsza porcelana na koronkowym obrusie. Ścianę zdobił okazały drewniany krzyż, a niżej na stoliku stała duża kolorowa fotografia mojej babci. Pojawiały się kolejne dania: rosół z makaronem, dwa rodzaje pierogów, pieczona golonka z kaszą i tłuczonymi ziemniakami. Gdy zajrzałam do kuchni, zobaczyłam deser: wielki sernik, tort szwarcwaldzki i patere pączków z dżemem.

Dzieci, dwie córki i syn, nadal mieszkali z rodzicami, chociaż wszystkie miały już po dwudziestce. Uroczy, inteligentni, odcytani, z perfekcyjnym angielskim, stanowili, co zrozumiałe, dumę rodziców. Byli miłą, blisko ze sobą związaną polską rodziną, nieco staromodną, głęboko katolicką, wiedli proste życie – ostatni ludzie, których bym podejrzewała o to, że przyciągną do siebie Inge, ateistkę.

Córka Christiny mówiła w mowie pogrzebowej, jak bardzo babcia ubarwiła im życie, od wspólnych posiłków po muzyczne wieczory przy kominku zimą. Patrząc na ogród, dostrzegłam białą, kutą ławkę z grubymi, kwiecistymi, perkalowymi poduchami, na której, jak powiedziała, że babcia uwielbiała siadywać. Widok ławki sprowadził nowy smutek, ponieważ pomyślałam, że babcia znalazła u tej rodziny coś, czego my nigdy nie mogliśmy jej dać. Pomyślałam o naszych długich rozmowach, o wyjawionych sekretach. Ale w głębi ducha wiedziałam, że ona zawsze stanowiła część Wschodu, przeszłości, która należała wyłącznie do niej i nigdy nie mogła być moja.

Czułam się, jakbym stała na ganku z godzinę, choć minął zaledwie kwadrans. Przez dłuższą chwilę patrzyłam na las. Pachniał sosnowym igliwem i czerwieniał dębowymi liśćmi, które śmierzdzą stęchlizną, gdy umierają. Ten krajobraz mówił o innych czasach, kiedy podróż zajmowała cały dzień, pola ciągnęły się jak okiem sięgnąć, a zabudowa miast naznaczona była swojskością wieków. Mówił o młodości babci, którą przede mną odsłoniła.

Wyszła do mnie ciocia, zapaliła papierosa. Nie palę, ale wzięłam go od niej i zaciągnęłam się dymem; stałyśmy tak przez moment razem w milczeniu. Pomyślałam o babci, o jej złamanym sercu, ucieczce, wysiedleniu, o przemocy i stracie, jakich doświadczyła, a jednak znalazła w sobie dość siły, by odbudować życie. Zaczęła wszystko od nowa, znalazła nową miłość z sześć lat od siebie młodszym mężczyzną, którego wojna nie zniszczyła tak jak innych. Może nie było to życie, jakie planowali z Wolfgangiem jako młodzi kochankowie w Berlinie, ale ogólnie szczęśliwe. Może ta przeprowadzka do Polski stanowiła jej sposób na

zamknięcie kręgu życia, przeżycie ostatnich miesięcy w domu, którego otoczenie przypominało jej kraj dzieciństwa, nadal noszony w sercu. I nie mogłam jej tego żałować.

Czy Wolfgang, chłopak, którego kochała, dziadek, którego nigdy nie poznałam, też znalazł w sobie zdolność do odbudowy życia? Trwał ciągle gdzieś w pobliżu, zawsze na peryferiach moich poszukiwań, ale widziałam go tylko oczami babci. Jednak jego historia była również po części moją. Łączące nas więzi, teraz, gdy poskładałam przeszłość w całość, były silniejsze niż więzy krwi. Pogodziłam się z wyborami babci; może nadszedł czas, by odkryć, kim naprawdę był.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Spotkanie

Latem 2000 roku w kawiarni w Stuttgarcie wysoki mężczyzna, łysy, z lekko opadniętymi ramionami, podchodzi do dwóch kobiet w średnim wieku. Blondynka wygląda na podenerwowaną, ta druga kładzie jej wspierająco rękę na ramieniu.

Spóźnił się, kawiarnię trudno znaleźć. Wyjaśnia, że mieszka w domu na przedmieściach, na ulicach panował duży ruch i raz zgubił drogę. Wyciągają ręce, ściskają się trochę niezgrabnie.

– A więc to ty, Beatrice – mówi do blondynki.

Jedzą ciasto, potem domawiają dodatkowy kawałek i się nim dzielą. Rozmawiają bardzo długo. Chwilami rozmowę przerywa śmiech. Kobieta przyniosła zdjęcia swoich dzieci, on powoli je ogląda. Pokazuje zdjęcie swojej narzeczonej. On ma osiemdziesiąt lat, jego towarzyszka kilka lat mniej.

Dzień chyli się ku zachodowi, kiedy postanawiają się rozstać, obiecując sobie kolejne spotkania.

Przed wyjściem jeszcze raz ją bierze za rękę.

– Podróż tutaj była długa i trudna. Ale było warto.

Kobieta odwzajemnia uścisk. Wie, że nie chodziło mu o przyjazd tamtego popołudnia; mężczyzna spóźnił się o kilkadziesiąt lat.

*

Tamtego czerwcowego dnia Wolfgang zobaczył swoją jedyną córkę po ponad pięćdziesięciu latach rozłąki, od obiadu w Hamburgu, kiedy to mała odmówiła zjedzenia warzyw. Pamiętał, że miała ciasno splecione włosy i była bardzo opanowana jak na tak małe dziecko.

Wiódł zwyczajne, samotne życie. Po powrocie z Rosji mieszkał sam w okolicach Schwarzwald. Ale w końcu na stare lata również znalazł zadowolenie w życiu. Jego żona, Ingrid, daleka kuzynka, z którą przeniósł się do odległego Telemarku w jej rodzinnej Norwegii, nauczyła go znów kochać. Zachęciła go, żeby się spotkał z córką. Napisał do Inge na stary adres w Kilonii

i poprosił ją o przekazanie listu córce, a list ten w końcu dotarł do babci. Przekazała go mojej mamie i poinformowała Wolfganga, że to zrobiła, załączając zdjęcie jego rodzinnego domu w Ahrensburgu, który rok wcześniej odwiedziła z mężem. Była to kurtuazyjna, bezosobowa, nijaka wymiana uprzejmości między dawnymi kochankami, którzy nie kontaktowali się ze sobą od dziesięcioleci.

Pomimo jego wrodzonej powściągliwości rozdzieleni dawno temu ojciec i córka znaleźli nić porozumienia. Po zachętach ze strony Ingrid ich relacja się zacieśniła. Wybieraliśmy się z bratem na spotkanie z nim, niestety, zanim zrealizowaliśmy nasz plan, dziadek zmarł w listopadzie 2004 roku. Ingrid nie udało się zawiadomić mojej matki, więc zamiast tego zadzwoniła do mnie. Płakała, powiedziała, że odszedł, że miał zawał, kiedy pracował w ogródku. Pocieszając ją, pomyślałam, że już go nigdy nie spotkam.

Jednak trochę go poznałam kilka lat później przez zdjęcia i e-maile, które wymieniał z matką. Po pogrzebie babci zapragnęłam się więcej o nim dowiedzieć. Spytałam mamę, czy mogłabym je przeczytać. Chętnie się zgodziła; było ich zaledwie kilkanaście, wszystkie miała wydrukowane. Trudno było się doszukać w tym starszym mężczyźnie chłopaka, którego babcia namiętnie kochała przez tak długi czas. Chciałam go spytać o tyle rzeczy. Ta wzmianka w e-mailu, kiedy się skarżył na kaszel i słabe płuca – dziedzictwo pobytu w radzieckim obozie. Chciałam się dowiedzieć więcej, ale na tym temat się skończył.

Spytałabym go o matkę, którą kochał i stracił. Gdzie nauczył się alfabetu Morse'a, sposobu porozumiewania się bez słów, którym się entuzjazmował. Co się wydarzyło podczas wojny, o czym nigdy nie mówił, a co sprawiło, że na tak długo wycofał się za mur milczenia. Czy przez te wszystkie lata po pierwszym spotkaniu z córką kiedykolwiek myślał o tym, żeby nawiązać z nią kontakt.

Patrząc na niego oczami babci, poznałam go jako łagodnego, nietuzinkowego chłopca, miłośnika jazzu, który nienawidził zasad i nie miał w sobie dość odwagi, ale za to nadmiar życzliwości. Został zmuszony do walki na wojnie, czego nienawidził, za ideologię, którą gardził. Rozmawiałam z jego dużo młodszą przyrodnią siostrą, córką Carla-Ottona i jego żony, Angielki, z dawnymi kolegami, którzy opisywali go jako człowieka niezwykle spokojnego, nienawidzącego konfliktów, wycofanego, skrajnie dyskretnego. Jego przyrodnia siostra powiedziała mi: „Był łagodny. Nie był bojownikiem, tylko idealistą, który kochał wszystko co brytyjskie. Być żołnierzem... to było całkowicie wbrew jego naturze”.



Wolfgang pod koniec życia

Jeszcze raz wróciłam do Berlina i ponownie przeszukałam archiwa i akta w nadziei, że znajdę więcej informacji o traumie, która naznaczyła go we wczesnej młodości. Ingrid powiedziała mojej matce, że Wolfgang ciągle obwinał ojca, przez te kilka dziesiątków lat, o to, że wysłał go na front wschodni. Uważał, że to była dla niego kara za miłość do Inge i że jej skutki miał odczuwać do końca życia.

Z zasady podejrzliwie odnoszę się do milczenia: często wskazuje ono na istnienie czegoś ukrywanego. Przez długi czas zastanawiałam się, czy Wolfgang,

czy to ze strachu, czy ze słabości, zrobił na wojnie coś, czego musiał się wstydzić. Czy jako żołnierz dostosował się do brutalności towarzyszy? Nazizm znajdował najbardziej oddanych zwolenników wśród młodych: czy w końcu wstąpił do partii, której wcześniej tak nienawidził? Tylu młodych ludzi, których rodziny opisywały jako dobrych, uprzejmych chłopców, okazywało się zdolnych do popełnienia najokrutniejszych czynów. Presja otoczenia to potężna siła. Zastanawiałam się, czy Wolfgang obronił się przed niewybaczalnym.

Zaakceptowałam fakt, że Wiegandtowie ograniczyli się do próby przeżycia. A teraz zagłębiłam się w przeszłości żołnierza. Strach, pranie mózgu, presja kolegów – to wszystko miało ogromny wpływ na chłopców zbyt młodych, by zdążyli poznać samych siebie. No a potem, potem musiał słuchać rozkazów. Nie miał możliwości, żeby się trzymać z boku i obserwować. Czy mogłam się z tym pogodzić?

Niewiele wiedziałam o jego losach w niewoli. Stare akta personalne mojej babci, które odkryłam wśród dokumentów, zawierały krótką wzmiankę. „Marzec 1943 roku: urodzenie córki, Beatrice. Narzeczonzy zaginął pod Stalingradem”. W archiwach w Berlinie szukałam dokumentów z nazwiskiem Wolfganga, ale nic nie znalazłam. Nie miałam żadnych danych na temat jego służby wojskowej: ani nazwy pułku, ani informacji o odznaczeniach, tylko tę starą fotografię z, jak podejrzewałam, pierwszych dni w armii. Przeszukanie akt wojskowych również nie dało rezultatów. Wszelkie istniejące dokumenty zapewne przepadły i w miejscu jego wojennych losów ziała luka.

Zaczęłam więc szukać relacji innych żołnierzy, którzy służyli na froncie wschodnim. Czytałam o synach i kochających ojcach, którzy akty okrucieństwa, jakich się dopuścili na froncie, usprawiedliwiali nazizmem. Czytałam o grabieżach, o gwałtach, o podpaleniach i egzekucjach cywilów. Czytałam listy od młodych żołnierzy, którzy opisywali nieludzki świat. Niektórzy znaleźli w sobie siłę, by opowiedzieć innym prawdę, i rozumieli, że postępowanie ich armii było horrorem. Inni szukali dla siebie usprawiedliwienia.

Czytałam o warunkach w radzieckich obozach, jak ten, w którym przebywał Wolfgang, gdzie śmierć i niedostatek stały na porządku dziennym, o zawszonych ludziach, którzy je przetrwali, ale gdy wracali do domu, okazywało się, że nie poznawały ich własne rodziny. Jeśli rzeczywiście trafił do niewoli pod Stalingradem, musiał spędzić w obozie jenieckim co najmniej trzy lata i patrzeć, jak towarzysze umierają w męczarniach.

Pozostałam w kontakcie z Kirsten Lylloff, tą samą, która podzieliła się ze mną wynikami badań w Danii. Wspomniałam jej o moich poszukiwaniach dokumentów Wolfganga z czasu wojny, a ona zaproponowała mi pomoc – zasugerowała, że może się coś znaleźć w archiwach kopenhaskich, skoro Wolfgang miał duńskie

korzenie. Była taktowna; do duńskiej gałęzi rodziny Wolfganga należały osoby bardzo oddane nazistom, więc dokumenty mogły ujawnić nieprzyjemną prawdę. Odkrycia Kirsten nadeszły kilka tygodni później. Było to kilkanaście stron, w większości po duńsku, a dotyczyły głównie prób odzyskania przez Wolfganga pieniędzy, które brat zostawił mu po śmierci w 1935 roku; pieniądze znajdowały się na rachunku oszczędnościowym w Aalborgu w północnej Jutlandii. Była to znaczna, choć nie jakaś wstrząsająca suma, a kolejne podejścia Wolfganga na przestrzeni dziesięciu lat, żeby dostać te pieniądze, wskazują, że zdecydowanie nie wiódł życia w dostatku, jak w młodości.

Dokumenty tworzyły papierowy szlak, który rozpoczął się w 1948 roku, kiedy to Wolfgang przeprowadził się do gospodarstwa pod Lautzkirchen we francuskiej strefie okupacyjnej, a skończył w roku 1957, kiedy państwo duńskie przesłało Wolfgangowi ostatnią odmowę. Wśród dokumentów znalazł się list napisany przez niego niebieskim atramentem na małej kartce ściśniętym charakterem pisma, zdradzającym jednocześnie frustrację i rezygnację, jakby wiedział już wtedy, że nigdy nie odzyska pieniędzy. Uważnie przeglądałam dokumenty, aż w końcu między duńskimi stronicami wypatrzyłam jedną kartkę napisaną po angielsku. Był to dokument ostemplowany przez armię amerykańską, z datą 15 października 1956 roku, z Berlin Document Center. Na BDC natykałam się przy wielu okazjach podczas pracy, kiedy czytałam o nazizmie; jest to instytucja, która zbiera i opracowuje wszystkie dokumenty powiązane z nazizmem. Tam zestawione zostały dowody dotyczące zbrodni wojennych na potrzeby procesów norymberskich i tam, na mniejszą skalę, przygotowywano indywidualne akta niemieckich obywateli, dowodzące powiązań z partią nazistowską lub im zaprzeczające.

The Danish Military Mission

Berlin W.35, Tiergartenstrasse 48

(Name and address of requesting agency)

Date: 15th October 1956

TO: Berlin Document Center, APO 742 U. S. Army, Berlin, Germany.

Request NSDAP Records be Checked for:

1) Name: Wolfgang Hasso Elard Graf Schimmelmann
 Place of birth: Ahrensburg, Holstein, Germany
 Date of birth: 2.4.1921
 Occupation: not given
 Present address: Bornbacher Hof, Lautzkirchen, Saar
 Other information:

513017

It is understood that the requested information will be supplied at cost to this organization, and that payment will be made when billing is received. Estimated cost is: _____ (Not applicable to US Army organizations in USAREUR.)

Telephone: 24-8595

Signed: [Signature]
V.O. Hammershalm
Lt/Col.

Neg.	Pos.	Checked by:
<input checked="" type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>	_____
<input checked="" type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>	_____
<input checked="" type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>	_____
<input checked="" type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>	_____
<input checked="" type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>	_____
<input checked="" type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>	_____
<input checked="" type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>	_____
<input checked="" type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>	_____
<input checked="" type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>	_____
<input checked="" type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>	_____

BERLIN DOC. CENTER
NEGATIVE

- 2) ITEM:
- a) NSDAP Master File
 - b) Partei Kanzlei Correspondence
 - c) RuSHA and other SS Records
 - d) SS Officers
 - e) SA
 - f) OPG
 - g) NS-Lehrerbund
 - h) Rückwandererzentrale
 - i) EWZ
 - j) _____
 - k) _____

3) Remarks

Date Request Received: _____ Date Answer Transmitted: _____
OCT 16 1956
AGL (1) 4-54-200M-20130

Dokument armii amerykańskiej z Berlin Document Center

Badanie przeszłości mojego dziadka zawierało się w czterech kolumnach. Pierwsza od lewej wymieniała możliwe powiązania z nazizmem: członkostwo

w NSDAP, ślady w oficjalnej korespondencji partyjnej, przynależność do SS albo jej agend, nazistowskiego związku nauczycieli lub innych organizacji pod parasolem partii nazistowskiej. Kolumny w środku zawierały miejsce na odpowiedzi „tak” lub „nie”. Przebiegłam okiem po równym rzędzie „nie”; w sąsiedniej rubryce nie było ani jednego „tak”. Kolumna z prawej strony stanowiła ostateczny werdykt. Oficjalny stempel niebieskim tuszem, „Berlin Document Center: negatywny” dał mi odpowiedź, której, jak sądzę, szukałam od zawsze, dowód, że Wolfgang nie był nazistą.

Oczywiście, dokument nie powiedział mi, czy Wolfgang żołnierz okazał się zdolny do grabieży, przemocy, zabijania. Stanowił tylko oficjalne zaświadczenie, że nie należał do partii. A w przypadku kogoś, kogo ojczym był wiceprezesem Reichsbanku, uniknięcie tego musiało świadczyć o sile woli. Wiele wpływowych osób próbowało się wystarać o podobne dokumenty, by mieć czyste konto, więc Niemcy nazwali je *Persilschein*, czyli „zaświadczeniami o oczyszczeniu”¹. Jednak Wolfgang, który w 1947 roku pisał do duńskich władz, był bez pieniędzy. Jego ojciec nie miał już żadnych wpływów. Mogłam z całą pewnością uznać, że zaświadczenie było prawdziwe.

Drobiazgi, których się o nim dowiedziałam, na długo utkwily mi w głowie. Niechęć do ujawnienia zamożności w czasach studenckich, praca w fabryce. Buntownicza postawa, którą deklarował przed Inge, że nie będzie się przed nikim kłaniał. Umiłowanie jazzu i jego uwielbienie dla niekonwencjonalności. Spędzone samotnie lata. Ciche, łagodne potwierdzenie mej matce, że zawiódł jako ojciec, ale również i zadowolenie, że ją odnalazł po tylu latach.

Ponieważ zdradził moją babcię, szukałam dowodu na jego moralną ułomność. Przygotowałam się na gniew, a zamiast tego czekało mnie tylko współczucie. Nigdy się nie dowiedziałam, co się dokładnie zdarzyło na jego wojnie. Lecz chociaż Wolfgang nie był bohaterem, za którym tęskniło moje dziecięce ja, nie był również zbrodniarzem. Odkryłam zwyczajnego człowieka, może z wadami i słabościami, ale wrażliwego. Jestem pewna, że na wojnie, jak wielu innych, robił rzeczy, których potem żałował. Nie czułam już jednak potrzeby, by go osądzać.

Pokazałam zaświadczenie bratu. Przeczytał je w ciszy, potem przez chwilę milczał, jakby się miał zamiar rozpłakać. Dla niego było to przypiecztowanie czystej przeszłości, rzecz do okazania innym, do potwierdzenia tego, co nam mówiono w dzieciństwie.

– Musimy to oprawić w ramkę – powiedział.

Wydrukowałam mu kopię, a dokument włożyłam do szuflady. Kiedy ruszałam w tę podróż ponad dziesięć lat wcześniej, zapewne sama chciałabym go oprawić

w ramkę. Ale teraz uznałam, że to tylko zwykły świstek papieru. Jeszcze zanim go przeczytałam, doszłam do wniosku, że dziadek był dobrym człowiekiem.



Zamek Lindenberg

Pewnego dnia pod koniec marca 2018 roku, gdy padał śnieg, wyruszyłam do Danii, na północne wybrzeże. Jazda do północnej Jutlandii z Kopenhagi jest długa, wiedzie przez krajobraz z łagodnymi, ośnieżonymi wzgórzami i sosnowymi lasami. Najpierw pojechałam do zamku Lindenberg, gdzie Wolfgang spędzał wiele letnich wakacji w dzieciństwie i gdzie ostatnie lata życia spędził jego brat, Carl. Budynek wyłonił się jak w bajce, zza zagajnika, z wyraźnie odznaczającym się dachem pokrytym czerwoną dachówką, za to biały kamień wież ledwo odcinał się od śniegu. Wyobraziłam sobie dwóch braci spacerujących między drzewami: zawiadackiego Carla i trzy lata od niego młodszego Wolfganga, spokojnego i podążającego krok w krok za bratem. Wyobraziłam sobie Dorotheę, jak tu przyjeżdża, za późno, żeby się pożegnać ze starszym synem, po którego śmierci nigdy się nie pozbięrała. Brama stała otworem, ale nigdzie nie było widać żywej duszy; zamek wynajmowano tylko czasem na polowania, żadna rodzina nie mieszkała tu na stałe. Był niesamowicie piękny, opuszczony, uśpiony, znak przeszłości. U stóp drzew dostrzegłam kępę ciemiernika, kwiatów nazywanych

zimowymi różami, a jego kremowe kwiaty pobłyskiwały na tle surowszej, świetlistej bieli śniegu.



Grób Wolfganga

W zapadającym zmroku trudno było odnaleźć cmentarz, nieduży, zadbane, przy prostym kamiennym kościele. Miejsce pochówku von Schimmelmanna oznacza duży głaz, napis przypomina runy, jakie Normanowie zwykle żłobili w kamieniach, by uczcić wspaniałe czyny swych zmarłych. U stóp głazu leżał mniejszy kamień z brązowymi literami układającymi się w jedno słowo: „Bushi”. Grób Wolfganga. Obok znajdowała się marmurowa tabliczka porośnięta bluszczem. Odgarnełam śnieg: Carl von Schimmelman, urodzony 31 lipca 1918 roku, zmarły 4 grudnia 1935 roku. Położyłam między nimi bukiet ciemiernika, który zebrałam w ogrodzie w Lindenborgu, i zostawiłam braci w pokoju.

1. Niemieckie *schein* oznacza „zaświadczenie”, ale również „blask”. Persil to oczywiście marka proszku do prania (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Przeszłość to inny kraj

Rozmowa przez telefon z babcią podczas pierwszego wypadu do Kaliningradu wysłała mnie na dziesięcioletnie poszukiwania, ku rozwiązywaniu zagadek i odkrywaniu przeszłości, która stopniowo wracała do życia. Ale z samego miasta zapamiętałam bardzo niewiele. Wówczas nie wiedziałam, czego szukam. Teraz, z planem naszkicowanym w głowie, odwiedziłam wszystkie miejsca, które były drogą Wiegandtom, spacerowałam po parku przed ich kamienicą, przeszłam się brzegiem Pregoly, pojechałam pociągiem nad morze, gdzie spędzali każde lato. Widoki wspomniane tak ciepło ułożyły się w przeszłość, której nauczyłam się już prawie na pamięć.

Poprzednim razem było zimno i szaro, teraz przyjechałam w środku lata, więc lodowate wczesnowiosenne wiatry zastąpił duszny upał. Czułam się tak, jakbym się znalazła w zupełnie innym miejscu. Nawet w hali przylotów dało się zauważyć, że wydano tu pieniądze. Nadal jeszcze wisiały błyszczące tablice o mistrzostwach świata w piłce nożnej, które odbyły się w Kaliningradzie kilka tygodni wcześniej. Nie tylko ja tu przyjechałam w poszukiwaniu rodzinnej przeszłości. Od połowy lat dziewięćdziesiątych w regionie zaczęła się rozwijać turystyka, *Vetriebene*, jak nazywali siebie dawni mieszkańcy Prus Wschodnich, zaczęli wracać, by odwiedzić kraj, który utracili. Teraz w tę turystykę włączyły się ich dzieci, ciekawe, co zostało ze starych miejsc. Na lotnisku sklepiki oferują szeroki wybór pamiątek, od bursztynowych figurek katedry po kuchenne ściereczki z napisem „Königsberg”. Na stoisku z prasą kupiłam plan prezentujący miasto z 1928 roku. Letnie światło rozjaśniło szarzyznę, którą zapamiętałam z poprzedniej wizyty.

Tego wieczora przez kilka godzin dałam się uwieść miastu. Zostawiłam torbę w hotelu i poszłam na spacer nad Pregolą, do miejsca, gdzie rzeka oddziela starą i nową część. Jest coś dawnego, środkowoeuropejskiego w tym małym zakątku Kaliningradu, w woni smażonej ryby unoszącej się nad przystanią. Usiadłam na tarasie restauracji i zjadłam sandacza, podziwiając ruchliwe nabrzeże z czystymi

promenadami. Obserwowałam rodziny z dziećmi spacerujące nad rzeką, część wyglądała na miejscowe, a część na rosyjskie z innych rejonów, które zrobiły sobie przerwę w drodze nad morze. Nad wodą w cieniu drzew wypatrzyłam szczyt wieży gotyckiej katedry z czerwonej cegły – zachwycający, rzadki, namacalny ślad przedwojennej przeszłości. W blasku zachodzącego słońca mogłam prawie udawać, że te kilka kwartałów nad brzegiem rzeki, gdzie mieściła się większość miejskich hoteli, to oryginalne budynki, a nie odbudowane przez Rosjan w starym niemieckim stylu. Poranek następnego dnia odsłonił jednak surowszą rzeczywistość.

W świetle dziennym w pełni widoczny był Dom Sowietów, zbudowany na ruinach zamku. Zyskał złą sławę jako jeden z najbrzydszych budynków w historii komunistycznej architektury: betonowe pudło, którego podobno wstydził się jego własny architekt. Chociaż są z nim problemy konstrukcyjne, co czyni go niebezpiecznym w użytkowaniu, z powodu azbestu w murach żaden urzędnik nie odważył się do tej pory zarządzić rozbiórki. Nawet fasady katedry w stylu niemieckim wyglądały jaskrawo w blasku słońca; okazało się, że iglica kościoła należy do głównej katedry Królewca i miejsca pochówku Kanta, którą odbudowano na początku lat dziewięćdziesiątych¹.

Wiedziałam, że oryginalny budynek powstał w czternastym wieku; fotografia z 1961 roku prezentowała jego wojenny los: brak dachu, poczerniałe ściany, wieża bez iglicy, fasada bez okien, bez przypór. Ale chociaż miastu brakuje uroku starości, z pewnością doszło do odnowy. Na fundamentach dawnej królewieckiej synagogi, spalonej w 1938 roku podczas nocy kryształowej, toczą się teraz prace budowlane, wkrótce stanie tu nowe miejsce kultu żydowskiej społeczności Kaliningradu, liczącej dwa tysiące osób wywodzących się głównie z dawnego Związku Radzieckiego^{k45}.

Zbrojna w stary plan, z nadzieją, że uda mi się zorientować w topografii miasta, zaczęłam spacer za głosem ech z przeszłości. Prawie nie istnieją już wyraźniejsze ślady dawnego Królewca, z wyjątkiem rzeki i sędziwych drzew, ale powiedziałam sobie, że siedem stuleci niemieckiego życia, podwalin i istoty całego miasta, nie dało się całkowicie wymazać. Długie, drobiazgowo poszukiwania pozwoliły mi odkryć najniklejsze ślady: zagrzebany w trawie pas zieleni rozdzielający ruchliwą sześciopasmową drogę, metr torów, po których niegdyś jeździły królewieckie tramwaje; starą giełdę nad Nową Pregołą, ostentacyjnie wiekową w mieście, gdzie prawie nic już nie pochodzi z czasów przedwojennych. Zrujnowaną ceglana fasadę dawnego szpitala dziecięcego, otworami po oknach ziejącymi pustką jak wybitymi zębami.



Dom Sowietów, czyli „Potwór”, Kaliningrad

Moim pierwszym przystankiem był Paradeplatz, gdzie niegdyś mieszkali Wiegandtowie. Poszukałam ich domu, mając w pamięci opis babci: wysoka, biała kamienica przylegająca do Ogrodów Królewskich, z ostro zakończonymi szczytami i wieżyczką, z której okien można było zobaczyć cały plac aż do Uniwersytetu Albrechta, teraz, latem, pełen kwiatów. Próbowałam namierzyć Cafe Berlin, gdzie Alfred zabierał małą Inge na czekoladę, i piekarnię przy sąsiedniej przecznicy, gdzie sprzedawali najlepszy marcepan w mieście. Ale znalazłam tylko chruszczówkę, betonowy blok w najbrzydszym stylu radzieckiej urbanistyki, z fasadą naćkaną małymi, kanciastymi okienkami jak pryszczami. W miejscu, gdzie kiedyś stał konny pomnik króla Fryderyka Wilhelma III, teraz znajdował się tylko fragment ogrodu. Przed kampusem Bałtyckiego Uniwersytetu imienia Immanuela Kanta, zbudowanego w miejscu Uniwersytetu Albrechta, stoi pomnik Kanta, jedyne Niemca z Królewca, o którym nadal pozwala się pamiętać.

Paradeplatz został prawie całkowicie zniszczony podczas nalotów RAF-u w sierpniu 1944 roku. Wiedziałam, że kamienica Wiegandtów przetrwała bombardowania, ale było to tylko chwilowe ułaskawienie. Na placu znajduje się stary bunkier, zbudowany w 1939 roku przez niemieckiego generała Ottona Lascha, obecnie muzeum rosyjskiego zwycięstwa. W środku znalazłam model Paradeplatzu z kwietniowego dnia 1945 roku, gdy miasto padło. Zobaczyłam kamienicę Wiegandtów w płomieniach, rozpoznałam ją tylko po tym, że trzy

budynki dalej znajdowała się markiza Cafe Berlin. Ale w ogrodach nad pobliskim Oberteich, wąskim, obwiedzionym drzewami jeziorem, mogłam poczuć dawne miasto. Światło, mieniąca się woda, zmiękczająca zarysy odbitych w niej budynków, ścieżka na brzegu pod ogromnymi, wiekowymi dębami. Nad niżej położonym stawem zatrzymałam się pod dużym pomnikiem radzieckiego bohatera przy peryskopie okrętu podwodnego. Jego nazwisko, Aleksander Marinesko, wydało mi się znajome. Był to kapitan, który zatopił „Wilhelma Gustloff”. Właśnie wystrzeliwał torpedę, która zabiła tylu pasażerów, akt destrukcji uwieczniony w brązie, doświadczenie, po którym babcia straciła wiarę w Boga.

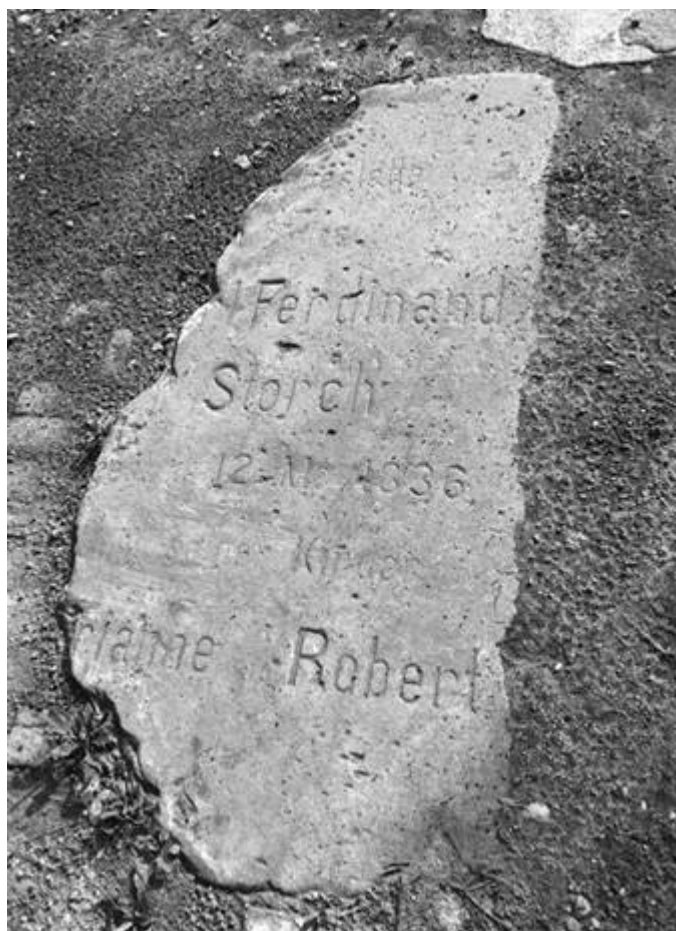
W Amalienau, niegdyś zachodnim przedmieściu miasta, gdzie Albert często woził babcię w dzieciństwie, trochę starych domów przetrwało naloty, które zrównały z ziemią centrum. Większość zachowanych ulic zbudowano w latach trzydziestych XX wieku; śladów przeszłości jest w Kaliningradzie tak niewiele, że z zachwytem obejrzałam starą pompę i pokrywę studzienki, które wciąż nosiły dawne niemieckie oznaczenia. Ale mimo tych namacalnych okrucich, ciągle liczyłam, że znajdę coś, co opowie mi o dawnych mieszkańcach starego miasta.

O mrocznej stronie przeszłości Królewca przypomina pomnik pamięci ofiar Zagłady i groby na starym żydowskim cmentarzu, zbezczeszczone przez nazistów. Jest tu nawet pomnik upamiętniający poległych na wojnie Niemców, żołnierzy i cywilów, w specjalnej sekcji cmentarza założonej w 2000 roku przez Niemiecką Komisję Grobów Wojennych. Ale ja szukałam miejsc spoczynku tych, którzy żyli, zanim Hitler doprowadził do unicestwienia regionu. Na starym planie miasta naliczyłam co najmniej siedem cmentarzy, wszystkie w zasięgu godzinnego spaceru. Jednak gorliwi radzieccy urbaniści i twórcy nowego spojrzenia na historię uznali je za marnowanie przestrzeni, więc pamiątki przeszłości już nie istniały. W miejscu Altstadt Friedhof, staromiejskiego cmentarza, znalazłam las. Tylko fragmenty czarnego granitu widoczne w podszyciu wskazywały na dawną funkcję tego miejsca, zanim upomniała się o nie natura. Inny żydowski cmentarz, niegdyś największy w mieście, zniszczyli naziści, po czym zniknął na zawsze pod chruszczówkami. Po kolejnej godzinie poszukiwań znalazłam cmentarz Królowej Luizy, główny cmentarz Kaliningradu, rozciągający się wzdłuż Prospektu Mira, niegdyś nazywanego Hammerweg.



Pokrywa studzienki z czasów Królewca

Tutaj rzędy grobów ciągną się między dębami i sosnami, kwatery w większości zarosły, pieczołowicie pielęgnowane kwiaty zginęły w plątaninie pokrzyw i bluszczu. Na większości czarnych granitowych nagrobków widnieją zdjęcia zmarłych, podczas gdy inne kwatery mają tabliczki z niebieskiego lub czerwonego metalu, kolory błyskają w półmroku pod drzewami. Ale nawet tutaj nic nie znalazłam, ponieważ na każdym grobie znajdowało się rosyjskie nazwisko, a najstarszy, jaki zauważyłam, był z 1947 roku. Na polanie, przy czymś, co wyglądało jak budka stróża dozorowana przez przyjaźnie nastawionego czarnego psa, wreszcie znalazłam coś, czego szukałam, wśród rozrzuconych nagrobków, zniszczonych, pooblupywanych i ledwo czytelnych. Zamajaczył mi pod nogami odłamek z prawie niewidocznymi literami, który ktoś wykorzystał do wypełnienia dziury w ścieżce. Uważnie przeczytałam nazwiska: Johanna Radtke, Aurelius Charisius, Oskar Bartsch, Lucie R... – tu płyta się obłamała. Stos kamieni – to było najwyraźniej wszystko, co pozostało po niemieckich zmarłych z miasta.



Fragment niemieckiego nagrobka wykorzystany jako płyta chodnikowa

Chociaż ulice Kaliningradu ukazały mi niewiele poza śladami zniszczeń, mieszkańcy miasta odnieśli się do mnie życzliwie i ze zrozumieniem. Dawna nienawiść wobec niemieckiej przeszłości nie tkwi już w ludziach, do których teraz należy miasto. W drodze powrotnej z cmentarza konduktorka w tramwaju znalazła czas, by mi pokazać wszystkie miejsca, gdzie niegdyś znajdowały się stare obiekty; starszy mężczyzna, który siedział koło mnie, zachęcał mnie, żebym przyjechała znów za rok i zabrała ze sobą matkę. To dziwne miasto – jego dusza pozostaje pionkiem w walce rosyjskiej potęgi z Zachodem. Ta ziemia niczyja, odarta z przeszłości i z niepewną przyszłością, szybko wpadła w macki Moskwy.

Następnego dnia rano w pociągu podążającym nad morze ogarnęło mnie gorzko-słodkie poczucie. Jechałam do Swietłogorska, dawnego Rauschen, żeby odnaleźć tam fragment plaży ze zdjęcia młodych, bez troskich plażowiczów, które wiozłam ze sobą, jak pielgrzym poszukujący iluzorycznej przeszłości. Tory wiodły dawną trasą, przez rozległe pola i lasy, które chroniły Kaliningrad przed gwałtownymi wiatrami od Bałtyku. To właśnie tą trasą Inge jeździła jako dziecko i nastolatka na

letnie wakacje, a potem w poszukiwaniu schronienia, gdy wróciła do Prus Wschodnich niezamężna i w ciąży. Pociąg był wygodny i nowoczesny, wypakowany urlopowiczami, którzy jechali spędzić nad morzem długi weekend, co nie pomagało mi zatopić się w nostalgii. Ale gdy wyglądałam przez okno, krajobraz wschodu, który kiedyś odbierałam jako obcy, teraz wydał mi się kojący i znajomy, wolny od wielkowiejskiej zabudowy, przesiąkniętej wspomnieniami o nienawiści i wojnie. Upływ czasu i ludzie niewiele zrobili, by go oszpecić. Studiowałam jego zarysy, pozostałości starego kraju.

Pociąg wjechał na stację Swietłogorsk-Gorod, czyli Rauschen-Stadt za czasów babci, a potem na końcówkę, tuż przy wydmach. Od głównej ulicy ścieżki biegły stromo w dół między drzewami do morza. Wydmę usianą sosnami ciągnęły się prawie do samej wody, tworząc zasłonę przed silnymi wiatrami wiejącymi od morza, ale też przed wysokimi falami. Nawet w ten bezwietrzny sierpniowy dzień Bałtyk był wzburzony i tylko najodważniejsi pływacy wchodzili do wody. Miejsce było na tyle osłonięte, na ile to było możliwe na tym wybrzeżu, długa, piaszczysta plaża, oddzielona pasem skał i wzniesieniami porośniętymi lasem.

Promenada zaczynała się na końcu ścieżki panoramą szerokiej, piaszczystej plaży. Stare deski zostały zastąpione przez płyty chodnikowe, ale widok ciągnący się daleko aż po horyzont był dokładnie taki, jak w opisach babci. Urlopowicze spacerowali tam i z powrotem, zatrzymywali się przy stoiskach z bursztynowymi figurkami. Nadmorskie miasta dawnych Prus Wschodnich wojna dotknęła mniej niż większe miasta, więc zachowało się trochę starych domów.

Na prawo strome schody wiodły w dół prosto na plażę – od razu rozpoznałam molo. Drewnianą podstawę zastąpił betonowy blok mniej podatny na zniszczenie przez fale, ale otoczenie się nie zmieniło. Ustawiona obok tablica pokazywała oryginalną budowlę z podstawą ze skrzyżowanych belek; wyglądała identycznie jak na wakacyjnym zdjęciu babci. Zeszłam po schodach w dziwnym upojeniu, dobrnęłam po piasku do miejsca, gdzie kiedyś stała mała grupka ludzi, nieświadomych czekającego ich losu. Po zniszczeniach, jakie widziałam w Kaliningradzie, wreszcie znalazłam poszukiwane echo niegdyś ukochanego miejsca, które mogłam teraz zapamiętać bez tragedii w tle. Nie było tu śladów wojny, wygnania, rozstań, tylko wspomnienie młodej dziewczyny na plaży z przyjaciółmi w letni dzień.

Następnie pojechałam do Cranz, gdzie zobaczyłam kolorowe domy i nadmorskie kawiarenki z opowieści babci. Zmieniło się tu zapewne, wszystko stało się większe i brzydsze z powodu popularności wśród turystów, ale nadal było to miejsce szczęścia i uśmiechu.

Przed wieczorem zeszłam na plażę po garść piasku. Nie znalazłam widocznych śladów przeszłości, na które liczyłam. Nie udało mi się zobaczyć domu, w którym

urodziła się mama, ani usiąść w Cafe Berlin. Miasto było dziś innym miejscem, jego tożsamość się przekształciła i zmieniła. Ale gdzieś pod powierzchnią nadal trwał duch Prus Wschodnich, w drzewach, w historii, w świadomości ludzi, a to pomogło mi zaakceptować teraźniejszość.

Tydzień później wróciłam do Francji z garścią piasku z plaży w Cranz. Zniosłam ją na mały wiejski cmentarz, gdzie ostatecznie złożyliśmy prochy babci, rzut kamieniem od domu, w którym wyjawiała mi swoje sekrety.

Kiedy rozsypywałam piasek na jej grobie, wiatr porwał kilka ziarenek i poniósł na pobliskie wzgórze. Pomyślałam, że było to stosowne epitafium dla kobiety, która się urodziła w obecnej Rosji, dorosłe życie spędziła w Niemczech, zmarła w Polsce, a pochowana została we Francji – podzielić się odrobiną kraju, który zawsze był bliski jej sercu.

Widziała upadek Europy i żyła, patrząc, jak kawałki wracają na swoje miejsca, niedoskonałe, kruche i czasem źle dopasowane, jak sklejona porcelana. Czasem zastanawiam się, czy zmusiłam ją do wyjawienia sekretu i czy miałam prawo dowiedzieć się tych wszystkich rzeczy. Nadal nie jestem pewna. W mojej rodzinie temat wciąż jest niewygodny, chociaż mama i ciocia dawno wybaczyły swojej matce. Ale wiem, że kiedy zdradziła mi sekret, wreszcie uwolniła się od wstydu.

Życie babci nie było ani niewinne, ani pełne winy. Było naznaczone nadzwyczajnymi wydarzeniami, rzeczami, które się robi, by przetrwać, i które kształtują nasze życie. Co ja sama zrobiłabym w czasie wojny? Dorastałam w Europie w czasie pokoju i zawsze myślałam, że znam odpowiedź na to pytanie, ufnie wyobrażałam sobie, że byłabym wśród tych, którzy staną do walki. Dopiero teraz zrozumiałam, o co chodziło Thomasowi Nagelowi, gdy pisał o „moralnym szczęściu”, podnosząc wątpliwość, czy mamy prawo osądzać czyjeś czyny w obliczu wydarzeń, które znajdują się całkowicie poza kontrolą jednego człowieka ^{k46}.

Nic nie usprawiedliwia współudziału narodu w zbrodniach popełnianych w jego imieniu. Ale za każdą wojną idą pokłady cierpienia i tylko wtedy, kiedy je uznamy, możemy w ogóle powstrzymać nienawiść, która dzieli ludzi.

Historia babci dała mi lekcję, którą zapamiętam do końca życia. Że imperatyw przetrwania skazuje nas na trudne wybory, które nie zawsze wypadają dobrze we wspomnieniach. Że aby iść dalej naprzód, trzeba zbadać, zrozumieć i zaakceptować te decyzje. Że pamięci nie da się pogrzebać na zawsze, ale trzeba jej dać przestrzeń, by ewoluowała z upływem czasu, ponieważ przeszłość to ruchomy cel.

Epilog

Opowieść o zakończeniu

Wróciłam do Berlina w słoneczny wrześniowy tydzień w 2018 roku na coś w rodzaju pielgrzymki, nie do przeszłości, lecz teraźniejszości. Dotarłam do końca drogi, do miejsca, gdzie trzeba podsumować poszukiwania, jeśli mają przynieść spokój tym, którzy się ich podjęli. Nadszedł czas zaakceptować fakty, których nie udało mi się ustalić, i odpuścić nierozwiązane sprawy. Mogłabym na zawsze zatracić się w poszukiwaniu prawdy, która miejscami musi pozostać niedoskonała. Ale nauczyłam się, że z przeszłością nigdy się nie da uporać w całości, że niektóre fragmenty przepadają na zawsze. Liczyło się to, że teraz rozumiałam jej esencję.

Pojechałam U-Bahnem do Dahlem. Słońce grzało mnie w plecy, kiedy szłam zadrzewionymi ulicami, liście były jeszcze zielone, nie tknięte jesienią. Znałam mój cel.

Na końcu Vogelsang przeszłam przez pas zieleni, który rozdzielał brukowaną uliczkę, między brzoza, na których pniach kochankowie triumfalnie wryli swoje imiona. Wrzesień był suchy i trawa szeleściła mi pod nogami, wypełniając powietrze zapachem siana. Dotarłam do ławki naprzeciw dużej, białej willi, w której kiedyś mieszkała moja babcia, i usiadłam, patrząc na bramę, gdzie Wolfgang pocałował ją po raz pierwszy po wieczorku tanecznym przy zakazanej muzyce.

Wyjęłam kartkę wydartą z notatnika. Miałam na niej wypisane imiona i daty, niektóre pokrywające się, inne podkreślone, kilka wykreślonych, jedną czy dwie ze znakami zapytania. Oś czasu przerwanej miłości. Prawda, której szukałam i którą odkryłam, a potem starałam się przekazać na tych stronach, nie jest opowieścią o bohaterstwie i złości, lecz o przetrwaniu. O kobietach, które przez pokolenia kochały, znosiły przeciwności i się z nimi zmagaly: o Dorothei, Friedzie, Inge, mojej mamie i o mnie samej.

Uporządkowałam wydarzenia, które doprowadziły do narodzin mamy i do rozstania się jej rodziców. Niektórych rzeczy pewnie się nigdy nie dowiem: na przykład ile czasu upłynęło między powrotem Wolfganga z radzieckiego obozu a jego spotkaniem z Inge. Mogę tylko spekulować, że było to kilka tygodni albo

miesiący, bez znaczenia jest, czy opóźnienie wynikało z powodu stanu jego zdrowia, czy stanu umysłu. Nie znam dokładnej daty zgwałcenia Inge. Ale wiem, że zdarzyło się to wszystko na tyle blisko siebie, że jej oprawca mógł się wykręcić sugestią, że dziecko nie jest jego, tylko Wolfganga. I wierzę, że zgranie się tego w czasie zadało ostateczny cios miłości, którą już wcześniej nadwątlila wojna.

W pewnym sensie mama miała rację: nastoletnia miłość jej rodziców nie była na tyle silna, by przetrwać wojnę i trudny czas po niej. Była to zwykła tragedia, która rozegrała się w niezwykłych czasach. Czego jednak nie wiedziała, to tego, przez co oboje musieli przejść.

Poturbowani przez życie Inge i Wolfgang nie mieli już w sobie łez do wypłakania. Ona się oddaliła, a on pozwolił jej odejść. Wolfgang nigdy nie opowiedział jej o horrorze, jaki musiał przeżyć w Rosji, a ona nie powiedziała mu o dziecku, które oddała. Żadne z nich nie zwierzyło się drugiemu ze swoich przeżyć, ponieważ na powojennych gruzach czasu nie znaleźli odpowiednich słów.

Milczenie to zdradliwy przyjaciel. To była zbroja mojej babci i jej udręka. Osłaniała ją przed osądem innych i ograbiła z szansy odnalezienia pociechy w miłości. W zawierusze tamtych powojennych lat to było jedyne bezpieczne schronienie, jakie znała. Choć jej historia opowiadała o przemocy i wysiedleniu, była tylko jedną z wielu historii kobiet, które padły ofiarą na ruinach Europy.

Gdy tak siedziałam, patrząc na willę, wyjęłam z kieszeni bransoletkę, którą babcia mi dała lata temu, małe, ciężkie kółko, ze złotem wytartym przez dziesięciolecia dotykania. Przejechałam palcami po jej krawędzi. Nie mogłam jej nosić na nadgarstku. Postanowiłam nie naprawiać zamka; pozostała zamknięta na zawsze.

Czy moi dziadkowie byliby razem w spokojniejszych czasach? Chcę myśleć, że tak, chociaż nigdy się tego nie dowiem na pewno. Szukałam prawdy i dotarłam do niej tak blisko, jak tylko zdołałam. Może moja wiedza o przeszłości nie jest idealna, ale w głębi serca wiem, że to uczciwe. Krąg historii Inge i Wolfganga teraz się zamknął.

Bibliografia

Aleksijewicz Swietłana, *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*, tłum. Jerzy Czech, Czarne, Wołowiec 2010.

Beevor Antony, *Berlin. Upadek 1945*, tłum. Jerzy Kozłowski, Znak, Kraków 2009.

Beevor Antony, *Stalingrad*, tłum. Mirosław Bielewicz, Znak, Kraków 2008.

Bielenberg Christabel, *The Past is Myself*, Chatto & Windus, Londyn 1968.

Clark Peter B., *The Death of East Prussia. War and Revenge in Germany's Easternmost Province*, Andover Press, Andover 2013.

Dönhoff Marion, *Dzieciństwo w Prusach Wschodnich*, tłum. Aga Paszkot-Zgaga, Pellegrina, Kielce 2006.

Egremont Max, *Forgotten Land: Journeys Among the Ghosts of East Prussia*, Picador, Londyn 2012.

Evans Richard, *Nadejście Trzeciej Rzeszy*, tłum. Mateusz Grzywa, Wyd. Napoleon V, Oświęcim 2015.

Evans Richard, *Trzecia Rzesza u władzy*, tłum. Mateusz Grzywa, Wyd. Napoleon V, Oświęcim 2016.

Evans Richard, *Wojna Trzeciej Rzeszy*, tłum. Mateusz Grzywa, Wyd. Napoleon V, Oświęcim 2016.

Falk Lucy, *Ich Blieb in Königsberg. Tagebuchblätter aus Dunklen Nachkriegsjahren*, Verlag Gräfe und Unzer, Monachium 1965.

Friedlander Henry, *The Origin of Nazi Genocide. From Euthanasia to the Final Solution*, University of North Carolina Press, Chapel Hill 1995.

Grass Günter, *Idąc rakiem*, tłum. Sławomir Błaut, Wyd. Polnord Oskar, Łódź 2002.

Herzog Rudolph, *Heil Hitler, das Schwein ist tot! Lachen unter Hitler – Komik und Humor im Dritten Reich*, Kiepenheuer & Witsch, Berlin 2018.

Kaplan Marion A., *Between Dignity and Despair. Jewish Life in Nazi Germany*, Oxford University Press, Oksford 1998.

Kater Michael, *Different Drummers. Jazz in the Culture of Nazi Germany*, Oxford University Press, Oksford 2003.

Kershaw Ian, *Führer. Walka do ostatniej kropli krwi*, tłum. Grzegorz Siwek, Znak, Kraków 2012.

Lehndörff Hans von, *Dziennik z Prus Wschodnich. Zapiski lekarza z lat 1945–1947*, tłum. Zdzisław Owczarek, Karta, Warszawa 2013.

Lehndörff Hans von, *Menschen, Pferde, weites Land*, C.H. Beck, Monachium 2001.

Longerich Peter, *'Davon haben wir nichts gewusst!' Die Deutschen und die Judenverfolgung 1933–1945*, Siedler Verlag, Monachium 2006.

Reck-Malleczewen Friedrich, *Diary of a Man in Despair*, tłum. Paul Rubens, Audio Groove Ltd, Londyn 1995.

Satjukow Silke, Gries Rainer, *'Bankerte!'. Besatzungskinder in Deutschland nach 1945*, Campus Verlag GmbH, Frankfurt nad Menem 2015.

Schön Heinz, *Flucht über die Ostsee: 1944/45*, Motorbuch Verlag, Stuttgart 1995.

Stargardt Nicholas, *Wojna Niemców. Naród pod bronią 1939–1945*, tłum. Tomasz Fiedorek, Rebis, Poznań 2017.

Weckel Ulrike, *Disappointed Hopes for Spontaneous Mass Conversions. German Responses to Allied Atrocity Film Screenings 1945–46*, German Historical Institute, Waszyngton 2012.

Wieck Michael, *Miasto utracone. Młodość w Königsbergu w czasach Hitlera i Stalina*, tłum. Magdalena Leszczyńska, Karta, Warszawa 2018.

Artykuły

Bignon Vincent, *Cigarette Money and Black-Market Prices during the 1948 German Miracle*, economix.fr, 2009

(https://www.researchgate.net/publication/254019981_Cigarette_Money_and_Black-Market_Prices_during_the_1948_German_Miracle).

Eaton Nicole M., *Exclave: Politics, Ideology, and Everyday Life in Königsberg–Kaliningrad, 1928–1948*, rozprawa doktorska, University of California, Berkeley 2013.

Evans Richard J., *Coercion and Consent in Nazi Germany*, Raleigh Lecture on History 2006.

Grossmann Attina, *A Question of Silence: The Rape of German Women by Occupation Soldiers*, [w:] *West Germany Under Construction: Politics, Society and Culture in the Adenauer Era*, red. Robert G. Moeller, University of Michigan Press, Ann Arbor 1997.

Knowles Christopher, *The British Occupation of Germany 1945–49: A Study in Post-Conflict Reconstruction*, „RUSI Journal” 2013, t. 158 (6).

Kuwert Philipp, Klauer Thomas, Eichhorn Svenja, Grundke Elena, Dudeck Manuela, Schomerus Georg, Freyberger Harald, *Trauma and Current Posttraumatic Stress Symptoms in Elderly German Women Who Experienced Wartime Rapes in 1945*, „The Journal of Nervous and Mental Disease” 2010, t. 198 (6).

Mann Thomas, *Was Wir Verlangen Müssen*, „Berliner Tageblatt”, 8 sierpnia 1932.

Nagel Thomas, *Moral Luck*, [w:] Thomas Nagel, *Mortal Questions*, Cambridge University Press, Cambridge 1979.

Podziękowania

Zanim podziękuję wielu osobom, które mnie wspierały podczas pisania tej książki, muszę przede wszystkim spłacić dług, jaki zaciągnęłam u swojej rodziny, zwłaszcza mojej nieżyjącej już babci Inge, za opowiedzenie mi swojej historii, a także u mamy Beatchy i cioci Conny za to, że pozwoliły mi się zagłębiać w niekiedy niepokojącej przeszłości.

Książka nie powstałaby bez wsparcia i rad mojego przyjaciela oraz mentora Michaela Holmana, zwolennika metody *rungu* (czyli pałki) w podchodzeniu do ukończenia tekstu. Część najlepszych zdań w książce wymyśliliśmy wspólnie, siedząc na werandzie w Jinchini albo w jego salonie we wschodnim Londynie, w towarzystwie kotów i kenijskiej herbaty.

Jestem zobowiązana rodzinie Darntonów, szczególnie Ninie, za rady, zachęty i krytyczne spojrzenie.

Za rolę, jaką odegrały w powstaniu książki, podziękowania zechcą przyjąć: moja agentka Felicity Bryan, za bezcenne sugestie i danie mi szansy; moja redaktorka w Ebury, Clare Bullock, której doświadczeniu i wrażliwości maszynopis wiele zawdzięcza; Lindsey Schwoeri w Viking za jej dar narracyjny; Poppy Trowbridge za godziny czytania i wsparcie w decyzji o przystąpieniu do pisania; „sabatowi” w składzie: Miranda Doyle, Dominique Green, Halina Watts i Eleanor Tattersfield za pożyteczne pomysły i podtrzymywanie mnie na duchu; Kirsten Lylloff za podzielenie się wynikami swoich badań nad wschodniopruskimi uchodźcami w Danii.

Dziękuję mojemu partnerowi Austinowi Taskerowi za wsparcie w huśtawkach nastrojów przed ukończeniem pracy.

Wielkie dzięki ślę również Davidowi McClafferty'owi, Matsowi Boesenowi i Mitzi de Margary za dotrzymywanie mi towarzystwa w najdalszych zakątkach Europy i Rosji.

Wielu innych przyjaciół wspierało mnie dobrymi radami, a także wiedzą o stopniach wojskowych i ruchach armii albo po prostu życzliwie wysłuchiwało. Alex Woolfson, Tom Coghlan, Rob Hutton, Thomas Penny, Kitty Donaldson, Charles Emmerson, Lisa Levinson, Stephanie Kuku – dziękuję Wam.

Przypisy

1. Thomas Mann, *Was Wir verlangen müssen*, „Berliner Tageblatt”, 8 sierpnia 1932 roku. Kopia artykułu znajduje się na wystawie w muzeum Thomasa Manna w Nidzie na Litwie. [\[wróć\]](#)
2. Antony Beevor, *Berlin. Upadek 1945*, tłum. Józef Kozłowski, Kraków 009, rozdz. 27. [\[wróć\]](#)
3. Nicole M. Eaton, *Exclave: Politics, Ideology, and Everyday Life in Königsberg–Kaliningrad, 1928–1948*, rozprawa doktorska, University of California, Berkeley 2013, cz. I. [\[wróć\]](#)
4. Michael Wieck, *Miasto utracone. Młodość w Königsbergu w czasach Hitlera i Stalina*, tłum. Magdalena Leszczyńska, Warszawa 2018. [\[wróć\]](#)
5. Nicholas Stargardt, *Wojna Niemców. Naród pod bronią 1939–1945*, tłum. Tomasz Fiedorek, Poznań 2017. [\[wróć\]](#)
6. Michael Kater, *Different Drummers: Jazz in the Culture of Nazi Germany*, Oksford 2003, s. 73. [\[wróć\]](#)
7. Richard J. Evans, *Coercion and Consent in Nazi Germany*, Londyn 2006. [\[wróć\]](#)
8. Tamże. [\[wróć\]](#)
9. M.H. Kater, *Different Drummers...*, s. 130. [\[wróć\]](#)
10. Tamże, s. 104. [\[wróć\]](#)
11. N. Stargardt, *The German War...*, s. 113. [\[wróć\]](#)
12. Henry Friedlander, *The Origin of Nazi Genocide: From Euthanasia to the Final Solution*, Chapel Hill 1995, s. 139. [\[wróć\]](#)
13. Peter B. Clark, *The Death of East Prussia. War and Revenge in Germany's Easternmost Province*, Andover (Mass.) 2013, rozdz. 2. [\[wróć\]](#)
14. Peter Longerich, *‘Davon haben wir nichts gewusst!’ Die Deutschen und die Judenverfolgung 1933–1945*, Monachium 2006. [\[wróć\]](#)
15. R.J. Evans, *Coercion and Consent in Nazi Germany...* [\[wróć\]](#)
16. Hans von Lehdorff, *Dziennik z Prus Wschodnich. Zapiski lekarza z lat 945–1947*, tłum. Zdzisław Owczarek, Warszawa 2013; zapiska „Lato 1944 do 12 stycznia 1945”. [\[wróć\]](#)
17. R.J. Evans, *Coercion and Consent in Nazi Germany...* [\[wróć\]](#)
18. Omawia to obszernie Ian Kershaw, *Führer. Walka do ostatniej kropli krwi*, tłum. Grzegorz Siwek, Kraków 2012, rozdz. 1. [\[wróć\]](#)
19. Tamże, rozdz. 1. [\[wróć\]](#)
20. Tamże, rozdz. 6. [\[wróć\]](#)
21. Rudolph Herzog, *Heil Hitler, das Schwein ist tot! Lachen unter Hitler – Komik und Humor im Dritten Reich*, Kolonia 2018, rozdz. 5. [\[wróć\]](#)
22. I. Kershaw, *Führer...*, rozdz. 1. [\[wróć\]](#)
23. Tamże, rozdz. 3. [\[wróć\]](#)
24. Tamże, rozdz. 3. [\[wróć\]](#)
25. Relacja Inge o rodzinie spalonej w piwnicy łączy się z relacjami o ludziach, których spotkał podobny los, zamieszczonymi w: P.B. Clark, *The Death of East Prussia...* [\[wróć\]](#)
26. Liczby zaczerpnięte z oficjalnego raportu RAF o bombardowaniu, Dziennik kampanii Dowództwa Bombowców, sierpień 1944, UK National Archives,

<https://webarchive.nationalarchives.gov.uk/20070706054833/http://www.raf.mod.uk/bombercommand/aug44.html> [wróć]

27. Ian Kershaw i Richard Evans należą do historyków, którzy uważają, że do zbrodni doszło, ale jej skala została wyolbrzymiona przez nazistowską propagandę. [wróć]
28. N. Stargardt, *The German War...*, s. 471. [wróć]
29. H. von Lehndorff, *Dziennik z Prus Wschodnich...*, zapiska „Lato 1944 do 12 stycznia 1945”. [wróć]
30. A. Beevor, *Berlin...*, rozdz. 4. [wróć]
31. Kershaw wskazuje, że już 22 stycznia admirał Dönitz zgodził się, że kurczące się rezerwy węgla dla wojska powinny mieć pierwszeństwo przed uchodźcami. Chociaż marynarka zdołała przewieźć 679 541 uchodźców z portów bałtyckich na zachód, mogłaby ocalić ich dużo więcej, gdyby jej dowództwo nie uznało potrzeb wojskowych za priorytetowe. [wróć]
32. Heinz Schön, *Flucht über die Ostsee: 1944/45*, Stuttgart 1995, s. 78. [wróć]
33. Dane według Duńskiego Muzeum Oporu. Niektórzy szacują tę liczbę na 7500 osób. [wróć]
34. Średnie dzienne spożycie w Wielkiej Brytanii wynosiło 2800 kalorii dla dorosłego, zob. Christopher Knowles, *The British Occupation of Germany 1945–49: A Study in Post-Conflict Reconstruction*, „RUSI Journal” 2013, t. 158 (6). [wróć]
35. Ulrike Weckel, *Disappointed Hopes for Spontaneous Mass Conversions: German Responses to Allied Atrocity Film Screenings 1945–46*, Waszyngton 012. [wróć]
36. Według spisu z 1946 roku na 100 mężczyzn przypadło 171 kobiet. [wróć]
37. Antony Beevor, *Stalingrad*, tłum. Mirosław Bielewicz, Kraków 2008, rozdz. 25. [wróć]
38. A. Beevor, *Berlin...*, rozdz. 27. [wróć]
39. Philipp Kuwert, Thomas Klauer, Svenja Eichhorn, Elena Grundke, Manuela Dudeck, Georg Schomerus, Harald Freyberger, *Trauma and Current Posttraumatic Stress Symptoms in Elderly German Women Who Experienced Wartime Rapes in 1945*, „The Journal of Nervous and Mental Disease” 2010, t. 198 (6), s. 450–451. [wróć]
40. A. Beevor, *Berlin...*, rozdz. 27. [wróć]
41. Ruth Schumacher, po wzięciu udziału w szerszych badaniach prowadzonych przez niemieckich psychiatrów pod kierunkiem Philippa Kuwerta na początku dwudziestego pierwszego wieku, udzieliła wywiadu NPR (<https://www.npr.org/templates/story/story.php?storyId=106687768>, dostęp 19 II 2021) [wróć]
42. Anonima, *Kobieta w Berlinie. Zapiski z 1945 roku*, tłum. Barbara Tarnas, Warszawa 2009. [wróć]
43. Historyczka Atina Grossmann w artykule *A Question of Silence: The Rape of German Women by Occupation Soldiers*, [w:] *West Germany Under Construction: Politics, Society and Culture in the Adenauer Era*, red. Robert G. Moeller, Ann Arbor 1997, podaje, że w okresie odbudowy czy, jak to nazywa, „remaskulinizacji” powojennych Niemiec, dyskusja o gwałtach została stłumiona po to, by wzmocnić pewność siebie niemieckich weteranów. Zauważa nadto, iż fakt, że tak wiele kobiet zostało zgwałconych, postrzegano jako nadszarpnięcie męskiej dumy, a nie jako bezpośrednie pogwałcenie kobiecych ciał, co służyło odbudowaniu tradycyjnych męskich ról. [wróć]
44. Vincent Bignon, *Cigarette Money and Black-Market Prices during the 1948 German Miracle*, *economix.fr*, 2009 (https://www.researchgate.net/publication/254019981_Cigarette_Money_and_Black-Market_Prices_during_the_1948_German_Miracle). [wróć]
45. Dane podawane przez Juden in Ostpreussen, berlińską organizację zajmującą się zachowywaniem żydowskiej kultury w regionie. [wróć]

46. Thomas Nagel, *Moral Luck*, [w:] T. Nagel, *Mortal Questions*, Cambridge 1979. [\[wróć\]](#)